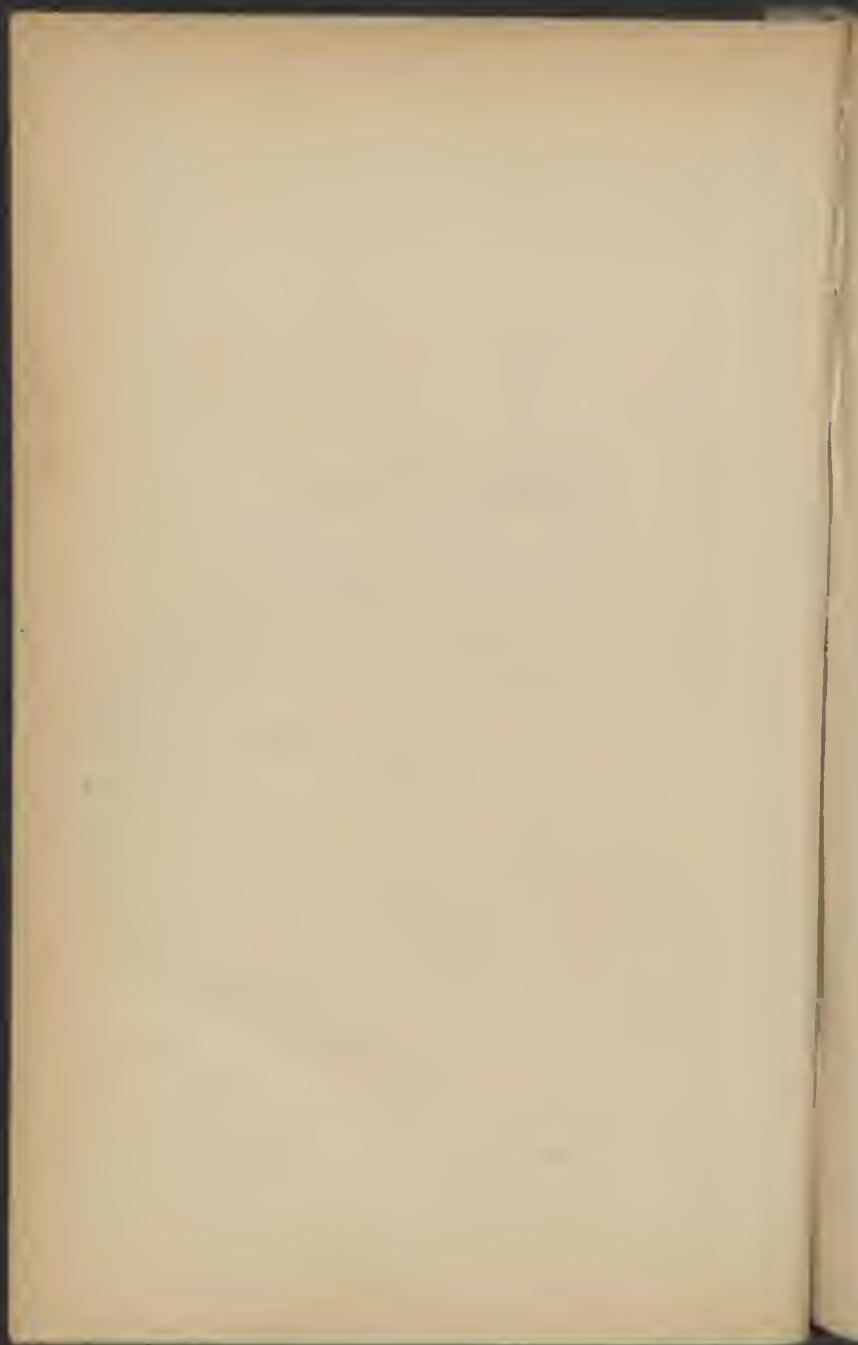




POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom sześćdziesiąty siódmy.



Na Królewskim Dworze.

(CZASY WŁADYSŁAWA IV).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

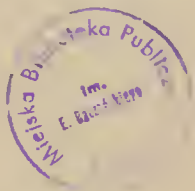
TOM III.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1891 года.



~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

## I.

W połowie siedemnastego wieku, stary gród Kijów, był smutną, ogromną, podaniami ozłoconą ruiną. Nad brzegiem wspaniale toczącej się rzeki rozłożony na malowniczych, zielenią i drzewy okrytych wzgórzach, cały prawie się składał z niskich, szarych, drewnianych domostw, ogrodami i parkanami otoczonych, z których niewiele nad jedno podnosiły się pięterko. Wśród nich potężne gruzowisk kupy, porosłe już krzewami i drzewy, grube ściany murów odwiecznych, sterczące z oblamanemi sklepieniami, w których gliniane garnki przeglądały, szczątki murów wiekami zlanych w jedno ciało, mogiły cerkwi i teremów, podnosiły się jak na cmentarzysku groby. Gdzieniegdzie tylko pobożne ręce stary gmach rozwalony podniosły, umalowały i ozłociły.

Lecz nowe życie na rozległych ruinach, było za ledwie pobożną strażą nad tem zbiorowiskiem grobów, których tu więcej się spotykało na każdym kroku niż żywych ludzi. Ziemia, drzewa, wody wesoło znowu przędły życia swego dzieje, człowiek nie potrafił przywrócić tego co tu niegdyś istniało—potęgi i siły. Ludzie nowi wyglądali jak mrowisko na szerokiem polu pustkowia; wesołość natury ze smutkiem osieroconych resztek rozpędzonego narodu, była w sprzeczności obrazowi temu nadającej cechę własną.

Ruiny ledwie widoczne panowały jeszcze nad żywotem i w nich go więcej było niż w tem co się tu poruszało leniwo i smutnie. Co krok obok chaty ubogiej spotykało się kupę rumowisk, której wieki pożyć nie mogły, stojącą jak pytanie, jak rozwalony grób bez imienia. Tylko w ustach ludu do każdej z tych mogił przywiązana była baśń, pieśń, legenda, jedna strofa rozerwanej i zaginionej epopei. Na tem zgłiszczu jednak i pieśń nie śmiała się rozlegać głośno, przez poszanowanie przeszłości, i ludzie stąpali cicho, i podanie szeptano półgłosem u wieczornego ognia, aby widm śpiących nie zbudzić.

Było to jakby jedno wielkie grobowisko. Dwie tylko prastare świątynie nanowo wyrosły z gruzów i świątecznymi ubrały się szatami — Sofia i Michał. W pierwszej z nich świeciły jeszcze szklane obrazy, których lata skruszyć nie mogły; na drugim błyszczał złocisty dach, zwiastujący, że pod nim spoczywały zwłoki świętej męczennicy Barbary.

Całe życie przeszłości w tych dwu jeszcze świątyniach biło tętnem dawnem pocichu. Dokoła gęste drzewa i zarośla zdala widziane stanowiły jakby morze zieleni, gdzieniegdzie szarym dachem i czarnym upstrzone kominem, żórawiem studni, wierchem krzyżyka jakiejś kaplicy lub domu modlitwy.

Szeroko u stóp wzgórza w padole nad rzeką rozciągały się rozpięchłe domy, objęte wałem i drewnianymi tynami, które mur obronny zastępowały. Ponad temi kurtynami bastiony drewniane także z daszkami śpiczastymi występowały, jak strażę czujne w dal spoglądające.

We wnętrzu grodu życie płynęło cicho i jak w starcu krew zgęśla, powolnie... czuć było jakby dwa prądy jego wzajem unikające starcia i spotkania, wchodzące w ziemię, wytryskujące z pod niej, przeciągające istnienie uparte walką upartą.

Wysłuchawszy się w rannych dzwonów modlitwę, ucho rozróżnić mogło, dwoma językami z dwóch

krańców przeciwnych świata, nawoływanie do Boga. Inaczej tętniały S. Zofia i Michał, różnie od nich bernardyńskie dzwony na górze, dominikańskie w rynku, jezuickie na pochyłości ku rzece. W pół góry stało też drewniane zamczysko, smętne, szare, opuszczone, jakby w swój żywot długi wierzyć nie śmiało, około którego roił się lud rycerski na straży.

Dwie czy trzy szersze ulice a raczej gościńce przerzynające miasto, cała sieć wązkich i krętych zaułków, parkanów i płotów, rzadki dwór rozleglejszy, stanowiły miasto całe, w którym drzewa ukrywały ludzi, a domostwa wyglądały jak więzienia. Życie i ruch nie w środku tego grodu, ale na kresach, rozbudzało się nad rzeką, gdzie i głosy ludzkie brzmiały śmielej i twarze odkrywały się jawniej, i śmiech czasem przerwał ciszę cmentarną, której szum rzeki wtórował pacierzem swoim.

Pieczerski monaster naówczas jeszcze dzieliło od miasta pustkowie, ale bez niego Kijów nie miałby życia i był z nim związany nieustannym żywych ludzi prądem, sznurem pielgrzymów, nieustającą modlitwą.

Z zamarłego grodu tu zbiegły i pościekały wszystkie prastarych dziejów najdroższe wieńce, korony, klejnoty i relikwie, a ziemia otworzyła im macierzynskie łono swoje, aby w niem przetrwały bezpiecznie burze i boje, zniszczenia i zawieje. Od lat tysiąca jedna, nieprzerwana mruczała pod sklepieniami wykowanemi pobożną dłonią modlitwa, i ona jak krew ciała, dawała życie temu sercu bijącemu w zastygłych zwłokach.

Dla zbliżającego się naówczas podróżnego to miasto, którego imię i sława były większe niż ono samo, nie oznajmywało się blaskiem żadnym.

Potrzeba się było domyślać grodu, który zdawał się chcieć kryć w płaszczu zieleni, w fałdach wzgórzów, za ścianami brzegów wysokich.

Ledwie dwa czy trzy złote krzyże i lśniący dach św. Barbary wzbijały się wyżej nieco.

Ranek był wiosenny, piękny, spokojny, pogodny, cały jeszcze zwilżony pocałunkami nocy, cały owiany jak marzeniem mgłami rozpowijającego się poranka. U góry ledwie zaczynał przeglądać błękit bladawy północnego nieba, gdy wkoło niżej osłaniały go jak opony różnobarwne leciuchne obłoczki, z poza których słońce czasem strzelało już pasem czystego światła.

Na gościńcach wiodących ku miastu codziennem strumieniem życie płynąć rozpoczynało, szły skrzyżnięte maże i wozy, sunęli się piesi, a z pod drzew miejskich trzody krów wypędzane na paszę, powolnie kroczyły z podniesionemi głowami, i pastusze odzywały się trąbki, i psów naszczekiwania niespokojne.

Gościńcem jechał powoli znajomy nam Płaza Wierzbietą, z głową na piersi spuszezoną, z czołem pożałdowanym, smutny, chociaż się zbliżał do celu, a nieśpieszący wcale, aby się dobić do niego.

Wszystkie troski, jakie wioził z sobą w sakwach podróżnych, ciążyły mu teraz więcej jeszcze.

Zdała, w myślach, trudności się rozwiązywały łatwiej; tu rzeczywistość stawiała naprzeciw fantazyi, śmiejąc się z niej szydersko. Płaza miał tyle przed sobą zawitych, niebezpiecznych zagadnień, a do rozwiązania ich jedną swą starą, zmęczoną głowę, dwójce rąk osłabłych i serce, które teraz nanowo bić zacząwszy niepokoiło go ruchy swojemi.

Westchnął Płaza i przeżegnał się. Pomyślał, że przecież Bóg tam w pomoc przychodzi, gdzie niema nikogo.

Kijów był mu dawniej znanym, chociaż w nim po kozaczemu obracał się w kółku kozaczem i nie wychodził za nie. Znał też dobrze u brzegu rzeki obszerną ale napozór opuszczoną i ubogą gospodę Niżowców, utrzymywaną przez starą Marfę, którą nazywano niemą. Była to prawa kozacza niewiasta, silna, śmiała, w obejściu się zuchwała i szorstka,

przebiegła, odgadująca ludzi, która zmuszona tylko kilku wyrazami zbywała swoich gości.

Słów obawiała się jak zdrajców, a sama milcząc, ze wzgardą też spoglądała na tych, co sypali niemi bez rozwagi i miary. Dość było wielomówstwa dla niej, aby wiarę straciła w człowieka. Najczęściej nawet, gdy zbyt się kto przed nią rozgałał, porzucała go nie dosłuchawszy do końca.

Gospoda u Marfy zbudowaną była na wzniosłym brzegu rzeki, tak aby ona jej na wiosnę zalać nie mogła, chociaż trafiało się, że nagle wezbrany Dniepr zajrzał do niej na krótko. Naprzeciw rodzaj przystani zawsze prawie pełen był wszelkiego rodzaju bark, czołen, dębów, czajek, a wiele z nich, porzucone od lat dawnych, rozpadały się i gniły.

Stroma ścieżyna wydeptana od wieków, poobrywana deszczami, wiodła do ogromnej szopy, wklęsłej już napół w ziemię, pogarbionej, popodpieranej i często na pustkę wyglądającej, bo z kilku wrót jedne się nie zamykały nigdy, drugie nie mogły otworzyć.

W tej ciemnej budzie, której wnętrze przedzielały płoty i ściany z desek, mieściły się wszelkiego rodzaju składy drzewa, siana, słomy, zboża. Była ona oborą razem, stajnią, a wśród zakamarków popłatanych, między którymi tylko obeznany z niemi mógł się pokierować człowiek, kryły się i izby podróżnych, to jest szynkownia. Tu na niewygasającym nigdy kominie, ulepionym niezgrabnie, bezprzestannie coś się warzyło w sporym kociołku na żelaznych prętach zawieszonym.

Balasy niezgrabne dzieliły obszerną izbę tę od zaścianka, w którym jedna na drugich stały beczki, a ponad niemi na sznurach wisiały rządami obwarzanki, cebule, czosnek i poschłe jakieś trawy a ziela.

Najjaśniejszych dni w izbie tej zawsze mrok panował, światło wkradało się do niej przez kilka małych okien napół za-zkłonnych, wpół łuczywem cienko



wystruganem założonych. Izba ta miała też swe właściwe powietrze, które wchodzących owiewało, złożone z resztek dymu błakających się zawsze pod stropem nieszczelnym, z wyziewów kościołka, beczek wódki, dziegciu, smoły i suszonej ryby. Komin tylko i nigdy niezamykające się drzwi, odnawiały tu ciężkie powietrze, w którym Marfa żyć była nawykła.

Ciężkie, szerokie ławy, które i za siedzenia i za łoża nocą służyć musiały, biegły w okrąg pod ścianami, a dwa stoły w ziemię white, zastawione zawsze blaszankami i miskami, wszystkim były sprzętem. U drzwi tylko dwa ogromne wiadra i dwa czerpaki drewniane dopełniały wyposażenia.

Tokowisko nigdy nieumiatane, zawsze prawie wilgotne, pogarbione, niekiedy kałużkami pozalewane, mieściło na sobie szczątki tego wszystkiego co się tu spożywało, nosiło i rozlewało, nie wyjmując krwi, często w nie wsiąkającej.

Plaza postawiwszy pod dachem konia, z jakąś odrazą wsunął się do wnętrza tej ciemnicy, która mu się stokroć obrzydliwszą wydała niż dawniej, gdy uczęszczał do niej, tak jak w ogóle cały teraz świat ten kozaczy napelniał go wstrętem i trwogą. Czuł w nim nieprzyjaciela, choć długo był i liczył się jeszcze pobratymem. Zbliżenie do rodzimego żywiołu dało mu nagle poczuć, że ten musiał mu być obcym i wrogim.

Każdy ktokolwiek w ciągu życia zmuszonym był obracać się w różnych sferach i warstwach i zrastać się niejako z niemi, doświadczył tego na sobie, że w warunkach ducha rozmaitych uczuwa się dla nich z kolei niekiedy współczucie, to znowu nieznośną odrazę.

Plaza mógł w innym wypadku może uczuć się z kozactwem do pewnej jedności ducha, teraz go ono odpychało.

Zbliżając się ku progowi, gdy zdala ujrzał ogromną postać Marfy, w krasnej chustce zawiązanej na

głowie rozczochranej, z rękami obnażonemi po łokcie, z których jedna była warzęchwią zbrojna, wzdrygnął się cały.

W izbie oprócz gospodyni, która tu widocznie królowała i gości uważała za poddanych, znajdowało się kilku kozaków, ale cicho się zachowujących. Jeden spał głowę złożywszy na rękach, a ręce na stole, a wypróżniony kubek stał przed nim; drugi nucił coś siedząc na ławie i przez małe okienko wyglądając ku Dnieprowi; trzeci rozmawiał z Marfą. Dwóch cicho szeptalo coś do kąta poszedłszy.

Kozactwo to uderzało wielką rozmaitością typów twarzy i figury. Plaza ze drzwi biegając oczyma po nich, usiłował rozpoznać czy między nimi znajdzie znajomych. Długi pobyt na Niżu liczbę ich niesłychanie powiększył.

W rozmawiającym z Marfą poznał zaraz Stareńkę, który ważne zajmował miejsce w radzie i w gromadzie, bo go miano za „znachora;“ w siedzącym przy oknie—przyjaciela swego Lackowicza (tak mu się on mianował), zbiega z Polski jak on sam, z którym żył oddawna jak z bratem.

Reszcie już niebardzo się przypatrywał, bo ci mu starczyli.

Usłyszawszy chód i Marfa i Stareńko zwrócili oczy i kozak krzyknął poznawszy Plazę, którego w koszu nazywano Jeremą.

— A! dobrze robisz, że przybywasz — zawołał wprost idąc na niego—my już oczy wypatrzyli.

— Nie chcieli mnie odprawić — wyjąknął Plaza — dopominałem się ciągle, dopiero teraz list dano. Jechałem na złamanie karku.

Marfa słuchała też — dla niej tu nie było tajemnic.

— Ja umyślnie naprzeciw wyjechałem — odezwał się Stareńko—pilno nam było. Możesz sobie tu spojrzeć u Marfy, a ja muszę z listami zaraz na Sicz.

Dobrze my domyślali się, że tobie na Kijów będzie składniej.

Posłyszawszy rozmowę Lackowicz poznał Płazę i prędko ku niemu pośpieszył. Podali sobie ręce. Mężczyzna był nadzwyczaj urodziwy, twarzy tak pięknej, a tak niewieściego wdzięku, że go stare kozactwo Carycą przezywało. Chłop był osobliwego charakteru, gwałtowny a dobry, potrzebujący koniecznie pobratyma i serca, a razem zazłosny i podejrzliwy; w boju jak lew, w spoczynku rozmarzony i śpiewający.

Płaza wiedział, że to było dziecko niegdyś krakowskiego bruku, które niepowodzenie wygnało z rozpaczą w sercu aż tutaj. Wykałano mu oczy w Krakowie jego pochodzeniem ulicznym, potem gdy kleryka suknię wdział, mieszczaństwem, i niecierpliwymi młodzian zbiegł na Niż.

Tu mu naprzemiany bywało i bardzo dobrze, czasu wycieczek na tatarskie wioski koczujące, to nieznośnie, gdy w koszu spoczywając nędzne, powszednie spełniał posługę.

Pisarz go brał czasem do pomocy. Kozacy starsi obchodzili się z nim jak z dziewczyną lub dzieckiem, chociaż znali jego męztwo. Kilku się w nim tak kochało, jak owi rzymscy Cezarowie w swych Antynosach.

Lackowicz do Płazy był przywiązany namiętnie, jak do ojca, bo z nim jednym o przeszłości, o Krakowie mówić mógł i utyskiwać, chociaż powracać tam się wzdragał.

Zobaczywszy starego druha Lackowicz mu się z okrzykiem rzucił na szyję, ale Stareńko nie dał czasu się witać i rozczulać.

— Słuchaj, Jerema—rzekł pasa poprawując—dawaj bumahy, ja z niemi tej godziny jechać muszę.

— A ja?—zapytał Płaza.

Zamyślił się kozak.

— Zostań tu — rzekł — mnie się widzi, że trzeba będzie znowu posyłać do Warszawy.

Nie dokończył jeszcze, gdy trzech kozaków, ludzi ogromnego wzrostu i dumnej postawy, wtargnęli do izby z takimi ruchy i obejściem się, jakby tu rozkazywać przychodzili. Wszyscy na widok ich przybrali oblicza pokorniejsze.

Ogromnym głosem jeden z nich wkoło się ozierając, huknął: Sława Bohu! Odpowiedziano mu jednym jakby głosem. Stareńko się zbliżył do przybyłych.

— A ot — rzekł — Jerema, ja już chciałem listy mu wziąć i jechać do was.

— Listy — podchwycił drugi — a nu! czas było, aby odpisali. Dawaj je.

Płaza już chustę dobywał.

— A gdzie ten diaczek, pisarz niezdara, pewnie śpi pijany — huknął jeden i oglądając się postrzegł głowę na stole leżącą, w którą pięścią uderzył, budząc diaczka.

Ten przerażony oczy przecierał.

Trzej, widocznie starszyzna, obejrzeli się po gospodzie; jeden z nich popatrzał na Marfę, która mu na drzwi małe wskazała.

Wszyscy oni trzej, diaczka i Płazę prowadząc za sobą przez niskie te wnijście, którego drzwi trudno było otworzyć, wcisnęli się do alkierza Marfy. Spory był, ciemny jak sama gospoda, a czuć w nim się dawała przejmująca woń kapusty, której kadź stała w kącie. Była to razem spiżarnia i sypialnia gospodyni. Na półkach faseczki, garnki, flaszki, po kątach beczki i nasypki, na deskach chleb i obwarzanki. Nieład i brud były odrażające.

Na niskiej ławeczce naprzeciw okienka w grubej koszulinie, bosa, z włosami dawno nieczesanemi, blada, ale w oczach mająca dziki jakiś rozum zwierzęcia, siedziała dziewczynka lat może dwunastu i czekała kłaki. Na widok wchodzących rzuciła się z siedzenia ku drzwiom i znikła.

Kozacy podeszli ku oknu, kazano diaczkowi, le-dwie rozbudzonemu i jeszcze może niezupełnie otrze-żwionemu, listy czytać. Stał z nimi pod oknem, wlepił w nie oczy blachmałem zaszłe i naprzód sam je starał się wydecyfrować.

Plaza przyzostał dalej ku progn. Trzej panowie starszyna naradzali się pociechu.

Jeden z nich począł potem pytania rzucać Plazie. Z głośni tonu widać było taką pewnoś siebie, jakby do odpowiedzi z Warszawy nie zbyt wielką przywią-zywano wagę.

Diaček nakoniec jąkać począł owo pismo od kan-clerza.

Słuchano go z uwagą, uśmiechając się niekiedy i spoglądając po sobie.

Gdy pisarz dokończył, jeden ze starszyny kazął mu czytać raz drugi. Zbliżyli się, musiał powoli słowo im po słowie powtarzać i każdy frazes po kilka razy. Starali się tak wyrozumieć to dyplomatyczne pisanie, jakby pod niem chytrej się dwuznaczności obawiali. Potrząsali głowami, uśmiechali się.

W końcu jeden pismo wziął z rąk diaczka i scho-wał go zanadę, a chwiejącemu się na nogach pisa-rzowi drzwi pokazał, z czego on skwapliwie sko-rzystał.

Plaza stał jeszcze. Zaczęli go znowu o Warszawę pytać, a głównie o królewskie zbrojenie się na woj-nę, przygotowanie do niej czynione i nadzieje, jakie tam miano, że się na turka siła zbierze potężna.

Plaza nie potrzebował nie tać.

— Szlachta—rzekł—wojny nie życzy, opierać się jej będzie, ale król ze swymi przyjaciółmi chce ją mimo sejmu i narodu koniecznie wypowiedzieć. Do ostatniego grosza wydał na działa i na znaczne za-ciągi. W Warszawie bawi poseł wenecki, i włosi też na turka mu pieniędzmi i okrętami chcą posił-kować. Obiecuje się też car moskiewski, z którym właśnie o granice teraz się układają, a król gotów

słyszę Trubezesk odstąpić, aby sobie cara zjednać do sojuszu.

Plaza mówił im tak dosyć długo; słuchali z uwagą.

— Król rozumny — rzekł jeden — ale czy on na swoim postawi? kto to wie? Tam co szlachcie to król sobie, nikogo słuchać nie chce. Z nami jednak musi Władysław kończyć, albo tak lub inaczej, bo my długo czekać nie możemy. Posyłają do nas cesarscy, obiecując dobrze zapłacić. Są i inni, coby nas pociągnąć chcieli. Chce nasz pan a król z sobą kozaków mieć, musi nietylko buławę i chorągwie i bębny złożone posyłać, ale żółd dobry zapewnić i zapłacić co zgóry, aby potem my, jak jego kwarciani, nie potrzebowali się o swój własny grosz dobijać i głodem mrzeć.

— My królowi nietylko na turka — dodał drugi — ale gotowi i na szlachtę pomagać. Niechaj tylko skinie! Pójdziemy my ich poskromić, że myszych dziur szukać będą, i zrobimy mu porządek w domu.

Rozśmiali się wszyscy, a trzeci dodał.

— Mało szlachty, jemu i pankom karków nagiąć potrzeba, bo i ci sobie królują, a on im tylko lalką. Niechajby my na sejm pojechali! byłby ład dopiero.

— Ale cóż — rzekł drugi — w listach kanclerza ciągle łaska królewska dla wojska kr. JMci, zaporożskiego... łaska. My to znamy tę łaskę, aleby ją czas na drobny pieniądz wymienić.

Spytali potem o ożenienie królewskie, bo i o tem wiedzieli, że królowa francuzka miała wielkie z sobą przywieźć skarby, a Jerema potwierdził, iż powszechnie twierdzono w istocie jakoby posąg miała znaczny.

— W listach znowu tylko łaska stoi króla JMci — dodał jeden — a nam trzeba żółdu i bezpieczeństwa, iż zostanie wypłacony. Broni musimy kupić, czajki budować, ludzi ściągać, a nasze gródki poumacniać, bo turek zaczepiony wraz z tatarami na nas padnie.

— A co z tych listów — niechętnie rzekł trzeci —



my jemu czołem bijemy, on nam łaskę swoją posyła... i z tego ślinienia nic... ino czas marnie uchodzi.

Wszczęli tedy naradę, nie pozbywając się Płazy, który stał, a w końcu wszyscy się na to zgodzili, że im trzeba jechać do kosza, radę zwołać, postanowić coś, listy odprawić, warunki w nich jasno opisać, a o dokończenie układów naglić, aby wiedzieć, czy cesarskich posłów z niczem mogą odprawić.

Cesarzowi niemieckiemu, choć wiele obiecywał, wierzyć jakoś nie chcieli.

Władysław z tem swem postanowieniem poskromienia panów bardzo im się podobał.

— A cóż ja mam począć z sobą?—zapytał Płaza w końcu—do kurenia odpocząwszy, czy co?

Lasota miał już cały swój plan osnuty, dla którego chciał do Siczy się dostać, ale starszyna naradzała się cicho, a najpoważniejszy z nich Netreba rzekł.

— Poco tobie darmo na Sicz i z Siczy znowu nazad. My musimy ostatnie listy wyprawić, ty drogi znasz, ludzi widziałeś. Naco nam innego szukać. Długo nie zabawi, musimy cię wyprawić znowu. Zostań tu, czekaj. Gdy listy będą gotowe, przywieżą ci je tutaj, wypoczniesz tymczasem.

Płaza coś zamruczał chcąc się wypraszać. Netreba go po ramieniu uderzył.

— Tymczasem twoje miejsce tu — rzekł stanowczo.—Krzywdy nie będziesz miał. Marfa lepiej warzy i piecze niż nasz w kureniu, odpasiesz się u niej na słoninie i mięsie.

I nie słuchając go wyszli nazad do gospody, a on wywłókł się za nimi. Nie obejrzel się już nawet na niego, sobą zajęci.

W izbie na wychodzącego z posępną twarzą oczekiwali już Lackowicz-Caryca i, pochwyciwszy go pod rękę, wyciągnął z sobą na podwórko od srony rzeki.

Krzaki tylko wiśniowe czikie, poczepiane na stołku urwiska, oddziaływały ich od majestatycznego wi-

doku Dniepru, na którym właśnie, po spłynięciu lodów, ruch się największy objawiał.

Lackowiczowi pilno było pytać, ale Płazie odpowiadać trudno, taki jakiś ciężar czuł na sercu; a nie spadł mu on z niego, aż temu druhowi, którego był pewien, wypowiadał się ze wszystkich przygód swoich. Przyznał mu się i do tego, że córkę znalazł, i że już mu całe życie na Siczy nie smakowało, które raz na zawsze porzucić był gotów, byle z Chortycey dobył swój skarb i mógł go uwieźć z sobą.

O skarbie tym Lackowicz dawniej już wiedział, ale teraz posłyszawszy zaczął bardzo głową potrząsać.

— A oni mnie—dodał Płaza w końcu—nawet na Sicz jechać teraz nie dopuszczają, bo zaraz nazad z listami mają odsyłać. Nie gniewałbym się ja zato, gdybym nią krwawicę tylko mógł odzyskać.

Rozmawiając tak przechadzali się długo nad brzegiem, aż Płazie głód dokuczać zaczął i musiał do Marfy zawrócić, a Lackowicz go nie odstępował.

Biedny ten wygnaniec z upragnieniem słuchał każdego słowa, które się z ust Płazy wyrwało o Warszawie, o dworze, o powszednim życiu, za którym tęsknił.

— Al głupim był—wyjąknął w końcu na stole się rozpierając Caryca—lepiej mi tam żebrakiem było zostać, niż tu atamanem. Ludzie są pobratymy, u wielu z nich serca dosyć, a no tu ani lud, ani serca nie nasze.

Płaza tymczasem rozmyślał. Siedzieli tak do wieczora. Kozak rozpowiadał nawzajem o Kijowie, o wojewodzie, o tem, co na zamku się działo, i jak kozacy nieufnem okiem patrzeli na tutejsze urzędy i starszyznę.

— Króla słuchać—rzekł—pod jego rozkazy pójść, prędzejby się zgodzili, a szlachcie podlegać i tej rzeczypospolitej szlacheckiej, ani im o tem gadać. Nie wolą im to pachnie. Wojewoda, starosta, gdy z ko-

zakami do czynienia mają, jak swoich chłopów ich uważają i pomiatają nimi.

Nazajutrz po nocy niespokojnej Płaza wstał chmurniejszy jeszcze niż wczora. Lackowicz już przy nim był.

— Wiesz co mnie nocką do głowy przyszło—odezwał się do niego Płaza—gdybyś ty mi drubem był, tobyś za mnie się postarał na Chortycę jechać. Ciebie oni puszcza, Carycy wszyscy słuchają. Tambyś mojej skrzynki dobył z pod kamienia, jeśli jej już kto nie zwietrzył i nie wypatroszył, i przywiózłbyś do mnie.

Lackowicz ruszył ramionami.

— Jam się do tego nie zdał — rzekł — a skarbu twego szukać ty tylko sam możesz; daj mi pokój.

— Ja w tobie wiarę mam, miejsce rozpowiem, trafisz po omacku — zawołał Płaza, ręce ku niemu wyciągając.

Zadumał się Caryca.

— Żebyś za to choć z tobą razem powracać mógł!—westchnął.

— Spróbuj się prosić—odparł Płaza—mnie towarzyszyć potrzebny.

Przez cały dzień potem naradzali się i spierali. Płaza nalegał, zaklinał, prosił; Lackowicz się ociągał, obawiał się albo nic lub źle zrobić.

— Tak czy inaczej, toć przepadnie krwawica — mruczał Płaza—popróbuj.

Lackowiczowi nad wszystko uśmiechało się wyzwolenie. Nigdy on nie pokazywał po sobie, jak mu to życie ciążyło, teraz się ono stało nieznośnem.

Trzeciego czy czwartego dnia Lackowicz się wreszcie zgodził próbować, ale nie ręczył za skutek.

— Ja na Sicz i do Chortycy pojedę — rzekł — a nuż tu tobie listy przyjdą z przykazem jechać? Ty będziesz musiał przez...

— A no powrócę po ciebie — dodał Płaza — toć vadium masz w ręku.

Caryca się skrzywił, ale podumawszy zmilczał. Tegoż dnia począł się bardzo pośpiesznie w drogę wybierać. Ów zakopany skarb był ukryty na wyspie w miejscu pustem prawda, ale do wyszukania łatwem. Ogromny złom skały je odznaczał, a Płaza na tej stronie gdzie się podkopał, krzyżyk na kamieniu wyciosał.

Pozostał tedy sam w tej smutnej Marfy gospodzie, a ona do niego ani on do niej przystać nie mógł. Baba w nim wietrzyła lacha, a tego rodzaju cierpieć nie mogła, ledwie czasem raczyła przemówić do niego słowo. Płaza po całych dniach nie mając co robić, wdziawszy odzienie, po którymby niełatwo było poznać kim był, wałęsał się po Kijowie, zachodził do kościołów i do cerkwi, przysłuchiwał i przypatrywał życiu.

Nieraz u szczątków złotych wrót, w których już ani wrót ani złota nie było, stawał mnich czarno odziany, który Nestora czytał i dumał zatapiając się we wspomnieniach. Zwracał się potem w stronę zamku, gdzie mieszkał pan wojewoda małeński, i wzdychał. Złotych teremów wielkich kniaziów nie było ani śladu, szare parkany drewniane opasywały to wieków pobojuwisko.

Płaza więcej to wszystko odgadywał, czuł, niż czytał jasno. Nieraz jako kozak posłuchał żalów, a gorycz ich trwogą go przejęła.

Powrotu Lackowicza żadna rachuba dać nie dozwalała odgadnąć. Konno, czółnem, pieszo i wedle okoliczności sprzyjających lub przeciwnych musiał się przemieszczać z miejsca na miejsce. Dać o sobie znać trudno i niebezpiecznie było.

Codzień prawie przybywali kozacy nowi i odjeżdżali nazad; spytać ich o Carycę nie śmiał. Jeden z nich przypadkiem o nim wspomniał, że go widział, ale w miejscu dosyć od Chortycy odległym i z rybakami na łowach.

Listów też, które mu przysłać miano, słyhać nie było. Pisarz dawno ztąd do kosza powrócił.

Nudziło się Płazie okrutnie; siadywał więc nad brzegiem rzeki i na barki a tratwy patrząc, męczył się myślami. Bietka mu jego na oczach stała, a niepokój o nią ogarniał.

Dnia jednego rano spał jeszcze na sianie w szopie, gdy nad sobą usłyszał głosy i wołania: Jerema. W tych, co go tu wyszukali, poznał dwu ze starszyny pułkowników i Netrebę. Porwał się więc z posłania.

— Wstawaj—zawołał Netreba—pisma ci przywieźliśmy, a jeśli nie dziś, jutro w drogę musisz.

Wzięli go z sobą pilno do tego samego alkierza, z którego znowu wypłoszyli chude dziewczę, z pierzem w garści tym razem.

— Listy masz—rzekł Netreba — a jest ich nawet więcej niż pierwszym razem, bo i do innych panów z naleganiem pisać musimy. Niechaj raz koniec będzie. Regestra są wiele nas tysięcy stanąć może.

Mówcie im ustnie a powtarzajcie, że nam żoldu i pewności potrzeba, ile nas mieć chcą gotowych.

Zechcą kogo tu swojego przysłać, aby się przekonąć, że my pod chorągwiami stoimy, nie zbronne. Pieniędzy przysłać muszą. Płacą obcym zaciężnym i drożej ich niż my kosztować będą, a bez nas się nie obejdą.

My na zawołanie będziemy. Król skinie skoczym na turka i potargamy go tak i na lądzie i na morzu, w jego galerach, że się rozsierdzić musi... ale nam też pewność potrzebna, że gdy pohańcy na nas uderzą, sami nie zostaniemy. Król swoje wojska wysłać musi, a póki my o nich wiedzieć nie będziemy, nie ruszymy się.

Płaza musiał cierpliwie słuchać nauki, jaką mu dawano, a że prości ludzie nigdy pewni nie są, iż się jasno wypowiedzieli z myślą swoją, powtarzano mu

ją nieskończoną liczbę razy, jak gdyby trudną do zrozumienia była.

Każdy z osobna, na swój sposób tę samą piosnkę mu kładł do ucha. Jerema potakiwał, oni wznawiali jeszcze, żeby kanclerzowi to wraził, że pieniędzy potrzebują, że umowa stanąć musi o liczbę i że wojsko trzeba wysłać na granicę zawczasu.

Pisma w chusty tureckie poobwijane wedle obyczaju, zaszyte w płótno, oddano wreszcie posłowi, który ledwie się mógł do dnia następnego wyprosić z wyjazdem. Nie spodziewał się już Lackowicza-Carycy.

Podszeptął wprawdzie, że radby towarzysza do podróży miał, ale mu odparto, że ją już raz sam odbył, a nic mu się nie stało i mniej oczów zwracał na siebie.

Tak więc, żadnej nie mając wiadomości o Carycy, ani jemu o sobie dać jej nie mogąc, dodnia wyjechać musiał.

---

## II.

Królowa w Ujazdowie, chociaż miała wiele własnych trosk i niepokojów w pożyciu i stosunkach z mężem, a oprócz tego dwór swój rozdwojony na obozy nieprzyjazne godzić musiała i jednać, aby z tych zwad nie korzystali jej nieprzyjaciele, okazywała też wielkie zajęcie losem Bietki i ciągle o nią dopytywała. Brakło jej usłużnego dziewczęcia.

Platenberg koniuszy, który zawsze udawał odda-



nego królowej, a był posługaczem Paca i szpiegiem królewskim, nazajutrz dopiero, z dość kwaśnem obliczem przyszedł oznajmić N. Pani, że pono litwini dogнали uwieszone dziewczę i odbić je mieli. O nazwisku tego, który je porwał, koniuszy niby nie wiedział. Dodał, że sługa ks. Alberta Radziwiłła, który w pogon się puścił za porwaną, był podobno ranny, a nawet i Bietkę w tej walce kula drasnąć miała.

Królowa, usłyszawszy to, załamała ręce, co widząc Platenberg, pokłonił się i zapewnił ją, że w miesce Bietki, gdyby tylko rozkazała, postara się jej o dziewczę niemniej roztropne, usłużne i umiejące po francuzku.

Marya Ludwika spojrzała na niego nieco zdumiona i odparła z niechęcią: Przywiązałam się do niej, a spodziewam odzyskać, nie chcę żadnej innej.—Platenberg skłonił się raz jeszcze i na tem się skończyło. Próba się nie powiodła; przygotowano już bowiem panienkę, którą panna Amanda bardzo sobie życzyła widzieć przy królowej, bo przez nią o wszystkim, co się tu działo, byłaby w czas zawiadomiona.

O losie Bietki oczekiwano w Ujazdowie wiadomości co chwila, a przywiózł je dopiero pan des Essarts po południu, przybywszy z niemi umyślnie. Uspokoił on królowę, że Bietka była bardzo lekko ranna, gdyż kula przezśliznęła się tylko po ramionach, litwin Nie-tyksza ciężko porąbany i postrzelony, mógł jednak uzdrowieć. Gwałtownika nie ujęto, ale wiadano do- wodnie, że nim był Nesteracki.

Królowa chciała natychmiast Bietkę kazać przywieźć do Ujazdowa, aby ją samą mogła pielegnować, ale Platenberg doniósł, że dziewczęcia na zamku nie było, bo je ciwunowa Mingajłowa zabrała do pałacu Kazanowskich, gdzie o niej macierzyńskie mieć obiecywano staranie.

Król, który był uwiadomiony o całym wypadku, chociaż w innych rzeczach, gdzie szło o kobiety, prze-

ciwko podobnym gwałtom z wielką występował surowością, tym razem, skutkiem podszeptów Paca i Platenberga, okazywał się obojętnym. Przyczyniała się do tego okoliczność, iż królowa żywo się o krzywdę swej sługi upominała.

Pani des Essarts odebrała natychmiast polecenie udania się do pałacu Kazanowskich, aby z ust Bietki samej dowiedziała się o szczegółach wypadku, przekonała się, czy rana nie była niebezpieczną, a zapewniła dziewczę, że królowa nad losem jej czuwać będzie. Wszystko to na dworze króla i królowej służyło za wątek do nieskończonych rozpraw i plotek.

Posłana przez królowę des Essarts znalazła Bietkę wprawdzie zmęczoną, przestraszoną, rozgorączkowaną jeszcze, ale niezrażoną od usług dla królowej i niezagrożoną niczem oprócz łóżka przez tygodni parę. Rana, którą Nesteracki w rozpaczę gdy mu odbierano Bietkę zadał jej postrzałem z pistoletu, chociaż mierzył w piersi, ramiona tylko drasnęła i nie była wcale niebezpieczną. Doktor, śmiejąc się, mówił, że blizna tylko po niej na całe życie jako wspomnienie może pozostać.

Bietka opowiedziała pani des Essarts z żywością wielką, jak zręcznie rzucono się na nią, gdy przechodziła około Bernardynów, usta jej zawiązano, aby krzyknąć nie mogła, do wozu też stojącego wniesiono w mgnieniu oka i cwałem uwieziono z miasta o zmierzchu.

Sam Benedyk Nesteracki z pistoletem nabitym w rękę, na dźżku woza siedząc, przy związanej ofierze swej na straży jechał, ciągle ją uspakaając. Gdy później pogoń się ukazała, on i jego ludzie naprzód uciekać się starali, potem przygotowali do rozpaczliwej obrony, a Nesteracki palce założywszy poprzyściągł, że jej żywej nie wypuści, a raczej sobie i jej życie odbierze, niżby miał za nią ginąć na szubienicy.

Nie dano mu tego dokonać, chociaż naostatku do

Bietki wystrzelił, gdy ich zewsząd otoczono, a Nietyksza go za nogi już z wozu ciągnął. Wyrwał się mu potem z rąk, ludzie Nesterackiego poranili ciężko litwina, ale pobici nakoniec uciekać musieli w las.

Bietka opowiadając to płakała, to pięści zaciskała i jeszcze przyjść do siebie nie mogła. Prosiła pani des Essarts, aby królowej podziękowała za jej troskliwość i opiekę, obiecując, gdy rana się zagoi, powrócić na służbę, przynajmniej dopóki by ojciec nie powrócił, a ona (szepnęła to na ucho) nie pomściła się na tych, którzy Nesterackiemu byli pomocą. Wiedług niej wszystko to sprawą było Amandy.

Nietyksza — jak mówiło dziewczę — postrzelony miał być w nogę i porąbany szablami, lecz życiu jego nie groziło. Bietka, gdyby nie własna jej rana, gotowa była sama iść czuwać nad swoim wybawcą. Wszyscy naturalnie wnosili z tego, iż się oni w końcu pobrać powinni.

Za Nesterackim zbiegłym nie gonił nikt, nie wydano nawet rozkazów ścigania go i chwytania, chociaż porwanie się na służbę królowej, należącą do dworu i zamku, winę jego tem cięższą czyniło.

Pac i przyjaciele Amandy usilowali Benedyka tem tłumaczyć, iż Bietka zalotnością swoją, a może nawet jakimi obietnicami uwodziła Nesterackiego, a potem go dla młodszego i przystojniejszego Nietykszy zdradziła.

Radziwiłłowskiego dworzanina towarzysze odwiedzili do książęcego dworu, gdzie kanclerz sam zalecił go pielęgnować starannie i doktora n.u. posłał swojego, aby rany opatrzył. Dano też zaraz zwać matkę jego na Litwę, bo jedynakiem u niej był, aby do syna przybyła.

Stara Nietykszyna mieszkała i gospodarowała w znacznej majątności swej dziedzicznej pod Olkienikami. Słyszała ona, nawet wśród takich gospodyń, za jakie wszystkie litwinki uchodziły, za nader zabiegłą i skrzętną panią.

Z domu Gedyminówna, mając się za dziecię rodziny wielkiego pochodzenia z książąt litewskich, pani Rozalia Nietykszyna niezmiernie tem była dumną.

Despotycznego charakteru, energiczna, naprzód z trudnością pozwoliła synowi wejść w służbę księcia Radziwiłła, chociaż w tem, wedle ówczesnych wyobrażeń, nie upokarzającego nie było, choćby zubożały potomek znacznego domu dostał się na dwór najmożliwszej i najpotężniejszej rodziny. Nie smakowało to dumnej Gedyminównie, ale w końcu zgodziła się syna w świat puścić, aby się przetaił.

Ranny przewidywał nie bez przyczyny, znając matkę, że ona go teraz pewnie zechce zabrać do domu, ale miał za sobą księcia, który obiecywał wyprosić go sobie nadal.

Łatwo się też domyśleć było, że stara ani słyszeć nie zechce o małżeństwie z jakąś dworką, której szlachectwo nawet było wątpliwem.

Gdy się to działo z Bietką, intrygi dworskie dalej się powoli ciągnęły. Kazanowski z wielką zęczością sam i przez żonę swą starał się nakłonić królowę, aby z sum swych, złożonych w Gdańsku, conajprędzej królowi na wojenne jego potrzeby kilkakroć sto tysięcy talarów pożyczyła.

Pani Kazanowska poufnie zapewniała Maryę Ludwikę, że tym sposobem najłatwiej, najpewniej sobie serce małżonka pozyszcze. Skłaniała się już ku temu królowa, lecz z drugiej strony ostrzegano ją o niebezpieczeństwie.

Tu stał mąż wielkiego znaczenia, powagi i energii chłodnej, kanclerz Albrecht Stanisław Radziwiłł, którego sam król nawet, dla wpływu jego i wielkich przymiotów szanować i oszczędzać musiał. Ale z nim obchodził się Władysław tak jak z wielu innymi, których potrzebował, okazywał im łaskę i życzliwość, ale ich więcej się obawiał niż lubił.

Z kanclerzem napozór będąc bardzo przyjacielsko i poufnie, król tak dalece był ostrożnym, że mu do-

tań planów swych wojennych przeciw Turcyi nie odkrył i do nich się przed nim nie przyznawał. Wiedział o nich Radziwiłł z pogłosek i stanowczo był przeciwnym; upatrywał w tem szkodę Rzeczypospolitej, niebezpieczeństwo i w przyszłości bolesne zawody. Nigdy jednak z królem mówić o tem nie miał zręczności i sam o to zagadnąć nie chciał.

Życzliwym będąc dla królowej, którą widział nie tak przyjętą w Polsce jak zasługiwała, kanclerz ostrożnie sam i przez żonę starał się jej radą nstłużyć życzliwą.

Poufnie więc w rozmowie całkiem przeciwnie radził Maryi Ludwice, aby się starała pod jakimś pozorem trudności w odebraniu pieniędzy na wojnę odmówić.

— Wszyscy są prawie przeciwko tej wojnie—mówił królowej *sub rosa* — oprócz garstki pochlebców lub krótkowidzących ludzi. Szlachta jeśli się dowiedzi, żeś N. Pani na wojnę tę jej niemilą pieniędzmi dopomagała, okaże się trudną potem na sejmie w uchwaleniu dla niej należytej oprawy. Król nalegać nie może. Sam już stracił wiele, a wszystko napróżno, gdyż stateczniejsza narodu część wypowiedzeniu wojny tak niebezpiecznej się sprzeciwi.

Królowa nie wątpiła, że ta rada płynęła z dobrogo serca i była rozumną, lecz jak trudno jej było pójść za nią.

— A, książę mój—rzekła z westchnieniem—rozumiem to dobrze, wdzięczną wam jestem za przestrożę, ale jak trudno mi z niej będzie korzystać! Przypatrzcie się tym co mnie otaczają, pomyślcie jak nieustannie jestem na nalegania wystawiona, potrafisz się ja oprzeć?

Ks. Albrecht nie obawiał się dla siebie intryg dworskich, chociaż wiedział, że na nie był wystawiony.

Nie chciał on znać panny Amandy i wszyscy jej

przyjaciele, szczególnie Pac, podejrzewali go, a króla przeciwko niemu starali się rozjątrzyć.

— N. Panie — szeptał Pac — kanclerz tu siedzi w Warszawie wrzekomo dla traktatów z posłami moskiewskimi, ale on i jego żona codzień prawie u królowej bywają. Jeżeli N. Pani tak zwleka z pożyczaniem pieniędzy, niechybnie w tem jest wpływ Radziwiłłowski, bo kanclerz o wojnie z turkiem ani słyszeć nie chce.

Toż samo Platenberg potwierdzał i inni zauszni-cy. Król coraz zimniejszym zaczął się okazywać dla ks. kanclerza, ale poważny mąż nie chciał tego widzieć.

Przyszły właśnie do rozdania wakanse na Litwie po śmierci kasztelana wileńskiego i wojewody nowogrodzkiego. Władysław na wczesne prośby kanclerza przyrzekał dać województwo Chreptowiczowi, a chorążtvo wielkie litewskie Gąsiewskiemu.

Chodkiewiczowie, nieprzyjaciele Radziwiłłów, zabierali kasztelanią wileńską, coś się więc jako kompensata należało Radziwiłłom, a koniuszowstwo dane ks. Bogusławowi, nie starczyło.

Król przywilej na chorążtvo dla Gąsiewskiego, protegowanego kanclerza, już miał podpisać, gdy na jakiś znak Paca odłożył to do jutra.

Pac czatował na to chorążtvo dla swego brata, a król zapomniał, że mu je był przyrzekł. Nietylko faworyt i tak potrzebny służka został tem dotknięty, natychmiast po odejściu kanclerza wpadła panna Amanda za Pacem, dowodząc, że król złamał dane słowo.

— Ale kanclerz! — zamruczał Władysław — co ja z nim pocznę, dałem mu słowo, przywilej wygotowany już.

— To go przepiszą — zawołała niemka. — W. Król. Mość nie masz lepszego, wierniejszego sługi nad Paca. On cierpi od wszystkich, on jeden o sobie nie pamięta. Radziwiłłowie ciągle coś biorą, partyę sobie



tworzą, a są przeciwko W. Miłości najważniejszym planom i projektom. Jeżeli się królowa opiera z pie-niedźmi — powtórzyła niemka — nie czyja to sprawa, tylko ks. kanclerza. I za to go masz W. Król. Mość nagradzać jeszcze?

Zjawił się w porę sam Pac ze łzami na oczach, bolejąc nad tem, iż król jego rodzinę tak lekcewa-żył... a korzystając ze zrzeczności nie tylko brata, za-lecał, ale począł przeciwko Chreptowiczowi wymyślać, którego Radziwiłł na województwo nowogrodzkie za-lecił i miał już obietnicę, że je otrzyma.

Jeden ten wieczór, nagle wczorajszą dla Radzi-wiłła łaskawość zmienił nagle, ale Władysław tak się całym sprawy przebiegiem zgryzł, przewidując następstwa, że nazajutrz ciężko zachorował.

Kanclerz Radziwiłł przybył z przywilejami do podpisu, wybiegł do niego, łamiąc ręce, w istocie na-straszony Kazanowski, powiadając, że królowi grozi niebezpieczeństwo.

— Śmierć przededrzwiami! — wyraził się marsza-łek. — Radziwiłł, nie domyślając się nic jeszcze, odje-chał, nie mogąc widzieć chorego.

Następnych dni Władysław miał się lepiej, ale oprócz najbliższych sług nie przyjmował nikogo. Nie dopuszczono też królowej. Doktor uspokajał, że nie-bezpieczeństwo minęło, ale zawsze potrzeba było spo-koju.

Kilka dni Radziwiłł dowiadywał się tylko zdala o zdrowiu króla, ale razem z wiadomością o pole-pzeniu odebrał poufną przez Ossolińskiego, że król zmienił zdanie i chorąztwo nie Gąsiewskiemu, ale Pa-cowi podpisał.

— Król mi dał słowo, przywilej wygotowany! — zawołał kanclerz — to nie może być.

— Tak jest jak mówię — dodał Ossoliński — a przy-kro mi razem oznajmić wam, że daleko gorsza dru-ga czeka was niespodzianka. Czy król dla Chrepto-

wicza na województwo nowogrodzkie przywilej podpisał?

— Tak jest! podpisu przecie nie zaprze... mam go—zawołał kanclerz poruszony do najwyższego stopnia—coż się mogło stać?

Ossoliński poruszył głową znacząco.

— Nie wiem, co się stało, ale to pewna, że województwo nowogrodzkie nie Chreptowicz otrzyma, ale pan wojewoda mściławski.

Pobladł Radziwiłł.

— Jesteście tego pewni?—spytał.

— Najpewniejszy jestem—odparł Ossoliński.

— No — rzekł Radziwiłł ze spokojem nie dobrze odegranym—przestrzeżcież króla JMci, że gdy przyjdzie do podpisywania i pieczętowania tego nowego przywileju, przyniosę pierwszy podpis królewski, ukazać mu go, a jeśli się król zaprze ważności własnego pisma, w oczach jego na drobne go kawałki poszarpię i pokłoniwszy się, pójdę precz, ale nie wrócę.

To rzekłszy Ossolińskiemu, kanclerz litewski za kapelusz wziął i pożegnał go.

Ossoliński wiedział dobrze, iż z Radziwiłłem lekko sobie postępować nie było można, pojechał więc do króla z doniesieniem. Władysław się zadumał, ale Pac podsłuchawszy i rozmyśliwszy się, jakie następstwa z tego wyniknąć mogą dla niego i rodziny, natychmiast po odjeździe Ossolińskiego wpadł do króla.

— Widzisz, coś ty mi tu narobił nieopatrnością swoją—rzekł król—ja sobie Radziwiłłów zrażać nie mogę.

— Ani jabym ich nieprzyjaciółmi nie chciał mieć—dodał Pac — a na mnie wszystko złożyć nieochybnie. Jadę natychmiast przeprosić kanclerza, N. Panie i wezmę wszystko na siebie... potrafię naprawić.

— Próbuj—rzekł król.

Nie zwłóczył Pac i natychmiast do dworu ks. Albrechta pośpieszył, ale go tu nie zastał—układy z po-

słami moskiewskimi go zajmowały. Wieczorem pojechał raz drugi.

Wprost już, zrzuciwszy pychę z serca, Pac kanclerza począł jak najmocniej przeproszać, modlić, prosić, aby się nie gniewał, przyznając się, że on był wszystkiego przyczyną, ale król dał słowo, że Gąsiewskiemu chorążtvo to zostanie sownie i prędko wynagrodzone.

Radziwiłł był zbyt zręcznym politykiem, by się twardym okazać; powolność dawała mu pewną korzyść w przyszłości, nie chciał zrywać z królem. Łagodnie więc odpowiedział Pacowi i przyrzekł, że zapomni krzywdy swojej.

Król miał się lepiej i kanclerz pojechał do niego nazajutrz rano; został przyjęty z uprzejmością nadzwyczajną.

— Przebacz mi—odezwał się król, gdy pozostali sami. — Widzisz, chory jestem, znękany, zapominam się, a młodzi korzystają z tego, że mi są potrzebni i że ja się bez ich usług obejść nie mogę, cierpiąc.

Na tem skończyła się sprawa ta, która nie mogła Radziwiłła dla króla usposobić przyjaźniej, chociaż Pac dopilnował dotrzymania słowa i Gąsiewski w tymże miesiącu dostał za chorążtvo stolnikowstwo litewskie.

Radziwiłł, skończywszy szczęśliwie z posłami moskiewskimi, wyjechał do Szydłowca.

Tymczasem nalegania na królowę, aby pieniądze z Gdańska sprowadziła i pożyczyła, nie ustawały. Władysław nawet osobiście starał się przemódz i okazywać, jakby skłonniejszym do zbliżenia się.

Rozkazał dla rozerwania jej grać komedyo-opery na teatrze zamkowym, zaprosił ją z sobą na łowy, na których okazywał pewne względy. Marya Ludwika nie bardzo się łudząc, rozumiała znaczenie tych zabiegów.

Kanclerz litewski powrócił z Szydłowca do War-

szawy i znalazł ogromną zmianę w atmosferze dworu. Tu tchnęło wszystko jawnie wojną.

Niewiadomo z czyjej porady, Władysław postanowił to, co dotąd knuł potajemnie, ogłosić otwarcie. Wmówił mu zapewne Ossoliński, że pora nadeszła potemu.

Wprawdzie i wprzód wojna z Turcyą *in votis* nie była tajemnicą dla bardzo wielu; cel przybycia posła weneckiego Tiepolo, który przywiózł obietnicę 800,000 talarów na tę wojnę, także wielu znało; królowę zmuszono niemal, iż pieniądze przyrzekła.

Ale czego się wprzód wystrzegano, król zamiast na łowy, począł codzień w komitywie wojskowych jeździć do arsenału, piechotę kazał przed zamek prowadzić, nowe zaciągi, sam ją lustrował, wydawano żołnierzom zaciągany patenty i t. p.

Obok króla Zygmus na małym koniku, przy szabelce, występował jako przyszły pułkownik usarów.

Zaledwie z kolebki wysiadłszy, kanclerz się o tem dowiedział, ale pierwszemu, co mu głośno zagadał o wojnie z Turcyą, odpowiedział z wielką zręcznością:

— Mylisz się, z Turcyą niema ani powodu do wojny, aniby się na nią rzeczpospolita zgodziła; prędzej przypuszczam, że szwedzi nam grożą, uczyniwszy pokój z cesarzem.

Nazajutrz, nim kanclerz się wybrał do Ujazdowa, gdzie się król znajdował, nądjechał posłany przez niego Ossoliński. Miał on zlecenie rozbić pierwsze łody. Królowi było ciężko nagle tak ogłosić wojnę, wolał, aby go w tem ktoś wyręczył.

Ossoliński, doskonały polityk, wszedł z wesołą twarzą do pokoju, w którym Radziwiłł sam był jeszcze nad papierami.

— Coż słychać? — zapytał litwin, wpatrując się w rozjaśnione oblicze towarzysza. — Król jak się ma?

— Król zdrowszy — odparł Ossoliński — dowodem

tego, że jeździł na łowy, a na nich, zamiast zająca, wojnę upolował.

— Jaką wojnę?—zapytał Radziwiłł.

— Przeciwno Turcyi — począł spokojnie Ossoliński. — Tiepolo nam się z tego nie zwierzał, ale królowi miał zlecenie oznajmić, że rzeczpospolita wenecka ofiaruje subsydum 800,000 talarów na tę wyprawę. Przywiózł oprócz tego listy ks. Etruryi i co więcej, od ojca św. papieża.

Król, znacie go jak jest rycerskiego usposobienia, nie mógł się oprzeć, wojna tak jak ogłoszona, patenty żołnierzom porozdawane.

— A dla kapitanów patenty—przerwał zimno Radziwiłł—wszakże one pieczęci wymagają?

— Tak jest, niewątpliwie, będziemy je musieli pieczętować—rzekł Ossoliński.

— Ja zaś oświadczam najuroczyściej — odezwał się spokojnie litewski kanclerz—iż wprzódry sobie rękę dam uciąć, nim patenty przypieczętuję.

Zmieszał się nieco Ossoliński.

— Sprawa ta zbyt ważna i obchodząca całą rzeczpospolitą—dokończył Radziwiłł—abyśmy ją samowolnie rozstrzygali.

— Zgadza się na to—po krótkim namyśle odezwał się Ossoliński — ale zobaczcie się z królem, zwoła zapewne radę.

Rozstali się więc, a kanclerz litewski nie zwłócząc, pojechał do Ujazdowa i naprzód stawił się u króla.

Władysław powitał go twarzą nader wyjaśnioną i wesołą.

— Witam was z powrotem—rzekł, podając rękę do pocałowania—a tem mi jesteście pożądańsi, że potrzebuję rady was wszystkich. W poniedziałek zwołam pp. senatorów — i pocichu, uśmiechając się, dodał:

— *Jam proximus ardet Ucalegon.*

Radziwiłł udał, że albo nie słyszał lub nie rozumiał.

Rozmowa potoczyła się innym torem i nie tknęła żywotnej kwestyi, ale potraçał król co chwila z nią powiązane, z czego kanclerz nie chciał korzystać i tak na ogólnikach się skończyło.

Radziwiłł nie spał; do poniedziałku czas miał się rozmówić z innymi panami senatorami o tej wojnie, której się tak obawiał.

— Król — mówił kanclerzowi, z którym się spotkał we cztery czy przypadkiem czy umyślnie w ogrodzie księży Reformatów — pragnie gorąco wojny. Na radzie będzie nas skłaniał, abyśmy na nią przyzwolili, a potem nie on, ale my będziemy za to, co zostanie postanowione, odpowiedzialnymi.

Powaga ks. Albrechta była tak wielka, że ci nawet, co inaczej myśleli, a królowi się chcieli przypodobać, jemu się sprzeciwiać nie śmieli.

W poniedziałek wezwany do króla na czwartą godzinę, książę pojechał i znalazł go w wannie, z czego bardzo rad powrócił do domu.

Król, niepewien senatorów, radę i zwołanie ich odkładał, ale tymczasem swoje robił, zaciągi ściągał. Ponieważ pieniędzy już nie miał wcale, został zmuszony choć tymczasowo się zapożyczyć u królowej. Kazanowski służył za pośrednika. W Maryę Ludwikę wmawiał, że sobie tym sposobem pozyska małżonka i niemal ją przekonał już; króla nakłaniał, żeby żądając ofiar, przynajmniej grzecznym, jeżeli nie czułym, okazywał się dla żony.

Władysław prawie się rozgniewał na przyjaciela młodości.

— Ale, Adamie mój, ja dla żadnej w świecie kobiety nie umiem być niegrzecznym, nawet dla prostej dziewczki! Jak ty mi możesz zarzucać niegrzeczność dla królowej?

— Mogę, bo na nią patrzę — odparł poufale Ka-



zanowski — jesteś grzeczny dla dziewcząt, prawda, tylko nie dla żony. Często siedzisz przy niej godzinami nie przemawiając słowa, odjeżdżasz bez pożegnania, nie troszczysz się o nią wcale. Teraz, gdy chodzi o uczynność z jej strony...

— Ale ja nie żądam daru, tylko pożyczki! — zawołał król.

— Pożyczki, zgoda, ale i o to prosić należy—dał Kazanowski.

Władysław skrzywił się, lecz czuł, że przyjaciel miał słuszność i zmilczał.

Na następne polowanie zaproszoną została Marya Ludwika. Król ją przyjął z uśmiechem, na powitanie uchylił czapkę i przemówił po włosku. Coś nawet podobnego do rozmowy plątało się przez kwadrans, a Pac stojący nieopodal mocno się już lękał, aby francuzka sobie męża nie pozyskała.

Uważał oprócz tego, że król ostygłał znacznie dla panny Amandy.

Po polowaniu tem wkrótce córka kanclerza Ossolińskiego Urszula wychodziła zamąż za starostę bractawskiego. Królestwo byli zaproszeni, dwór cały. Władysław znowu był w złym humorze, tak dalece, że biskupowi poznańskiemu nie dał się z sobą pożegnać u Ossolińskich, ale mu surowo wskazał, że powinien był z pożegnaniem jechać na zamek.

Wszyscy postrzegli ten okropny humor i podrażnienie, którego przyczyną było, że opinia Radziwiłła przeciwko wojnie brała górę. Senatorowie zaczęli ją odradzać, cofać się. Niektórzy z nich kosem okiem widzieli, że posłowie wenecki i francuzki bawili przy królu, podejrzewając ich o pobudzanie do wojny. — U nas niema zwyczaju—mówili—aby rezydenci obcy mieszkali. Wesele dawno skończone, czegoż oni tu bawią?

Po zwłokach tyłu król naostatek dał posłuchanie Radziwiłłowi, lecz miał się na ostrożności. Obu im

trudno było rozpocząć rozmowę, szczególnie Władysławowi, który się powściągnąć nie umiał.

Naostatek król nadzwyczaj przymilającym się głosem, błagająco prawie odezwał się do kanclerza.

— Wiecie czego ja tak mocno pragnę? — rzekł. — Nigdy polityczne konstellacye się nie składały lepiej przeciwko turkom, jak teraz, aby ich wygnać z Europy. Ja chcę zdobyć dla Polski chwałę dokonania tego czynu.

Wy jesteście przeciwko wojnie?

— Tak jest — odparł Radziwiłł.

— Dlaczego?

— Dlatego, że cały kraj jest przeciwko niej, N. Panie.

— Szlachta nie rozumie nic — przerwał król — ja biorę to na odpowiedzialność moją. Nie przeszkadzajcie mi, macie wpływ, możecie wiele, proszę was, uczynicie to dla mnie.

— N. Panie — zawołał kanclerz z żywością wielką — gotów jestem służyć wszystkiem co mam W. Król. Mości do ostatniego tchu mego, ale bez wiadomości senatu i rzeczypospolitej, ani W. Król. Mości, ani nam ważyć się na takiej doniosłości postanowienie podobna nie jest.

Zmieszał się król i wyjąknął.

— Senat pójdzie za inicjatywą.

Zamilkł potem i smutnie zwracając się ku Radziwiłłowi, dokończył.

— Wierzaj mi, jakieś fatum mnie ciągnie ku tej wojnie. Marzyłem o niej od młodości. Ziszczają się najdawniejsze pragnienia... muszę...

Kanclerz za to nie umiał nawet odpowiedzieć. Królowi zdawać się musiało zapewne, że już go ujął sobie.

— Dlaczegoż — spytał — nie chcesz przykładać pieczęci do listów na zaciąg żołnierzy?

— N. Panie — począł zwolna kanclerz — czynię to w interesie W. Król. Mości. Obrażonąby się tem

czuła rzeczpospolita, że się stało bez jej wiadomości; my, kanclerze pieczętując, stracilibyśmy zaufanie kraju, a któżby potem w nieuchronnym konflikcie między panem a rzecząpospolitą pośredniczył i jednal?

Myśmy przysięgą zobowiązani nie pieczętować, na co niema zgody stanów ogólnej. Spytanoby nas o rachunek na sejmie. Musielibyśmy odpowiedzieć: Król kazał.

Koniec taki, że składając na króla, mybyśmy go obwiniali.

Władysław słuchał, myśląc może o czem innem; dość mu było na tem, iż się przekonał, że Radziwiłł złamać się nie da, i nie nalegał już. Obmyślał środki inne zapewne.

Od królowej część pieniędzy wyludżono. W czasie wesela król wyszafowawszy już pożyczone 200,000, zażądał nagle, aby Marya Ludwika pożyczyła więcej jeszcze na oblig posła weneckiego.

Wezwany na radę de Brégy, naprzód ostrzegął, że Tiepolo nie ma pełnomocnictwa takiego, któreby mu długi zaciągać dozwalało; bezpieczniej zresztą było i samej rzeczypospolitej weneckiej nie dawać inaczej tylko na zakład jakiś.

Odpowiedź tę zanesiono królowi, który nie rozgniewał się, ale wpadł w najokrutniejszą chwilową wściekłość. Krzyczał, bił o stół rękami, odgrażał się na żonę, a nazajutrz gdy razem byli na przenosinach Ossolińskiej, wobec wszystkich gości ani się żonie skłonił, ani do niej mówił, nie patrzył, tyłem się obracał, okazując największe oburzenie.

Przez cały czas Marya Ludwika płakała i musiała chustkę trzymać na ustach, u czoła, skarżyć się na ból głowy. Ci co przeciwko niej intrygowali brali górę i cieszyli się; tymczasem w usposobieniu króla zaszła zmiana jakaś niewytłumaczona.

Władysław przekonawszy się zapewne, że przykład Radziwiłła był zaraźliwy, bo senatorowie jeden

po drugim przechodzili na jego stronę, począł wbrew zaręczać, iż on wcale o wojnie i wydawaniu jej nie myśli. Pułki, przygotowania, wszystko być miało tylko środkiem obronnym. W tym sensie z kancelaryi listy rozpisano i rozesłano. Złożono na tatarów cały ruch ten wojenny.

W najściślejszem kółku jednak nie zaprzestano ciągnąć dalej układów potajemnych, korespondencyj zagranicznych wysyłać, pułków nie myślano rozpuszczać. Jawność tylko powstrzymana została.

Pomiędzy królem a królową przyszło przez pośredników do jakiegoś tłumaczenia, uniewinnienia ze strony Maryi Ludwiki, łagodzenia ze strony króla. A że jeszcze kilkakroćstotysięcy talarów było do pozyskania od żony, Władysław znowu ją szanować zaczął.

W czasie tych wesel i zabiegów ranne dziewczę, wyzdrowiało, ramię się zabiłniło. Marya Ludwika jak tylko się o tem dowiedziała, zaczęła się domagać jej powrotu na dwór.

Bietka więc wróciła.

Wistocie była ona potrzebną, bo francuzi ze dworu królowej waśnili się tak, że służba na tem cierpiała, a przynoszone przez nich wiadomości i skazówki bardzo często zawodziły.

Chociaż blisko zamku przez ten czas była Bietka, musiała przybywszy tu, nanowo się rozpoznawać w położeniu.

P. Amanda, która się spodziewała jawnie występować przeciwko królowej, popierając się wychowaniem Zygmunta powierzzonego sobie, coraz znajdowała położenie swe trudniejszym.

Królewicz przekładał pieszczącą go macochę nad swą ochmistrzynię, uciekał od niej. Amanda z królem, który był mocno rozdrażniony, po kilkakroć musiała się posprzeczać, aż do mdłości.

Jednym razem niespodziewanie, dawniej stręczony Niemce za męża starosta krzemieniecki C... zjawił się

na dworze. Pac, który wszystko wiedział, szepnął Amandzie, że król go sprowadził. Wprawilo ją to w gniew, zachorowała naprzód, położyła się, wstała potem, odmówiła przyjęcia starości, i nazajutrz go przyjęła. Gniew i płacz mieniały się ciągle.

Platenberg wietrzył już upadek faworyty. Jednakże król, który scen nie lubił i unikał, kazał się nosić do Amandy, chodził do niej gdy mógł, siadywał, o starości zdawał się nie wiedzieć, a chwilami okazywał nawet jej czułość.

Bietka zapewniała królowę, że wkrótce się pewnie Amandy pozbędzie, i zgadła. Niemka sama przyspieszyła rozwiązanie. Jednego wieczora, gdy się jej zdawało, że król był nadzwyczaj serdecznie usposobiony i obejść się bez niej w żaden sposób nie potrafi, postawiła ultimatum.

Oświadczyła pokornie N. Panu, iż starosta krzemieniecki chciał się z nią żenić, że ona musiała myśleć o swym przyszłym losie. Wprawdzie, gdyby go miała zapewnionym tak jak Urszula Meyerin, gdyby jej stanowisko obok królowej było oznaczone i t. d. gotowa się była poświęcić; lecz gdy król się z tem ociągał, ona obowiązana była ratować swą sławę, zapewnić spokój i t. p.

Król słuchał bardzo spokojnie.

Wspomnienie Urszuli Meyerin, którą kochał jak matkę, naprzód chmurą mu oblokło czoło; spojrzał na wyróżzowaną i wykrygowaną swą przyjaciółkę, przypomniał co syn trzymał o niej, wcale się nie przywiązawszy do opiekunki, kłopoty w jakie go fałszywe położenie panny Ekerberg wprawiało i zamruzczał.

— Ale ja nie chcę wiązać panny Amandy... proszę rozważyć, namyśleć się, jam gotów...

Niemka spazmatycznie się rozplakała, a król wyszedł.

---

### III.

Nie ulegało już potem wątpliwości dla tak przenikających jak Pac i Platenberg myśli króla i jego uczucia, że panowanie Amandy się skończyło.

Z pewnych względów dla Paca mogło to być korzystnem, bo król bez jakichś miłostek obejść się nie mógł nigdy, i trwały te fantazyje do końca jego życia, a młody dworzanin służył za pośrednika i poszukiwacza łatwych piękności. Z wyjściem zamaż panny Amandy Pac stawał się królowi niezbędnym, ale niemożna było przewidzieć, czy królowa, która powoli zyskiwała wpływ u ludzi, jednała sobie, nie potrafi przez nich w końcu królem zawładnąć.

Pannie Amandzie zdawało się, że nazajutrz król stęskniony przyjdzie ją przeprosić i żądać, aby ze starostą zerwała.

Stało się tymczasem przeciwnie: król zrana wysłał Paca, poleciwszy mu oświadczyć, że na siebie bierze wyposażenie Amandy.

— Zygmunta potrzeba oddać w ręce mężkie — rzekł — Amanda nie umiała się zalecić królowej, wszyscy ją uważają tu za moją faworytę; ja mam z tego powodu nieprzyjemności. Niech idzie zamaż.

Miłość własna nie pozwoliła już się cofać obrażonej, starosta został przyjęty, ale Ekerberg zachorowała z gniewu. Król tak obojętnie wszystko to przyjmował, jakby w całym tym stosunku jego, serce najmniejszego udziału nie miało. Jakby dla upokorzenia panny Amandy, która siebie i swe stanowisko miała za wyjątkowe i spodziewała się godów weselnych wspaniałych, sam król zadysponował, aby dworzanin jego Noskowski, który się miał żenić z panną Opacką, z fraucymeru królowej, tegoż dnia i razem ślub brał



a dla obojga par jedno służyć miało wesele. Wszystkie te drobnostki zabawiały dwór, służyły za pokarm głodnym plotek.

Zabawiano tem, a raczej męczono królową, która opuszczona, znużona szukała dla siebie rozrywki od-wiedzając kościoły i klasztory, godziny długie spędzając na nabożeństwach.

Bietka ciągle przy niej i na zawołanie być musiała. Sarkali na to francuzi, zazdroszcząc jej, a Marya Ludwika tłumaczyła się litością swą nad sierotą, a wreszcie i tem, że dziewczę jej było niezbędnem potrzebem, bo lepiej niż ktokolwiek znało kraj i ludzi, a teraz właśnie przy zbliżającej się koronacyi obejść się bez niej nie mogła.

Dziewczę służyło gorliwie, roztropnie, czasem ze zdumiewającą śmiałością i znajomością ludzi, ale dawna trzpiotowatość i wesołość całkiem je opuściła.

Przyczyną tego było, o czem wiedzieli wszyscy, iż przez usłużnych przyjaciół dowiedziała się o przybyciu starej Nietykszynie, i o tem, jak ona syna powitała.

— Dobrze ci tak—mówiła—jakeś sobie posłał tak leżysz teraz. Wiem, że ci głowę jakaś dworka zawróciła. Ale ani ty mi się waż myśleć, że ja ci się z nią żenić pozwolę, o czem ty, słysz, roisz? Ale! ale! nigdy na to nie będzie zgody! Nie dam błogosławieństwa! przeklnęł wydziedzicę. Znać cię nie zechcę... Pamiętaj, że ja Gedyminówna. Dworka, nie wiem czy nawet szlachcianka, a wychowało się to i wałowało przy dworze. To mi piękna szkoła! Nietyksza, mój syn, miałby ją brać za żonę i matkę swych dzieci! Pókim żywa nie pozwolę.

Syn starał się ją ulagodzić, przebłagać — na próżno.

— Wolę cię widzieć na marach, niż z nią na ko-biercul—wołała stara. — Powinieneś mnie znać, że ja nie ustąpię.

Wiele osób starało się poświadczyć, iż przeciwko

Bietce nie nie było do zarzucenia, że królowa ją lubiła bardzo, a ludzie szanowali.

— Niechże ją sobie biorą ci, co ją szanują, a nie mój syn, nie!—powtarzała litwinka.

Zgryzł się tem Nietyksza i stan jego się pogorszył, ale matka, troskliwa o zdrowie, zmiękczyć się nie dała.

— Co ja go mam okłamywać i uwodzić? — mówiła tym, co ją starali się skłonić do łagodniejszego postępowania. — Niech wie, że ja na to nie pozwolę, a darmo się nie durzy... Kocham go jak moje dziecko jedyne, ale właśnie dla tego mu się zwalać nie dopuszczę. Jam nie z tych matek, co dzieciom truczne dać gotowe, aby na ich łzy nie patrzeć.

Mężczyzną jest, niechaj przeboleje. Od tego mnie Pan Bóg matką uczynił, abym ratowała, nie gubiła.

Nietyksza, znając swą rodzicielkę, gdy raz wyrok wydała, nawet już nie wznawiał o tem rozmowy, milczał.

Milczeniem tem upartem więcej ją może niepokoił, niż gdyby się był starał przekonać — ale i on miał w sobie coś charakteru matki.

Gdy rany cokolwiek się podgoiły, stara Gedyminowa chciała go włożyć na wóz, a bodaj na noszach do domu nieść, dając za wygraną służbie i Radziwiłłom; ale syn z równą jak ona stanowczością oświadczył matce, iż pozostanie na miejscu i na wieś nie pojedzie.

— Ja w Borbiskach nie mam co robić — rzekł sucho. — Pani matka gospodarzyć umie i lubi, a ja potrzebuję świat i ludzi poznać. Książę na mnie łaskaw, nie porzucę go. Rany się pogoją, pojedziemy do Krakowa na koronację, niech ja też tam będę gdzie i drudzy. Za piecem siedzieć nie chcę.

Jejmość potrząsnęła głową, bo się łatwo domyślała, co syna za dworem ciągnęło, ale słowa nie rzekła.

Posiedziawszy parę tygodni w Warszawie, gdy

niebezpieczeństwo wszelkie minęło, a syn się już miał znacznie lepiej, stęskniona za wsią i gospodarstwem, wyposażywszy chorego, aby mu na niczem nie zbywało i niczyjej łaski nie potrzebował, pośpieszyła z powrotem do domu.

Na wyjeździe tylko, gdy syn się jej do nóg schylił, po rękach całując, bo spór miłości ich ku sobie nie radwerekzył, powtórzyła mu raz jeszcze.

— Tylko sobie nie imaginuj, abym ja zmiękla i głupsto ci pozwoliła zrobić dla tej kukły. Jeszcze ci to raz powtarzam, wolę cię widzieć na marach, niż z ladajaką dworką, szurgotem u ołtarza. Pókim ja żywa, tego nie dopuszczę. Masz do wyboru między starą matką, a tą błaznicą.

Syn nie odpowiedział ani słowa — złamać się też nie dawał.

Tak się przeciągnęło do lipca.

Podróż na koronację zapowiadzana w pierwszych dniach tego miesiąca przyszła do skutku.

Bietka towarzyszyła wybranemu fraucymerowi francuzów, którzy z Maryą Ludwiką jechali. Nie-tyksza, choć mu rany zaledwie zabliźnione dokuczały, siadł na koń, aby ode dworu nie pozostać, acz mało miał nadziei zbliżenia się do Bietki.

Usłudni przyjaciele, przyjaciółki, pośrednicy, ponieważ listów naówczas pisywać nie było we zwyczaj, przenosili ustne pokłony, pozdrowienia, a czasem małe jakieś podarki. Bietka się nie kryła z tem, że uważała swego wybawcę za narzeczonego.

W Krakowie oboje mieli nadzieję częściej się spotykać z sobą.

Z Warszawy cały dwór królewski, dosyć liczny, ciągnący mnóstwo wozów i czeladzi za sobą, skierował się na Częstochowę.

Królowa, która już wiele słyszała o cudownym obrazie, chciała się tu pomodlić koniecznie. Władysław IV, choć dosyć obojętny w rzeczach religii, przez pamięć może dla pobożnego ojca i matki, sza-

nował w drugich to uczucie, a nawet w ostatnich latach zdawał się skłonniejszym do nabożeństwa. Wy-mówką dla niego, że nie uczęszczał do kościołów, był stan zdrowia.

Wiedzano wszakże, iż gotów był żenić się z protestantką, i duchownemu żadnemu wpływać na siebie nie dopuszczał. Spowiednicy jego odznaczeni się do zbytku posuniętą tolerancją.

W Częstochowie przez cały dzień jeden zatrzymali się królestwo, podejmowani z całym dworem przez bogatych zakonników. Była Częstochowa na-ówczas jedynym w Polsce klasztorem—twierdzą, jakby zabytkiem i wspomnieniem owych *Ecclesiae incastellatae*, których Rzym zakazywał dawniej.

Ojcowie Paulini chlubili się swą forteczką, opatrzoną bastyonami, wałami, przekopami, murami, na których około dwudziestu dział mieli. Nie spodziewano się naówczas pewnie, iż one w istocie na obronę świętego miejsca posłużą.

Cały ten dzień prawie królowa i jej dwór spędził w kościele i kaplicy, a król spoczywając w chłodzie.

Ztąd wprost już pośpieszano na Łobzów do Krakowa, i w Łobzowie we dworze przez Stefana Bato-rego przebudowanym, do którego piękny ogród przytykał, znowu spoczywano, gotując się na uroczysty wjazd do stolicy.

Podróż ta nie przyczyniła się wcale do zbliżenia ku sobie królewskiej pary, lecz Marya Ludwika nadto była poruszona, przejęta, a poczęści zaciekawiona tem wszystkiem co ją spotykało nowego i nieznanego, aby wiele czuć mogła na obojętności męża dla siebie. Król chwilami okazywał się nawet wesółym, a panów, którzy go po drodze spotykali, przyjmował tak łaskawie, jak nigdy. Potrzebował ich ująć sobie. Z narady z Kazanowskim wynikło, iż należało wszelkimi możliwymi sposobami na przyszły sejm umysły przygotować i pozyskać sobie.

Dzień wjazdu był skwarnym, ale słonecznym; or-

szak królewski świetny i liczny wyruszył z Łobzowa spotykając po drodze na powitanie go śpieszące tłumy. Pierwsze występowało miasto Kraków, stolica dawna, panowie radni i starszyzna niosąca klucze złożone; ci zatrzymali króla w polu, a długich mów, wedle zwyczaju, niepodobna było ani unikać, ani ich zostawić bez odpowiedzi. Nigdy też sztuka oratorska nie była w Polsce posuniętą do takiego stopnia wybujałości, jak teraz; popisywali się z nią wszyscy.

Miasto występowało okazale, chorągwie mnogich cechów, każdy inaczej strojny, wysilały się na ubrania świetne i smakowne, na uzbrojenia i lik swych reprezentantów.

Włochów i francuzów w kupiectwie tylu jeszcze liczył naówczas Kraków, że oni sami występowali we dwieście koni, z których jedna secina ubrana była, gwoli królowej, francuzką modą od atlasów i aksamitów, druga miała polskie stroje. Za nimi szły chorągwie rzemiosł cechowe, hajducy pana wojewody krakowskiego, żółto-niebieska chorągiew panów Kazanowskich, tatarowie księcia Dominika, jego kozacy, hajducy biskupa krakowskiego, niezliczone oddziały panów senatorów, chorągwie królewskie pancerne, uszarze skrzydlaci w lamparciach skórach na ramionach, kopijnicy ze złożonemi kopiami, których proporce wlokły się po ziemi, a naostatek sami dygnitarze koronni i litewscy konno, lśniący od złota i drogich kamieni. Orszak wspaniały był prawdziwie króla godnym i Władysław z dumą na niego spoglądał.

Francuzi mogli się tu przekonać lepiej jeszcze niż w Gdańsku i Warszawie, jak był bogatym ten kraj, który na oko się im wydawał tak ubogim i nędznym.

Król, dnia tego zdrowszy, jechał pod wspaniałym baldachimem, niesionym przez radnych miasta, na pięknym koniu, poprzedzany przez Kazanowskiego z łaską marszałkowską w ręku, gdyż Opaliński nie

był przytomnym, obok siebie mając z jednej strony księcia Karola, z drugiej francuzkiego posła p. de Brégy.

Wojewoda pomorski, marszałek królowej, z drogiemi kamieniami błyszczącą łaską poprzedzał wytworną kolebkę Maryi Ludwiki, która siedziała w niej sama jedna. Osiem jak śnieg białych koni, strojnych we wstążki, ciągnęło powóz cały srebrny, z kolumnami i galeryami, które daszek podtrzymywały, wybity zewnątrz blado-niebieskim aksamitem, wewnątrz lamą srebrną w kwiaty złote.

W innych kolebkach, również wytwornych jechał za królową jej dwór niewieści. Kilkaset gwardyi przepysznie strojnej otaczało powozy.

U wjazdu do miasta stały wrota tryumfalne, całe napisami okryte, życzeniami i proroctwy przyszłości. Z prawdziwym zbytkiem rozsiadala się na nich łacińska epigrafika, zastępująca malownicze ozdoby. Napisy opasywały kolumny, zasypywały kapitele, cisnęły się po kątach, wyginały w łuki, zataczały kołem i sprawiały wrażenie jakiegoś gwaru niesfornego. Jeden nad drugi wysilał się na hyperbole i jaskrawość. Pismo święte i mythologia, historia domowa i obca, musiały służyć im za wątek, a poeci starożytni podarci na kawalki, do niepoznania, pełnili skromne obowiązki heroldów króla.

Znużone oczy Władysława padły może na wiersz najniżej wypisany, który na usta blade mógł ironiczny uśmiech wywolać.

*Olim quae solum virtus praemit ad altum,  
Haec Regina tibi nunc quoque monstrat iter.*

Na galeryi tego łuku tryumfalnego nie brakło naturalnie muzyki i śpiewaków.

Druga podobna brama ozdobna czekała na końcu rynku, niemniej obficie napisami wyposażona. I tu zbytek cały niemal rozlał się na słowa. Panowie



kollegiacy starsi i młodszy składali się zapewne na to bogactwo pomysłów, na te strzeliste okrzyki.

Stało u góry:

*Unde Lux, inde corona...*

W kościele na Wawelu licznie zebrane duchowieństwo, kapituła, biskup czekali na królestwo z uroczystem *Te Deum*, które się rozległo pod starem katedry sklepieniem.

Koronacya, której ciekawo francuzi przypatrywali się z zajęciem, odbyła się w dniu następującym.

Królowa wstawszy bardzo rano, około dziewiątej stała jeszcze ze swym orszakiem niewieścim przed zwierciadłem, kończąc toaletę, gdy podskarbi koronny wszedł uroczyście, niosąc klejnoty królestwa, koronę, berło i jabłko. Nie obeszło się bez mowy i bez odpowiedzi.

Mowa, jak sól przy potrawach, wciskała się wszędzie.

Zaledwie drzwi się za podskarbim zamknęły, gdy król wszedł, wiodąc za sobą księcia Karola, posłów francuzkiego i weneckiego, senatorów i dygnitarzy. Królowę dokończono ubierać i po chwili wszyscy udali się do kościoła na zamek, w następującym porządku.

Naprzód szedł dwór szlachecki króla, komornicy jego, orszak cały niezmiernie strojny, czapeczki z kitami piór czaplich, które francuzom wydawały się czemś bardzo osobliwym. Czaple czuby były dla nich oznaką polskiego „obyczaju.“ Za dworem postępował wojewodowie, kasztelan, urzędnicy wielcy koronni, niosący godła, wojewodzie krakowski miecz obnażony, inni koronę, jabłko, berło. Za tymi Kazanowski marszałek poprzedzał króla, który postępował sam naprzód. Zanim weisnął się poseł francuzki, niezmiernie o miejsce, jakie mu przeznaczano, troskliwy.

Następowali urzędnicy niosący koronę i godła

królowej i wojewoda pomorski, jako marszałek jej; królowę prowadził z prawej strony podtrzymując książę Karol, z lewej nuncyusz papieżki. Za nimi szły panie i wojewodowie.

Od zamku do kościoła szpalerem stały gwardye króla aż do drzwi katedry, w których *in pontificali-bus* oczekiwał biskup krakowski Gembicki, z biskupami kamienieckim i płockim i mnogim klerem i infulatami.

Po przywitaniu Gembicki i Kamieniecki biskupi wprowadzili królowę do kościoła, zastępując księcia Karola i nuncyusza.

Król udał się naprzód do kaplicy Zygmuntowskiej, gdzie oblókł nroczyste szaty, z pomocą kilku urzędników swego dworu.

Zdjęto z niego zwierzchnią suknię, odpasano szpadę, zrzuciono buty, i w miejsce ich włożono trzewiki białe, albe białą u dołu obszytą prześlicznemi koronkami, a na ramiona włożono płaszcz w kształcie kap, jakich używają duchowni.

Płaszcz ten ze złotogłowu, cały był wyszywany wzorzysto. Na rękawiczkach widać też było szyte krzyże. Korona złożona ze czterech łuków, nad któremi glob i krzyż panował, spoczywała na szkarłatnej czapeczce. Berło i jabłko, okryte drogiemi kamieniami, dopełniały wspaniałego stroju, który w dzień gorący lata dla otyłego pana nie był zbyt wygodnym do dźwigania. Oddychał też w nim ciężko.

W czasie gdy króla ubierano, królowa na przygotowanem wezglowiu klęcząc, modliła się przed wielkim ołtarzem. Król zasiadł potem na tronie na dwa stopnie podniesionym, pod złotogłowym baldachimem, otoczony wszystkimi swymi urzędnikami, niosącymi godła właściwe.

Po Epistole król powstał i wezwał arcybiskupa o ukoronowanie królowej, w krótkich słowach, po łacinie, wedle formuły zwykłej.

Po ucałowaniu ręki prymasa, powrócił na tron

i zajął na nim miejsce. Królowa ciągle jeszcze klęczała przed wielkim ołtarzem.

Rozpoczął się śpiew litanij i modlitw według pontyfikału, w czasie których królowa leżała krzyżem na ziemi. Po ukończeniu ich, podniesiona przez biskupów, przyprowadzona przed arcybiskupa została namaszczoną, i przeszła do kaplicy Zygmuntów wraz z biskupami i paniami jej towarzyszącymi. Pani des Essarts włożyła na nią tutaj gronostajowy *surcot* i płaszcz atlasowy biały podbity gronostajami, szyty srebrem, którego ogon nieśli trzej wojewodowie. Przed wielkim ołtarzem królowa uklękła znowu, a po odmówieniu modlitw arcybiskup na skronie jej włożył koronę, dał jabłko i berło, a biskupi odprowadzili na tron, obok królewskiego.

Posłowie obcy na lewo od wielkiego ołtarza siedzieli pod osobnym baldachimem, książę Karol za królową. Wszystko to zawczasu roztrząsać i obmyślać musiano.

Po Ewangelii dwaj biskupi prowadzili królowę do ołtarza z ofiarą. Stanowiła ją sztuka złota ważąca sto dukatów, którą królowa po ucałowaniu ręki arcybiskupa złożyła mu. W ciągu mszy później przystępowała do komunii.

Mszę zakończyło *Te Deum* przy biciu z dział, a królestwo z kościoła w tych strojach obrzędowych przyprowadzeni na zamek zasiedli do stołu.

Marya Ludwika, [pomimo znużenia i wzruszenia, przetrwała zwyciężko długie godziny tych ceremonij kościelnych; król nawet starał się nie okazywać tak zmęczonym, jak był w istocie.

Zaledwie jednak uczta doszła do końca, oboje państwo pośpieszyli ze swego wyswobodzenia korzystać i wypocząć każde z osobna w kółku sług swoich.

W ciągu tych dni król wprawdzie oczyma ciekawemi przypatrywał się ukradkiem swej towarzysze, nie mogąc nie przyznać, że piękną była, bo jej zwycięztwo przywróciło świeżość, zdrowie i męztwo do

walki; ale nie przemówił prawie, nie starał się okazać najmniejszej czułości.

Program dni następujących nie obiecywał też zbliżenia się, choć dwa dwory króla i królowej na pozór były połączone. Nazajutrz zaraz Władysław sam pozostał na zamku, przyjmując mnogich senatorów przybywających, a królowa zwiedzała kościoły i klasztory.

Oddawna pana nie widywano tak ożywionym i uprzejmym, tak przystępnym.

Wchodziło w plan podróży tej pozyskanie sobie serc, zjednanie ludzi, którzyby ślepo szli potem za królem, gdzie on ich chciał prowadzić. O wojnie mowy nie było.

Władysław tak czuł potrzebę tymczasowego oczyszczenia się z zarzutów, jakoby wywołać chciał z turkiem wojnę, iż na ten cel zwołał radę. Kazanowscy kierowali tu wszystkim, a młodszy z nich właśnie nową godnością został zaszczycony. Zręcznie też prowadzono narady i zwierzenia.

Przed panami senatorami ubolewał król, iż jego postępowanie tłumaczono sobie fałszywie.

— Nigdy Rzeczypospolitej nie miałem myśli uwikłać w ciężką wojnę z Turkami—mówił poufnie — ale mamy na karku Tatarów, którzy nam pokoju nie dają, z którymi sojusz równie ciężki jak wojna; aby im postrach wrazić, musiałem się uzbroić.

Innego nic nie miałem na celu.

Wierzono czy nie królowi, wyznanie to było uspokajającym i zostawiło po sobie wrażenie bardzo dobre.

W sprzeczności jednak znajdowało się z dalszemi programatami podróży na Ruś, do Lwowa, w których upatrywano, nie bez przyczyny, zamiar pozyskania sobie nowych sprzymierzeńców na przyszłość.

Senatorowie, którzy widzieli króla chorującym w Warszawie, niedomagającym w drodze, zmęczonym w Krakowie, zaczęli nalegać na to, ażeby czas na

podróż przeznaczony obrócił na staranie o swe zdrowie i spoczynek.

Rady te wszakże znalazły króla głuchym. Z całego ich toku Władysław mógł wniesić, że został odgadniętym, co pociągnęło za sobą tylko ciche postanowienie, po naradzie z Kazanowskimi, aby corychlej opuścić Kraków i rozpocząć podróż na Ruś od wycieczki do Niepołomic.

Cel króla jeżeli nie został osiągnięty jak sobie życzył, w części przynajmniej mógł się uważać za zdobyty, gdyż jawne oświadczenie się przeciwko wojnie zamykało usta.

Podróż dalsza, którą królowi odradzano, w istocie mogła być i nużąca i niewygodna, gdyż dla dosyć liczego dworu niewszędzie podrozdze mógł Władysław znaleźć pomieszczenie. Zmuszony ciągnąć za sobą królowę i jej dwór, oprócz tego oprzeć się nie mógł życzeniom francuzkiego posła, który mu chciał towarzyszyć.

Francuzi widząc przepych i dostatek, które doprowadziła koronacya, nie domyślali się, iż wewnątrz kraju niewszędzie mogli znaleźć te wygodki, bez których obejść się im było trudno.

W Krakowie Nietyksza nie mógł się inaczej znaleźć jak fortelem, gdyż ks. Albrech nie znajdował się na koronacyi, musiał się więc wprosić do orszaku księcia Bogusława, dlatego tylko, aby choć na chwilę widzieć się z Bietką i zapewnić ją, że na niego rachować może.

Wiedział on, że dziewczęciu z pewnością donieść musiano o pobycie matki jego i o głośnym jej oporze przeciwko małżeńskim projektom.

Nazajutrz po koronacyi, gdy królowa z panią d'Aubigny i des Esserts, w towarzystwie sekretarza swego Desnoyers i ks. de Fleury zwiedzała kościoły i klasztory, Nietyksza wkradł się na zamek. Miał on tu przyjaciół dosyć i znajomych i rachował na to, że mu oni ułatwią widzenie się z dziewczęciem.

W istocie też potrafił się wkraść, po wyjeździe królowej, na drugie piętro, które fraucymer zajmował, i sam wyprosił Bietkę do siebie na rozmowę, której jedna z panien przytomną być miała.

Od owej tragicznej nocy krwią obojga oblanej, dziewczę nie widziało litwina, który odżył wprawdzie i wyzdrowiał po ranach i kuracyi, ale one na nim pozostawiły ślady.

Świeżość młodości znikła z twarzy bladej chłopa, który zmęźniał i posmutniał. Bietka też nie była wesolą, ani tak trzpiotowatą i zuchwałą jak niegdyś.

Z uśmiechem podała rękę, którą Nietyksza ucałował.

— Al królowo moja—zawołał — jakżem ja długo czekał na to szczęście, które mnie dziś spotyka, a takem się wymęczył!

— No, ale zdrowi jesteście—spytała Bietna.

— Al co tam zdrowie!—rzekł żywo litwin — gorsza ta troska, którą z sobą człowiek nosi. Nie będę ja nigdy spokojnym, aż Bóg da, podacie mi tę rączkę do ołtarza.

— Matka wasza—poczęła Bietka—ja wiem o tem, jest przeciwną, a ja do nieposłuszeństwa jej was nie chcę doprowadzić. Nigdy podobno się nie spełni...

Nietyksza nie dał jej dokończyć.

— Pani matka moja — rzekł — prawda, uparta jest, ale ja niemniej. Jednego mnie ma, gdy się przekonam, że ja bez was szczęśliwym być nie mogę, zgodzić się musi.

O tem też ja was upewnić chciałem, królowo moja, że gdyby mi najdłużej czekać przyszło, wiernym wam pozostanę; ale wy?

Spojrzał jej w oczy.

Wejrzenie jasne i ruszenie ramion, którem mu odpowiedziała, mogło go uspokoić.

— Wyście dla mnie krwi swej nie żalowali —



rzekła spokojnie — a jakżebym ja niewdzięczną być miała i mogła o tem zapomnieć?

Zresztą nikt o mnie, a ja też o nikim nie myślę, a Nesterackiego niema się już co obawiać.

Przyjaciółka jego także dziś mu pomocną być nie może. Królowa jejmość łaskawą jest na mnie — do-dała—nie wypędzi mnie ode dworu. Czekam na po-wrót ojca, i o niego jestem niespokojną.

O ojcu tym słyszał wprawdzie Nietyksza, ale nie-wiedział wiele, a nawet cel podróży jego był mu nie-znanym. Zapytał więc.

— A dokądże się udał?

— Wiem tylko tyle, że na kresach miał jeszcze do czynienia, bo tam znaczną część życia spędził — odpowiedziała Bietka. — Miał, interesa swe załatwiw-szy, przyjechać do Warszawy i osiąść tu, a okupić się gdzieś, bo mu życie na granicy od Dzikich Pól dokuczyło. Da-li Bóg, gdy powrócimy z tej wędrówki naszej, może go już zastanę w Warszawie.

— Al mój Boże—przerwał Nietyksza—jak mnie to boli, że ja w tę drogę ze dworem się puścić nie mo-gę. Przydałbym się może naco, ale mi od moich Ra-dziwiłłów całkiem odstać się nie godzi.

— I ja bym tego nie radziła — odezwała się Biet-ka.—Król zapewne dalej, jak do Lwowa, gdzie się chce widzieć z panem hetmanem polnym, nie pojedzie.

Radzono mu, aby go raczej do siebie powołał, ale mi się zdaje, iż (tu głos zniżyła) N. Pan ma też wię-cej coś na celu, i od tej podróży nie odstąpi.

Nie tak też to znowu sroga rzecz — mówiła da-lej—trochę letnią porą kraju przejechać i zobaczyć, a królestwo oboje i ich dwór wszędzie znajdą gościnn-e przyjęcie. My też z francuzkami nie będziemy mia-ły powodu się skarżyć, choć moje koleżanki z nad Se-kwany u nas wszystko znajdują dziwnem dla siebie i nie-smacznem. I oni i sekretarz królowej p. Desnoyers, który wszystko zapisuje co widzi, dopytuje się

o każdą rzecz, a dziwi też każdej, nasze obyczaje znajdują bardzo nieobyczajnemi.

Rozśmiało się dziewczę.

— A wy?—zapytała.

— A ja—rzekł smutny Nietyksza—muszę z księciem Bogusławem powracać, bom się do dworu jego przyczepił, ale podrodze, zamiast do Wilna z nim, zostanę w Warszawie, i tam na was oczekiwać będę.

Macie mi co do zlecenia.

— Ja?—wesoło spytała Bietka—no, chyba abyście pozdrowili odemnie starą, poczeiwą ciwunową Mingajłową, a jeśli chcecie i państwa Bieleckich obójcie, i naostatek, opiekuna mojego ks. Stoczka u S Rocha.

— Z chęcią! — odparł Nietyksza — przynajmniej z nimi o was mi mówić będzie wolno. Nie będę też miał co robić w Warszawie, bo nie wiem, czy książę kanclerz powróci tam rychło. Ma dosyć dóbr do objeżdżania, a mało gdzie nie funduje kaplicy lub klasztoru. Dobry, pracowity, pobożny pan.

— To też miłują go wszyscy — mówiła Bietka—ale się razem obawiają, bo surowym jest dla siebie i dla drugih, a król ma do niego żal, że mu do wojny przeszkadza.

Nietyksza się uśmiechnął.

— Namby młodym wojna też smakowała—rzekł—bo rycerskiemu człowiekowi bez niej żyć smutno, ale starsi turka drażnić boją się, aby na nas nie spad całą siłą, bo naówczas niktby w pomoc nie przyszedł. Nam niby to każą na posilek iść wenetom... a no Bóg wie... Ja tam o tych rzeczach niewiele rozumiem.

— A ja jeszcze mniej—wtrąciło dziewczę—wiem tylko, że królowa pieniędzy już dała wiele na tę wojnę, a jeszcze ich od niej żądają. No i będzie musiała dać; bo królowi odmówić nie może. N. Pan i tak dla nas słodkim nie jest, a gdy się nachmurzy, patrzeć na królowę nie chce. Ta biedna płacze, a my z nią.

— Wszystko się to, da Bóg, ułoży — dodał Nie-tyksza — jak skoro wojnę senatorowie z głowy królowi wybiją. Dosyć nam będzie tatarów.

Poczęli potem liczyć, jak długo ta podróż trwać miała, ale litwin nie bez przyczyny utrzymywał, że na Lwowie się nie skończy, i że trwania całej tej wycieczki obrachować nie było podobna.

Słysząc już było teraz, że podrodze niektórzy z panów króla z królową do siebie zapraszać chcieli i ugaszczać, że się gotowali do przyjmowania Koniopolscy, Zamojscy, Sobiescy, Wiśniowieccy i inni.

— A i na to coś trzeba odłożyć, że króla podagra pochwyci — rzekła Bietka — bo rzadko na dłużej od niej wolnym bywa. Prawda, że pora cieplejsza zawsze mu sprzyja, ale za to zmęczy się dużo.

Przeciągnęłaby się była rozmowa ta dwojga młodych, którzy wiele innych sobie mieli do powierzenia tajemnic, gdyby ich nie spłoszyła panna de Langeron, zawsze kwaśna i niechętna, a Bietce mająca za złe, że poufalej była z panią des Essarts, z którą coraz jawniej zazdrośna francuzica wojnę toczyła.

Wojna ta i królowi i całemu dworowi aż do posła, który w nią był wmieszany, czuć się dać miała. Stała się ona źródłem nieprzebranych oskarżeń wzajemnych, które stąd przechodziły na dwór francuzki, a z Paryża powracały zaprawne nową goryczą, aby tu królowej nie dać pokoju.

Z jednej strony pani des Essarts, z drugiej Langeronówna, posel p. de Brégy, sekretarz Desnoyers, p. de Conrade, doktor nawet de Lafage i maitre d'Hôtel de Ronsay z żoną i cały zastęp dziewcząt służących, składali dwie armie ucierające się z sobą. Nawzajem śledzono krok każdy, tłumaczono każde słówko; intrygowano, aby królowa na jedną lub drugą przechyliła się stronę.

Bietka starała się zachować neutralną, nie mieszając się do niczego, ale mimo swej woli, to des Essarts, to Langeronówna powoływała ją za świadka.

Ponieważ dwór przed puszczeniem się w dalszą podróż miał się zatrzymać w Niepołomicach, wyprosił sobie Nietyksza pozwolenie, aby tam jeszcze mógł raz widzieć i pożegnać ukochaną.

Bietka nie miała nic przeciwko temu, nie obawiała się, aby ją to w oczach ludzi mogło narazić na obmowę, bo wszyscy wiedzieli, że Nietyksza ją narzeczoną nazywał i zmusił do przyjęcia pierścionka. Zakleła go tylko Bietka, ażeby nie wyrwał się dalej i Radziwiłłów sobie nie naraził.

— W Warszawie — dodała przy rozstaniu — dowiecie się-li od ks. Stoczka, że ojciec mój powrócił, starajcież się go poznać i powiedzieź mu o mnie.

Nietyksza wyciągniętą mu rączkę pocałował z uszanowaniem, które Langeronówniej wydało się przesadzonym, i ruszyła nazad, do miasta.

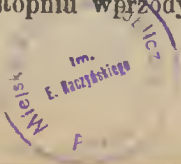
---

#### IV.

Podróż do Lwowa, którą odradzano królowi, a przy której on tak obstawał, jak gdyby do niej nadzwyczajną przywiązywał wagę, miał coś w sobie tajemniczego, przynajmniej dla tych, którym Władysław się z wszystkich swoich myśli nie zwierzał.

Ci, co króla od młodości znali, a widywali go teraz, znajdowali dziwnie zniecierpliwionym, roztargnionym i humoru nierównego. Niekiedy zdawał się przybitym, zniechęconym, to znowu opanowywała go jakaś samowolna, duma, żądza rozkazywania, czyniąca niemiłym i niemal groźnym.

Nie był to wpływ ożenienia, bo też same symptomy w mniejszym stopniu wprzód już się postrzegać



dawały; myśl jakaś uparta ciążyła mu na mózgu. Jeden Adam Kazanowski znał go takim, jakim on teraz był, teraz szczególnie, od czasu, gdy Radziwiłł z senatorami sprzeciwili mu się, nie dopuszczając dalszych zaciągów i oświadczając przeciwko wojnie.

Otwarcie tłumaczył się, że te półki i uzbrojenia tak kosztowne tylko przeciw tatarom gotował, ale Kazanowskiemu czasem duszę swą całą odkrywał.

Ten dawał mu się wylewać, uśmierzać jak umiał i mógł, ale się nie sprzeciwiał.

Wojna przeciwko Turcyi, nawpół z wenekami, z posiłkami innych państw chrześcijańskich, uśmiechała mu się, ale nie ona jedna była celem.

Wszędzie dokoła widział otaczających Polskę monarchów z daleko większą władzą niż była jego. Upokarzało go to, oburzało.

— Dlaczegożbym ja— mówił nieraz Kazanowskiemu—nie miał władzy tej uzyskać? Ojciec mój przez powolność tylko, rozbiwszy rokosz, dopuścił znowu sejmom inkwirować swe czynności i tak panować jak panowały?

Pułki cudzoziemskie wołoskie, niemieckie, węgierskie pójdą na rebelizantów, raz nauczona rozumu szlachta siedzieć będzie cicho. Król zostanie rzeczywiście królem.

Ja, oprócz moich pułków tych, mam i kozaków. Mogę ich puścić na panów szlachtę. Jeden śmiały krok taki, a całe inaczej będzie wyglądać ta rzeczpospolita, w której teraz warchoły rządzą.

Myśli tych król nie zwierzał pewnie nikomu, oprócz przyjaciela, a Kazanowski znał nadto ich wagę, aby śmiał komukolwiek choć cząsteczkę z nich powtórzyć; tymczasem cudem jakimś, tą intuicyą, którą miewają tłumy, szlachta biedna, nieprzenikająca wcale, nieświadoma, ślepa, w powietrzu czuła jakieś gotujące się na jej swobodę zamachy.

Są takie doby dziejowe, momenta, w których w istocie niewidome myśli ulatują w powietrzu,

i wszyscy je czują w sobie, połykając je w każdym technieniu.

Dla p. Adama Kazanowskiego szczególnie król, którego on widywał we wszystkich jego przystrojeniach i nago jakim był, musiał być osobliwą zagadką.

Staruszkom senatorom przybywającym do ncałowania ręki N. Pana, aby mu odradzać wojnę, a prosić o pielegnowanie szacownego zdrowia swojego, odpowiadał śmiejąc się, iż te pogłoski o prowokowaniu wojny były niedorzeczne! On! ze swą podagrał! Zapewnił ich, że o pokój się tylko stara i niczego nie pożąda więcej.

Nazajutrz niemieccy pułkownicy słyszeli od niego wcale co innego i ostatek klejnotów szedł na wojsko, na działa i prochy.

Młodzież starał się rycerską sławą rozbudzić do czynów; powolniejszym starszym obiecywał krzesła i urzędy, byle się wojnie nie sprzeciwiali.

Dla jednych więc wojny nie było wcale, dla drugich stała ona tuż, nieuchronną. Kazanowski zaś jeden wiedział, że ona nie była celem ale środkiem, i że pułki zaciągane mogły się przeciwko zburzonej obrócić szlachcie, a nawet przeciwko opornym sejmującym.

W Warszawie jakiś duch nieprzyjaźny królowi rozniósł naówczas pogłoskę niedorzeczną, ale będącą *signum temporis*, że przyszły sejm ma się odbywać w okopach za miastem, we dworze niedokończonym biskupa kijowskiego, a dziesięć tysięcy żołnierza stanie przeciw warchołom i na dany znak druga rzeź S. Bartłomieja!

Dziwaczna ta plotka, rozumie się, jak zgniły opar unosiła się tylko nad nizinami; nie powtarzał jej nikt po dworach i pałacach senatorskich, ale w ulicy, w rynku, pomiędzy mieszczanami obiegała sobie swobodnie, i znajdowali się tacy, co jej wierzyli.

Kto ją puścił? Bóg jeden wiedział!



W najrozmaitszych formach objawiało się to poczucie, iż król, który napozór bawił się tylko z dziećmi, o czem także wiedział świat cały, knował jakiś zamach na swobody Rzeczypospolitej.

— Al!—szeptali mali żaczkowie polityczni —odzywa się w nim krew rakuzka!

Imni śmiali się z tych bałamuctw, wcale im nie dając wiary, chociaż, jakśmy mówili, nie były one bez pewnej podstawy.

Król chętnieby był przedsięwziął coś podobnego, gdyby znalazł sprzymierzeńców. Ale oddani mu ciałem i duszą Kazanowscy, rozpieszczeni łaskami fortuny, wcale się do tego nie zdali. Gotowi byli słuchać, pragnąć, ale ręki do tego przyłożyć—nigdy.

Śmielszym może byłby kanclerz Ossoliński, lecz nie miał ani przyjaciół, ni poparcia. Stał odosobniony, a z królem nawet, choć się rozumieli w polityce, temperamentami i charakterami się nie godzili. Król miał jakąś odrazę do znakomitego mówcy i statysty, a Ossoliński pono niewysoko króla szacował.

Wyjazd króla nagły do Niepołomic, gdy go senatorowie błagali, aby zaniechał podróży, miał jakiś pozór ucieczki. Nie pożegnawszy nalegających, umknął przed nimi,

Ztąd już zaproszony wcześniej przez pana wojewodę krakowskiego do wspaniałej rezydencji w Wiśniczu, nie zabawiwszy nawet dla łowów w tym zamczku, tylu wspomnieniami poprzedników drogim, natychmiast udał się w gościnę do niego.

Orszak króla i królowej na ten raz wcale nie odpowiadał upodobaniu w przepychu i elegancji Władysława i stosunkowo był szczupły. Dziwiono się jego skromności.

W Wiśniczu przy stole król to się zdradzał z rycerską niecierpliwością wojenną, to nagle milknął i stawał się ostrygłym.

Zdawało się, że pilno mu było do Lwowa, bo dosyć pośpiesznie i nie odpoczywając prawie na Tar-

nów, Sędziszów, Rzeszów, Przeworsk, ciągnął król do Jarosławia, gdzie się właśnie sławny jarmark rozpoczynał, a stąd na Janów do Lwowa.

Tu odpoczywano dni kilka, które królowa zużytkowała, oglądając kościoły i klasztory. Król nieustannie przyjmował przybywających, miewał narady i rozmowy przy drzwiach zamkniętych, powoływał różnych panów—zajętym się okazywał bardzo.

Najgorzej na tej podróży wychodzili nieszczęśliwi francuzi do wygod przywykli. Po drodze wypadały popasy i noclegi w szopach, które naówczas w większej części kraju zastępowały gospody. Dla króla i królowej, dla kilku najbliższych im osób, ławka, krzesło, stół się znalazły zawsze, a pościel i łóżka żelazne mieli z sobą; dwór napróżno się domagał posłania, przynoszono mu słomę stęchlą lub siano. Najpotrzebniejszych sprzętów nie było.

Przeklinano kraj barbarzyński, wtem nagle nazajutrz zjawiał się gdzieś na stoku góry pałac, z całą wykwintnością europejską i przepychem urządzony, i z tej barbaryi francuzi wpadali, jak różczką czarodziejską przeniesieni do raju. Tych zmian dekoracyi pojąć oni nie mogli. Zdało im się niezrozumiałem, aby cywilizacya i zbytek ocierały się tak poufale o tę surową prostotę.

Jeszcze niepojętszem dla nich było, gdy widzieli takiego panicza po europejsku wychowanego, który im w rozmowie i przy stole doskonale dotrzymywał placu, gdy na nocleg przybyli, wesóło się kładł na gołej ziemi, siodło podłożywszy pod głowę.

Mięszanina ta rycerskiego zahartowania i pańskiej wykwintności była im niezrozumiałą, jak kraj ten cały w ogóle.

Ze Lwowa królestwo zaproszeni udali się do Wiśniowieckich, do Wiśniowca, gdzie ich po książęcemu przyjmowano. Wszędzie po takich domach pańskich wino się lało strumieniami, stoły uginały pod srebrami. Na wyjeździe musieli królestwo oboje i po-

seł przyjąć na pamiątkę kosztowne podarki. Królowi dostał się precudnej urody koń pod wierzch z siodłem i rzędem turkusami i rubinami sadzonym, z tarczą i koncerzem stosownemi. Mało co mniej kosztownego rumaka otrzymał p. de Brégy. Królowej ofiarowała księżna wspaniałą kolebkę z sześciu woźnikami tarantowatemi, zewnątrz, wedle ówczesnego zwyczaju, obitą aksamitem, a wewnątrz złotogłowem.

Przyjęcie to w Wiśniowcu niezmiernie gościnne i po polsku natarczywe, skończyło się późno w noc na tem, że biesiadujących do łóżek podnosić musiano.

Król był w rażnym humorze i żartował sobie trawnie z delikatnego p. de Brégy.

Gdy przyszło opuścić Wiśniowiec, gospodarstwo przeprowadzili króla i królowę o milę za miasto, gdzie pod namiotami czekało zastawione śniadanie. Tu dla zabawy N. Pana, który myśliwstwo lubił, nagle wypuszczono jelenia; jeźdźcy i psy rzuciły się za nim. Ścigany zwierz wpadł między namioty, ale go natychmiast ujęto i zabito.

Wiele zależało królowi na widzeniu się poufnem z synem hetmana Konięcpolskim.

Cień tego znakomitego, niedawno jeszcze zmarłego męża, po którym Rzeczpospolita nosiła żalobę, stał jeszcze tu panując żywym. Syn, zdawało się, że odziedziczył wielki umysł i zdolności ojcowskie, jak w spadku wziął po nim wpływ i znaczenie.

Oczekiwano na króla w Podhorcach. Liczyły się one naówczas do najwspanialszych, najwykwintniej urządzonych w Polsce rezydencyj pańskich. Położenie piękne sprzyjało ich przyozdobieniu, na które hetman nie żałował.

Całą ulicę do zamku wiodącą, na przyjęcie państwa zajmowały szpalerem ustawione przepyszne i bogato strojne pułki tatarskie i niemieckie nowoza-  
ciężne.

Wśród huku bębnow, trąb i okrzyków, Władysław IV wjechał na wspaniałe podwórcie.

Zamek w Podhorcach na wzgórzu, okrytem naówczas lasem w znacznej części, złożony był z dwóch bocznych skrzydeł i głównego gmachu, a budowa jego, rozmiary, wykończenie smakowne, francuzów nawet zachwyciły.

Sekretarz królowej Desnoyers, który spisywał skrętnie wrażenia swojej podróży, odchwalić się nie mógł Podhorzec, ich uroczego położenia i wytworności urzędnika.

Jak wszystkie budowy z tej epoki u nas, Podhorce wewnątrz pełne były sztukateryi, rzeźb i malowideł.

Trzy tarasy ogromne stanowiły zejście do ogrodu, który zamek otaczał. Na pierwszym z nich znajdowały się dwie wielkie i wytwornie przyozdobione groty, które nawet tym co sławne w St. Germain en Laye oglądali, wydały się niestępującemi im, na ostatnim jedna grota olbrzymia otwierała się widokiem na rozległą okolicę. Ta cała była przybrana posągami naturalnej wielkości, z muszli i kamyków zlepionemi.

Fontanny przyozdabiały ogród utrzymywany z pańskim przepychem.

Gdy wieczorem królestwo zasiedli do stołu na galeryi odkrytej, z której widok się roztaczał na dolinę ku Brodom, gospodarz wnosząc zdrowie królewskie, kazał dać znak racą umówiony i w tejże chwili o dziesięć mil odległa twierdza w Brodach hukiem kilkudziesięciu dział odpowiedziała.

Wprzód nim huk ich się dał słyszeć, ujrzano na wieczornem niebie jakby zapaloną lunę, której blask się odbijał na chmurach.

Widok z zamku na ten krajobraz na krańcach w ogniu stojący, w istocie był wielkiej piękności.

Władysław nawet, zwykle obojętny, uśmiechnął

się gospodarzowi, a francuzi pozrywali się z miejsc, aby lepiej przypatrzyć tym czarom.

Długo, pocichu, wieczorem król się naradzał z Koniecpolskim, ale spoczywać tu nie mógł długo. Na-  
zajutrz wyruszono w dalszą podróż do Brodów.

Twierdza ta i osada w znaczniejszej części była dziełem zmarłego hetmana Koniecpolskiego. Wzniósł on je tu wśród mokrej, błotnistej niziny, a dotąd wszystko jeszcze prawie było z drzewa, gdzieniegdzie tylko cegłami poczynając się okładać.

Kurtyny nawet twierdzy drewniane jeszcze były. Mała cytadela o pięciu bastyonach murem się dopiero umacniała, a jedyną jej ozdobą była na części muru wzniesiona piękna kamienna galerya.

Hetman zamierzał tu wspaniały wznieść zamek, gdy śmierć rozlicznym jego pracom koniec położyła. Staraniom jego winne były Brody niedawno zaprowadzone fabryki kobierców perskich, które persowie umyślnie sprowadzeni wyrabiali. Tak samo holendrowie i flamandy mieli warsztaty płócien cienkich damaszkowanych, a włosi wyrobów złotniczych. Oprócz nich, cudzoziemców rękodzielników różnych mnóstwo osiedlało się przy pomocy i opiece Koniecpolskiego i osada byłaby zakwitła przemysłem, gdyby nie zabrakło tego, który w nią tchnął życie.

Hetman, który zmarł nagle w sam dzień królewskiego wesela, żył tu jeszcze w swych dziełach i synu.

Po tych pańskich przyjęciach w Podhorcach i Brodach, następny nocleg przypadł nieszczęśliwie w szczupłym dworze szlacheckim, a francuzi trochę popsuci, nie mogli się pogodzić z niewygodami jego.

Pocieszano ich tem, że następnego dnia przyjmować miała wdowa Sobieska, która się już do tego wcześniej przygotowała.

Tu znaleźli znowu dom pański, a na odjeźdźnym król dostał w podarku cug pięknych koni, a królowa ogromny srebrny dzban moskiewskiej roboty, z wprawionymi w niego kilkaset starożytnymi medalami.

Zawrócono ztąd znowu do Jarosławia, tak chciał król, a miał w tem swe tajemnicze pobudki, z których się nie tłumaczył.

Był to czas jarmarku sławnego, na który zazwyczaj zjeżdżało się mnóstwo kupców tureckich, perskich i włoskich; w tym roku jednak rozsiane pogłoski o wojnie z Turcyą znaczniejszą ich część wstrzymały. Z obcych znalazło się tylko trochę węgrov, niemców i kilku francuzów.

Naostatek zboczył król jeszcze w gościnę do Zamojskiego, gdzie go wspaniale przyjąto. Wszędzie starał się ujmować sobie, ale prawie z każdym mówił inaczej. Jedną sobie obietnicami niektórych, innych zapalem rycerskim i żądzą sławy rozgrzewał, zapewniał o swej łasce, jeżeli z ufnością szli za nim. Nigdy go tak ujmującym i uprzejmym, tak poufallym nie widywano. Wiele też serc skłonił ku sobie, ale z mowy jego tak niejasnego i pewnego wnioskować nie umieli, że czekać musieli, aby się to wykłarowało.

Sejm przyszedł obiecywał to wszystko postawić otwarcie, jawnem.

Wszędzie na wyjezdnem obdarzano N. Państwo, Zamojski też królowi złożył czaszę złotą pełną starożytnych monet złotych, a Maryi Ludwice bransolety brylantowe, które na kilka tysięcy talarów cenili francuzi.

W Sandomierzu czekały na króla i królowę statki, któremi dopłynąć mieli wygodnie i mniej znużeni do Warszawy. Władysław szczególnie cieszył się tem, że będzie się mógł do półdnia wylegać na łóżku.

W ciągu tej podróży królowa miała zręczność bliżej się poznać z krajem i obyczajami, oswoić z niemi, ale była to też jedyna korzyść jaką z niej odniosła.

Władysław zostawując jej swobodę zupełną, trzymał się osobno, a gdy zmuszonym był zająć miejsce



obok żony, zabawić się razem z nią, okazywał jakby naumyślnie najzimniejszą obojętność, na którą w końcu duma i poczucie godności niewieściej nie dozwoliły królowej okazywać się zbyt wrażliwą.

Uśmiechała się więc wesolo, choć z goryczą w sercu.

Francuzi ciekawi i plotkarze, codzień prawie donosili jej usłudze o przygodach króla, któremu Pac i Platenberg rozrywek dostarczali.

Opowiadano pocichu, że stroili proste wiejskie dziewczęta w sukienki wykwintne, nadawali im szlacheckie szumno-brzmiające nazwiska, i zabawiali tem N. Pana.

Królowa znudzona, w końcu sekretarzowi mówić sobie o tem zabroniła.

Dla biednej Bietki cała ta, dosyć długa i męcząca podróż, była nieustannem utrapieniem, bo się z francuzami kłócić musiała, broniąc kraju, który oni, zwłaszcza złośliwy Desnoyers, w najpoczwarzniejszych barwach malowali.

Sekretarz, gdy mu zabroniono przynosić skandale, bawił królowę dowcipnemi spostrzeżeniami o Polsce, malował ją po swojemu, i często wywoływał od polskiego dziewczęcia ostre i śmiałe odpowiedzi.

Wszystko to razem znudzoną czasem Maryę Ludwikę potroszę rozrywało.

— Królowie polscy—mówił raz Desnoyers—muszą podróże odbywać z małym orszakiem. Przyczyna prosta, dla znaczniejszej gromadki w tym kraju niepodobna ani pomieszkania znaleźć, ani pokarmu podobnym statkiem. Musimy z sobą ciągnąć całe spiżarnie, pościele, a nawet obroki dla koni. W gospodach polskich na równej stopie mieszczą się bydło i ludzie. Stoły, krzesła, ławki, garnki, łądki, kubki, musimy mieć z sobą, bo ich po drodze brak. W jednej szopce popasałem często razem z wołem, wieprzem i owcami.

Zżymała się Bietka.

— Nasi ludzie zahartowani są i rycerscy — szepiała.

— W miastach nieco lepiej już — ciągnął dalej francuz — czworonożni goście stoją osobno.

Prawda, dwory wielkich panów, Koniecpolskich, Lubomirskich, Zamojskich, urządzone są wedle obyczaju europejskiego, ale nam co potem? Król, królowa, poseł, parę osób korzystają z tego, a my biedacy musimy iść pod szopy.

— Panowie pieśczeni jesteście — mruzczała Bietka — u nasby się wstydził mężczyzna poskarżyć, że nie miał łózka.

— Ja też ten obyczaj szanuję i zazdroszczę go — mówił szydersko Desnoyers. — Sam na to patrzałem i patrzę, wyjąwszy magnatów, cała reszta szlachty sypia na ziemi gołej, lub na małych materacykach, które koniom pod siodło podkładają, aby się nie zacierały. Służba wprost legiwa na ziemi, na wozach, bardzo szczęśliwa gdy garść słomy dostanie. My ze psuci, cierpimy wiele. Polacy zdrowi i silni wytrzymują wszystko.

— Tego obyczaju nie daj Boże, abyśmy się pozbyli — mówiła Bietka — nam z nim dobrze.

Uśmiechała się królowa.

— Nie można mi mieć za złe — ciągnął dalej francuz — że ja N. Pani królestwo jej daję poznać w jego prawdziwym świetle.

Nieprawdaz, że zrana pierwsza rzecz po przeżegnaniu się, wychylić spory kielich gorzałki. Piją tu ją jak u nas wino... i często głowy zawraca.

— Jak waćpanom wino — dodawało dziewczę.

— Powtarzam to co słyszałem tu od panów świeckich i duchownych — ciągnął niezmordowany Desnoyers — a czegośmy też w ciągu podróży doświadczyli, że niema w świecie drugiej tak korzennej kuchni jak polska. Bogaty pan w rok wydaje nie mniej 20,000 franków na te przyprawy. Podkancle-

rzy biskup chełmiński sam mi mówił, że go korzenné ingrediencye w rok 17,000 liwrów kosztują. Zatem idzie, że pić dużo potrzeba, a nie innego wina tylko węgierskie lub hiszpańskie. W Wiśniowcu jeden wieczór pewnie kilka tysięcy kosztował.

Co ichmość za zboże i konopie wezma, to za wina i sukna wydadzą. Sam słyszałem od holendrów, że korzennych towarów do Polski idzie więcej niż na całą Europę.

Obrona przeciw szyderskim spostrzeżeniom p. Desnoyers i innych francuzów i francuzek, przypadała zawsze na jedną Bietkę, ale miała ona oprócz tego inne, trudniejsze do spełnienia zadania, gdy królowa rozpytywała ją poufnie o przeszłość i życie męża. Marya Ludwika chciała być świadomą wszystkiego, aby być panią położenia. Zaniedbywana i lekceważona, pomimo to codzień zyskiwała na powadze i znaczeniu. Obwiniona o płochość, okazywała się surową i pobożną, nikt jej nic zarzucić nie mógł. Dostojeństwo swe nosiła z taką powagą i swobodą, jakby do korony zrodzoną była. Obok często niezrozumiale zmiennego humoru Władysława, w każdym jej kroku czuć było obrachowaną wytrwałość i zmierzanie do jednego celu. W ciągu podróży, gdy Władysław IV okazywał się coraz inaczej przed tymi, z którymi się spotykał, ona zawsze była jedną, a nawet zniechęcony i uprzedzony mąż, jednego wyrazu niezręcznego zarzucić jej nie mógł.

Czuwała też nad swoim dworem, aby nie stracił poszanowania w obcym kraju. P. de Brégy nie należał właściwie do niego, ale przedstawiał tu Francję, a płochość jego była dla Maryi Ludwiki bolesną. Wybierając się w tę podróż lekkomyślny francuz zabrał z sobą ładną niemeczkę, sądząc zapewne, że *quod licet Jovi, licet bovi*. Desnoyers i panna Langeron podszeptali o niej królowej, która przez ks. de Fleury poleciła mu natychmiast się jej pozbyć. P. de Brégy skłopotany usiłował się wytłumaczyć tem, że

niemka była prostą praczką, bez której koronki jego obejść się nie mogły, potem, że miała powołanie do stanu duchownego, chciała wstąpić do klasztoru, i niepodobna jej było rzucić na pastwę pokusom i światu.

Zajęty swemi wojennemi planami król, w ciągu całej podróży nie przestawał się zajmować nimi, odbierał doniesienia, wysyłał rozkazy i niecierpliwił się tem wielce, że zewsząd dochodziły go skargi na gwałty i nadżycia, których się zaciężne jego pułki dopuszczały.

Wielkopolska oburzona nimi, groziła zebraniem sił własnych dla odparcia ich jak najeźdźców.

Z drugiej strony senatorowie niechętni wszystkim tym przygotowaniom, wołali głośno, że patentów dla nowozaciężnych kanclerze nie pieczętowali, że je król samowolnie pod prywatną swoją pieczęcią wydawać rozkazał. Był to więc bezprawny zamach na swobody, na prawa rzeczypospolitej.

Król przed jednymi wręcz wszystkiemu zaprzeczał, drugim uśmiechał się i szeptał, że na nic nie zważając, na swoim postawi.

Ufał w to, że podróżą, ujęciem gromadki senatorów, sejm przygotuje dla siebie powolnym i przeprowadzi co zechce.

Z ramienia jego tymczasem nalegano ciągle na Maryę Ludwikę, aby znowu pożyczyła pieniędzy na wojsko. Król ofiarowywał w zastaw klejnoty, a w razie odmowy groził gniewem.

Na te nalegania królowa najczęściej nie odpowiadała nic lub coś dwuznacznego, słuchała; trudno było jej myśli odgadnąć.

Desnoyers wszakże odebrał potajemny rozkaz, aby trzykroćstotysięcy talarów, które królowa miała złożone w Gdańsku, do jej rozporządzenia w gotowości były.

Kazanowski dowiedział się pierwszy o tem, i lice N. Pana na chwilę się tryumfującym rozjaśniło uśmiechem.

W Sandomierzu nie odpoczywano długo. Statki, nad którymi powiewała mało znana flaga polska, z ręką mieczem uzbrojoną, stały kobercami i zielenią przystrojone n brzegów. Królestwo siedli na nie wśród tłumów ludu, okrzykujących oboje.

Podróż była jakby przejażdżką dla rozrywki i wypoczynkiem.

Przodem do Warszawy wysłana część dworu zawiozła tam wiadomość, kiedy prawdopodobnie królestwo przybyć mieli. Pięknego, ciepłego, jesiennego wieczora, Warszawa niemal cała wysypała się na brzegi dla powitania powracających.

Senatorowie, urzędnicy dworu, pozostali w stolicy, czekali na króla; tłumy zbiegły się przez ciekawość. Nie widać w nich było tego przywiązania, na które król nie starał się nigdy zasłużyć. Gromady stały przypatrując się niezwykleu widowisku, ale w nich serce nie biło. Król nie uradował się patrząc na swój zamek, widząc, że tam na niego czekały troski, a szczególnie sejm ten, który kwestyę wojny miał rozstrzygać. Tylko cudzoziemskie pułki, których część stała n brzegów, siły te niezależne, własne jego, w pewną dumę wbijały Władysława. Zebrał je pomimo wszystkich, przeciwko wszystkim. One i kozacy, z którymi się porozumiewał, dawały mu siłę, jakiej (zdało mu się) poprzednicy jego nie mieli.

Gdy główny statek przybiwszy pod zamkiem, witany był przez duchowieństwo i świeckich panów senatorów, drugi, mieszczący w sobie część dworu, zbliżał się poniżej ku wybrzeżu. Tu z panią des Essarts i panienkami Maryi Ludwiki znajdowała się Bietka. Oko jej w tłumie szukało może kogoś, niepewne czy go znajdzie, nareszcie spuściła wzrok i roz-targniona przebiegła kładeczkę dzielącą od lądu, na który już stąpić miała, gdy uczuła uścisk i obejmujące ją ręce ojca.

Płaza stał przed nią poruszony, przejęty tak, że mówić nie mógł, łkając, ściskając ją, szukając na



twarzą dziecka śladów tego co przecierpiał. Znalazł w istocie Bietkę spoważniałą, smutniejszą, zmęczoną, bez tej młodej, trzpiotowatej wesołości, którą miała gdy ją po raz pierwszy u Bieleckich zobaczył. Pobyt przy królowej, wtajemniczenie w tyle gorzkich życia zadań uczyniło ją starszą.

Plaza nie mógł się teraz nią nacieszyć; przeprowadził tylko do wrót zamkowych, i pożegnał.

Nazajutrz mieli się zejść u Bieleckich.

Córka na twarzy ojca nie mogła odgadnąć, czy z sobą przywiózł pociechę, czy zawód; nie mówił jej nie o sobie.

Drugiego dnia po przybyciu z powrotem do stolicy zostało z podróży mgliste tylko wspomnienie i podarki, jakimi się ona przypominała. Król powracał tak niepewien skutków jej, to się ciesząc, to powątpiewając, iż żadnej z tego miary powziąć nie było można o osiągniętym celu. Najwidoczniwszem było, iż rad wracał do wygodnego krzesła, w którym go noszono, do swojego Ujazdowa, do wieczornych zabaw i towarzystwa.

Zaraz nazajutrz Pac, Platenberg i ich pomocnicy ze żniwem pogłosek poczęli się ścigać.

Jedni utrzymywali, że król mógł w sejmie rachować na zwycięstwo, drudzy położenie znajdowali bardzo niebezpiecznem i groźnem.

Niemożna było utaić tego królowi, że, wyjąwszy pewne koło zupełnie mu oddanych senatorów, ogromna ich większość ze szlachtą razem gwałtownie się oświadczała przeciwko wojnie. Powtarzano głośno słyszane z ust Radziwiłła wyrazy, że prędzej sobie da ręce uciąć niż jakiegokolwiek patenty lub uniwersały, dotyczące się samowolnych zaciągów, przypieczętuje. Za jego przykładem szli mimowolnie kanclerze koronni.

Król uśmiechając się poruszał ramionami.

— Niechże mi dadzą pokój przypisując wywołanie wojny! O niczem nie wiem, ale przewidywać



muszę, że turcy nas napastować mogą! Tiepolo przybył nie dla żadnych układów, winszował mi wesela. Mnie bawi oręż, cekhaus, wojsko; maż mi być wzbrowione własnym kosztem je ściągać?

*Si vis pacem, para bellum*, gotujmy się obronno.

Całe to postępowanie króla można było zarówno nazwać zagadkowem i zuchwałem; nie dziw też, iż mu przypisywano spisek, że każdy pułk nowozaciążny wskazywano jako sprowadzony na poskromienie szlachty.

Sejm—szeptano—zobaczycie, zwołają go w okopach na dworcu kijowskiego biskupa i tam polska *aurea libertas* przez żoldactwo zamordowaną zostanie.

Zuchwalstwo pułków królewskich poniekąd te plotki usprawiedliwiał. Władysław IV napastowany o to ciągle, nie mając pokoju w Warszawie, nagle, ledwie się opowiedziałwszy Maryi Ludwice, wyruszył pod pozorem łowów, do Płońska i oświadczył, że tam do sejmu pozostanie.

Usunięcie się to z widowni mogło też być rozmaicie tłumaczonem.

Królowa zgodziła się na pożyczenie pieniędzy, biorąc w zastaw klejnoty. Pac i młodzież rada była temu, że król uciekł do Płońska; tu życie jego mniej było na oku niż na zamku i w Ujazdowie. Amandy nie było, Władysław potrzebował rozrywek... na ubo-  
czu pomocnicy i dostarczyciele ich więcej mieli swobody...

Gdy król tak dosyć niepewnemi kroki idzie dalej ku rozwiązaniu wielkiego zadania swego, królowa mniej widocznie, ale daleko wytrwalej posuwa się naprzód, jednając ludzi, zyskując poszanowanie, zapewniając sobie wpływ i znaczenie.

Wiedzieli wszyscy bliżsi, iż Władysław otrzymując pożyczkę od żony, zmuszonym był dać jej słowo, że na żaden urząd wyższy bez wiedzy jej mianować nie będzie. Klejnoty, oddane w zastaw nie starczyły jako zapewnienie; nominacye na krzesła i urzędy

przynosiły dochód, bo zwykle je podarkami znacznemi okupywano. Napozór więc to przyrzeczenie króla zdawało się tylko ubezpieczeniem dochodów Maryi Ludwiki, ale w jej myśli było pierwszym szczeblem do pozyskania wpływu na sprawy krajowe.

Bystrzejsi ludzie, Kazanowscy, Radziwiłł, Ossoliński, nie mogąc nic zarzucić królowej, widzieli już, że z czasem ona tu panować będzie. Władza ta nie obiecywała się jawną, królowi zostawiała jej pozory, sobie rzeczywiste posiadanie. Daleko jeszcze było zapewne do zbycia tego stanowiska, lecz wszystko je zapowiadało.

Naprzemian łagodną i ustępującą, to zimno upartą, to obojętną się stawiając, Marya Ludwika powoli, nieznacznie rozszerzała zakres swojego wpływu.

Dotąd nawet udało się jej nie wywołać nieprzyjaźni i zapalonych sprzymierzeńców.

---

## V.

Ojciec i córka równie byli niecierpliwi poufnie rozmówić się z sobą, ale w narożniku u Bieleckich otoczyło ich tyle ciekawych osób, że ledwie pocichu słów parę wymienić mogli. Zarzucano ich pytaniami: Płazę o podróż, Bietkę o króla, królowę i wszystkie te nroczyse przyjęcia, które ciekawość obudzały.

W Warszawie, potrzebującej karmić się jakimiś wymysłami nadzwyczajnemi, z jednej strony prawiono o przyszyłym sejmie, jako o czemś groźnem i strasznem, z drugiej przesadzano skutki podróży i jej zdobycze.

Zmiana u dworu, któremu ubyla Amanda, dotąd niemająca zastępczyni po sobie, stosunek królowej do

młodego królewicza, którego niemka mściwa źle usposobiła dla macochy, wyjazd do Płońska, ściąganie wojsk dostarczały gawiedzi aż nadto treści do tych potwornych wymysłów.

Zaspokoiwszy ciekawość zebranych u Bieleckich gości, Bietka z ojcem na dzień następny umówiła spotkanie u ks. Stoczka.

Tu mogli być sami. Izdebka była małą, ale gospodarz sam zajęty w szkółce, oddawał ją im, ustępując chętnie.

Rozpoczęła Bietka naprzód od powieści o swej przygodzie z Nesterackim, o poświęceniu się dla niej Nietykszy.

— A! dziecko moje, ja już wiem o tem wszystkim — rzekł Płaza. — Przybywszy do Warszawy, gdy się dowiedział przestraszony o zuchwalstwie tego łotra, któremu niemka z pewnością dopomagała, śledziłem, chodziłem, rozpytywałem, i pewnie mi tu nic nie uszło.

Nie powiesz mi nic nowego, a może ja prędeż cię czegoś nauczę. Z tym zbójem Nesterackim pono niekoniecznie...

Rzuciła się Bietka.

— Cóż on teraz może?

— Z szalonym mając do czynienia nigdy człowiek nie odgadnie kędy się rzuci. Ja ci tylko mówię, że zemsty jego nad tym pocziwym Nietykszą, a może i dla ciebie, lękać się trzeba.

— Królowę mam — poczęło dziewczę.

— A! — przerwał ojciec — ma ona zbyt wiele na głowie, aby mogła zająć się twoim losem. My sami o nim myśleć musimy. Na biedę ja ci dotąd nie wielkiego i świetnego zapewnić nie mogę, a tyś do dworu i zbytku nawykła.

Na litwina też pod czas, aby się mógł ożenić, nie sposób liczyć. Matka, jakaś tam kniaziówna, ani słuchać nie chce, aby ladajaką sierotę zaślubił.

Westchnął Płaza.

— Mnie się nie poszczęściło—rzekł—tyle tylko, że kozacy nazad z listami posłali do Warszawy, to jeszcze wygrana, ale mojego skarbu na Chortycy ani mógł dostać, ani się po niego wybrać. Musiałem komu innemu zwierzyć, aby go odkopał, no... i mnie, da Bóg, przywiózł, przysłał, czy ja wiem!

Stary jęknął czoło z potu ocierając. Bietka poruszała głową.

— Al ojcze kochany—rzekła—ten twój skarb, to już bodaj jak w bajce. Nigdy my go nie zobaczymy. Jeżeli go odkopie ten, komuś się zwierzył, zabierze go sobie.

Pląza zamruczał coś.

— Nie wiem—odparł—boćby i to mogło, a i gorzej, bo go wyszpiegować i pochwycić gotowi, to mu zabiorą do wspólnej skarbnicy. Liczyć też na to wiele, trudno. To, co mamy u ks. Stoczka, dla mnieby starczyło, bo ja pracować jeszcze mogę, ale dla ciebie?

Bietka podniosła oczy ku niemu.

— Ja na to wyposażenie nigdy nie rachowała — odezwiała się cicho, ręką potrząsając.—Teraz jam królowej potrzebna, więc mi na niczem nie zbywa, mój litwin żenić się nie może, ale co ty poczniesz, ojcze...

Zmarszczył się stary.

— Moje położenie—odezwał się—dosyć trudne, bo ja już na Niż nie powrócę... Nie, kozaczyzna mi już kością stoi w gardle, a ona wcale teraz inną niż była, i lada dzień tam pożar buchnie, którego się nie spodziewa nikt... Ja go widzę...

Zniżył głos trochę.

— Król ich potrzebuje na turka — dodał — a oni wcale o czem innem myślą. Turek im nie w głowie, chyba jako sprzymierzeniec. Padną na lachów, którzy im dokuczili. . na nich się sposobią i odgrają, nie mogę z nimi być, bym z siebie jeszcze polskiej nie zwłóknął skóry. Dopóki kozaczyzna była wojskiem rzeczypospolitej na kresach, mógł się tam człek schro-

nić, w sumieniu nie mając nic, ale gdy się obróci na własną naszą krew...

— Mogłoby to być! — krzyknęła Bietka — tu nikomu się o tem nie śni.

— Hm — rzekł Płaza — nikomu! Może nikomu oprócz króla! Jeżeli królowi nie da szlachta iść na turka laury i królestwa zdobywać, to się zemści na szlachtę spuszczać kozaków z łańcucha.

Wiedzą już oni, że króla za sobą mieć będą, choćby się na panów, co tam w Ukrainie siedzą i rządzą, podnieśli. W pismach, które król z kozakami mienia, nic pewno nie stoi o tem, ale gadki chodzą różne...

— Jakto? król przeciwko własnemu narodowi miałby...—przerwała Bietka.

— On ci nie nie pocznie—odparł Płaza—tylko ręce założy. Kozacy skorzystają z tego, że mu byli potrzebni... domyślą się sami.

Jeden warchoł butny, o którego nie trudno, stanie na czele, a rejestrowych i nie rejestrowanych kozaków nie kilkanaście tysięcy, ale sto tysięcy z ziemi wyrośnie.

Płaza spuścił głowę i ciężko jęknął rękę przykładając do piersi.

— Przysłali mnie z listami, kazali powracać — dodał—ale ja na Niż nie pojedę... Zasądzą mnie jako zdrajcę, tom i tu głowy nie pewien, mają wszędzie swoich...

— Do Krakowa lub gdzieindziej musisz się schronić—zawołała Bietka—gdy raz postanowisz.

— Jam to już postanowił—rzekł smutnie Płaza.— Na Niż nie pojedę, nie chcę, nie mogę; a no, takim jeszcze głupi, że mi się zdaje, iż przyjaciel-kozak skarb tu mój przywiezie.

Rozśmiała się Bietka i sam Płaza się uśmiechnął.

— Prawda — dodał — że to kozak taki, jak i ja, lach co się tam zawieruszył, a tak tęskni za swoim krajem, że radby Sicz, kozactwo i wszystko co tam

nad Dniepremby mu się śmiało, porzucić. Toć prawda, ale gdy te mizerną moją krwawicę z pod kamienia dobędzie, a zabrzęczą mu tam złote tureckie monety i poczuje, że bezkarnie sobie przywłaszczyć może, pokusa będzie za sroga.

— A rzeczpospolita szeroka — dodała Bietka — schować się łatwo.

— Ani ja go sznkać myślę — rzekł Płaza.

— Długoż na niego i na ten skarb bajeczny czekać tak myślicie w Warszawie? — zapytała córka.

— Nie nie nagli, dopóki kanderz mi listów nie da z odpowiedzią — rzekł Płaza — a wedle mego rozumu, on ich dać nie może, dopóki sejm nie rozstrzygnie o wojnie.

Sejm na koniec oktobra podobno zwołują, pociągnie się pewno do grudnia; do zimy więc ja tu bezpieczny i mogę czekać na mojego Carycę!

Wstał, mówiąc to, z tarczana, na którym siedział Płaza, i rękami objawszy głowę córki, stał milczący.

— Mów, co poczniemy? — rzekł w końcu.

— Musimy czekać — odezwała się Bietka — i wszystko tak jak jest, pozostanie. Co się tyczy Nesterackiego, którego zemsty mi się obawiać każesz? mnie on nic uczynić nie może, ale Nietykszę, jak tylko powróci, przestrzedz potrzeba. Niema go tu teraz, bo na Litwie ze swym panem, albo w Wilnie lub w Olyce przebywa.

Rozmowa ojca z córką poufna trwała dosyć długo; rozstali się wreszcie, gdyż dziew. czę na służbę wracać musiało do królowej, a Płaza chciał się rozmówić ze Stoczkiem.

Wkrótce też nadszedł blady klecha znużony, ba-kałarzewaniem, chociaż z wielką miłością je spełniał. Uściskali się starzy przyjaciele.

— Cóż ty mój ojciec na to wszystko co się u nas dzieje? — zagadnął Płaza.

— Ja? miły Lasoto — począł ksiądz — inaczej może



widzę sprawy i stan naszej rzeczypospolitej niżeli wy, bo stoję gdzieindziej, w kąteczku kościelnym, w kruchcie mojej, zkąd może mi wszystko i inaczej się ukazuje, niż z waszych stanowisk świeckich i dworskich.

Więc nie po ludzku, nie po rycersku, nie jako statysta, ale jako mizerny klecha, służebniczek Boży, biedactwo krótko widzące, widzą i sądzę. Nie nauczysz się też nie odemnie.

— Mów przecież—odezwał się Płaza — ja pewnie mniej jeszcze widzę niż ty... oślepiły mnie lata długie wśród trzciny i sitowia spędzone, gdzieś tylko dzikich kaczek głosy i kozackie pieśni słyszał.

— Gdy patrzę — zaczął zadumany bladej księżyną — na tę naszą rzeczpospolitą, a wezmę kroniki do ręki i przypomnę dzieje, strach mnie ogarnia. Doszliśmy do tego, że król nie może tak jak nie, chyba wiarę złamie, że hetman jest na łasce ciurów, co się mogą w związek jutro na niego sprzedać i posłuszeństwo mu wymówić dla żołdu, że duchowieństwo nie może wiele, bo połowa narodu ma predykantów, a są tacy, co ani Boga, ani kapłana nie znają. Powiedz ty mnie, co z tego może urosnąć?

Wolają głosy wieszczce o naprawę rzeczpospolitej, wołał tak ks. Skarga, prorokując jej upadek, jeśli się nie zechce poprawić, a prywatnie górę weźmie. Cóż z tego? Dziś gorzej może niż za ojca króla naszego było. Na dworze zgorszenie, z pałacu ono poszło na miasto, a z miasta popłynie po dworach... Wy mi mówicie o kozakach, Bóg może wistocie posłużyć się i nimi i tatarami i wszelką różgą mściwą, aby ukarał za winy.

Przed nami więc wieki pokuty, może niewoli, może męczeństwa...

— Módlmy się i kajajmy za grzechy.

Słuchał Płaza smutnie.

— Król przecież zamyśla coś — rzekł — mówią

wszyscy, iż mu się rozprężenie nasze uprzykrzyło... ale zmoże-li?

— Król?—szepnął ksiądz—powinienby począć reformę od siebie... Sodoma i Gomora, dwór jego, królowa pobożna nie ma władzy żadnej, przyszły dziedzic korony chowa się w atmosferze zgnilej, co z niego wyrośnie?

Po smutnej rozmowie ze Stoczkiem wyszedł jak rozmarzony troskami swemi Lasota i kroczył z głową spuszczoną ulicą, gdy go—Sława Bohu! cicho do ucha rzucone rozbudziło.

Parfen szedł obok niego.

— Coś ty batku sumujesz, chmurny jesteś?—odezwał się kozak—co tobie?

— Co ma być—zawołał trochę niecierpliwie Płaza—albo mi tu tak dobrze wisieć, a czekać odpowiedzi?

— El el — rozśmiał się kozak — jużbyście się skarżyć nie powinni, macie tu swoich, a brak wam braci kozaków, tom ja jest i bodaj drugi się znajduje.

— Kto drugi?—spytał Lasota.

— Pewnie go znacie—rzekł Parfen—dopiero wczoraj tu z Siczy przybiegł, z czem nie wiem. Nie gada...

— Jak się zowie?

— Przewali go Carycą — rozśmiał się Parfen — bo piękny jest, a lach, jak wy; albo go posłali tu, ale ja o tem wątpię, albo on sam pozwolenia nie prosząc zbiegł... Jeśli tak jest, ej! jednym laszkiem w Siczy mniej, niewielka szkoda, ale on tam wypatrywał wiele i wie i nasłuchiwał się tajemnic naszych, wyniesie je... Zła rzecz!

Płaza, który ledwie mógł się powstrzymać od okazania wrażenia, jakie na nim uczyniła wiadomość o przybyciu Carycy, zwolna podniósł oczy na Parfena.

— Jakież on tam tajemnice mógł podsłuchać? —

odezwał się. — Starszyczna go na radę nie brała, pisarz do listów nie używał...

Widzieliście go?—dodał.

Parfen głową potwierdził.

— Gdzie?

— W gospodzie—mówił kozak—zajechał jak wy na Długą ulicę, do najmizerniejszej gościny, do Gradzisa.

— Mówiliście z nim?

Parfen się trochę zawahał.

— A no—rzekł—juściż.

— Z czemże przybył?—pytał dalej Płaza niespokojny.

— Nie chce mówić — rozśmiał się kozak.—Chytry on, ale są chytrzejsi jeszcze, jakbym ja potrzebował się od niego o tem dowiadywać? Sam on mi się zdradził!

Po chwili Parfen kręcąc głową dorzucił.

— Ktoby Carycę wysyłał? Zdać się on mógł z samopalem lub szablą, ale z głową i z gębą? Potrzebowali lacha do lachów, mieli was, a jednego starczy. Caryca pewnie sobie sprzykrzył na Niżu, ale jemu i tu będzie niezdrowo.

Lasota, który wiedział, że oczów Parfena nie uniknie, wręcz otwarcie się odezwał.

— Iść mi zaraz do Gradzisa do niego. Znam dobrze Carycę, muszę się z nim widzieć.

— Jam też tego tak pewnym był, że z tem do was przyszedłem — mówił kozak. — Rozmówcie się. Prędzej on wam się do czego przyzna, niż przedemną.

Nie odpowiedział nic Płaza.

Kozak doprowadził go do rogu Długiej ulicy, pokazał mu Gradzisa dom i pokłoniwszy się zawrócił na Miodową.

Niespokojnie zdązał Płaza do gospody, gdyż przybycie Carycy nieledwie miało znaczenie, że mu się powiodło na Chortyce i że nie myślał sobie cudzego

mienia przywłaszczać. Było to istnym cudem, nie poddawał się też przypuszczeniu Płaza.

— Nie powiodło mu się może! zawsze stateczny człek.

U Gradzisz a tej godzinie pusto było prawie, goście jego po mieście się rozeszli. Gospodarz sam, mały człeczek, brudny i dosyć odarty, stał we drzwiach.

Rzadką jeszcze naówczas było rzeczą zażywanie tabaki, chociaż się od lat kilkudziesięciu do Polski ziele to wkradło. Miała je pono Anna Jagiellonka w doniczkach, a w królewskim ogrodzie przy pałacu na Krakowskim pokazywano cudowną roślinę tę, której naówczas przypisywano wszystkich chorób leczenie cudowne. W Krakowie już sprzedaż tabaki w tychże latach zaprowadzona została; sprzedawano ją i w Warszawie.

Gradzisz należał do tych, co się lecząc od bólu głowy, do tabaki nazwyczaili. Stał przed wrotami, trzymając w ręku spore pudełeczko, ponad którym nos jego gulowaty zwieszony był, aby to co w niego ręka troskliwie pakowała, na ziemię się nie uroniło.

Wszyscy co go znali wiedzieli, iż gdy był zażywaniem zajęty, nie godziło mu się i na próżno było przerywać, bo nie mógł się dać oderwać od tego, co miał za rodzaj tajemniczego jakiegoś obrzędu. Gradzisz taką wagę przywiązywał do naładowania nosa, iż będąc bardzo pobożnym, a nie mając pewności, czy zażywanie było dozwolone w kościele, męczył duchowienstwo nachodząc je, aby niezmiernie ważną tę wątpliwość urzędownie rozwiązało.

Na pierwsze więc pozdrowienie nie odpowiedział zagadnięty i dopiero gdy tabaka była wciągnięta, palce skrzętnie otrzepane, pudełeczko szczelnie zamknięte, a nareszcie schowane do kieszeni, podniósł głowę.

Płaza przywitawszy go miał spytać o Carycę, ale

nie wiedział pod jakim on tu przybył nazwiskiem i postacią.

— Macie tu jakiego z Rusi hożego bardzo pana? — zapytał — wczoraj pono przybyłego?

Gradysz głową skinął, domyślił się o kogo chodziło.

— W gospodzie czy na mieście?

— Widzi mi się na mieście — rzekł Gradysz ochrypłym głosem, który niedobre dawał świadectwo o leczebnych skutkach rośliny tabago.

Śluszny! oczy czarne! w istocie bardzo hoży! rycerska postawa. Tak?

— Tak.

— Wczoraj przybył głodny — mówił Gradysz — podjadł dobrze, spał też jak się należy, a oto ze skrzynką, którą na wózek włożyć kazał i powiózł na miasto, wyruszył.

Plaza usłyszawszy o skrzynce ręce mimowolnie złożył. Uradowany począł dziękować.

— Bóg zapłać, panie gospodarzu, Bóg zapłać!

Pożegnali się uprzejmie. Lasota śpieszył na róg Piwnej, gdzie był pewien prawie, że zastanie Carycę.

Na wschodach go spotkała Bielecka.

— A idź waszmość do mieszkania, bo tam jakiś chłop... ale ślicznyż! śliczny, choć maluj, czeka na was. Skrzynkę przywiózł i siedzi na niej.

W starym Plazie sił przybyło, rzucił się cożywo do swej izby.

W istocie Lackowicz tu siedział spokojnie na skrzynce, łokcie spartłszy na kolanach i czekał.

Przebrał się już był po polsku i z kozaka w nim chyba tylko ruchy pewne rubaszne pozostały. Zobaczywszy Plazę na szyję mu się rzucił.

Ten mówić nie mógł ze wzruszenia.

— A toć cud! — wyjęknał wreszcie.

— Ja sam mówię, że cud — podchwycił Lackowicz. Czasem się składa wszystko malikowato, cokolwiek to

się potyka, a tu się tak złożyło, że gdzie już ginąć było trzeba, ladaco ratowało.

Na Chortycy mnie o mało nie pochwycili, nadpłynęła kozaczycha z czółnem i zabrała z sobą; potem w Kijowie już mnie mieli w ręku prawie, bo zwąchali, że ja pójdę precz, a tu się trafił starosta wasilkowski ze dworem powracający do Polski i wprosiłem mu się do dworu.

Masz twój skarb nietknięty!—rozśmiał się naostatku wstając ze skrzynki Lackowicz.

— Patrzaliście wewnątrz?—zapytał Plaza.

— Poco?—odparł kozak.—Ciekawości nie miałem. Z ciężaru wnoszę, że cię nie okradli.

Lasota się zdumiał przekonywając, że skrzynka była zamknięta, klucza od niej nie miał oddawna.

— Prawda—odezwał się w tej chwili Lackowicz—głupim był, że nie zazierałem. Mógł kto wybrać złoto a kamieni narzucić, a jam je darmo dźwigał.

Plaza już był w kuchni u Bieleckich, pochwycił tępą siekierkę starą, powrócił z nią i wziął się do zamku, który niebardzo się opierał.

Zajrzeli oba—odetchnął Plaza. Wszystko tam leżało, jak było, chusty pogniły i poczerniały, worki się porozłaziły, a pieniądze, połamane kawałki złota i srebra pozlepiały się jakąś wilgocią na kupki.

Lasota wyciągnął ręce do przyjaciela i wskazał mu skrzynkę.

— Bierz, weź ile chcesz, to nasza wspólna własność.

Śmiał się Lackowicz spuściwszy oczy.

— Najmilejby mi było nie tknąć ani złamanego szeląga—rzekł—ale swojego grosza mało mam, a nim sobie służbę znajdę, dość czasu upłynie, muszę żyć, pożyczysz mi ile zapotrzebuję.

Natychmiast posłał Plaza, który rad pił, po wino i zasunawszy skrzynkę pod łóżko, wesół począł przyjaciela przyjmować.



— No, przyznaj się—rzekł Lackowicz—byłeś pewny, że ja z twoim skarbem pojedę w świat. Jam to czuł. Dlatego mi się haniebnie chciało powrócić z nim, aby ludzie wiedzieli, że taki newszyscy są zbóje.

Nic nie mówiąc Płaza śmiał się.

— Więcej—rzekł — lękałem się, aby cię nie pochwycili.

Wszczęła się rozmowa o kozaczyźnie, o buntowniczym duchu, który się tam wywiązywał, a Lackowicz poświadczył, że wiatr, który zawiewał z Warszawy, rozdymał ten pożar jeszcze dopiero tlejący.

Przestrzegł go o Parfenie Płaza, poczęli radzić co z sobą poczną dalej. Oba stanowczo powracać nie myśleli, choć Płaza przewidywał, że go na Niż popychać będzie kanclerz, chcąc mieć tam kogoś, coby donosił o przygotowywaniu się kozaków.

Na te szepty i narady weszła niezmiernie ciekawa pani Bielecka, którą nadzwyczajna piękność przybyłego nabawiała niepokojem. Zalotna, ciekawa, chciała wiedzieć i kto to był, i choć resztkami goniła, pobałamucić go trochę.

Wynikło z zapoznania się z nią, że Lackowicz został na łyżkę barszczu zaproszony na jutro.

Nie miał też co robić w Warszawie. »

Płaza mu zalecił, aby przyszedł zawczasu. Po tak długiej niebytności w kraju, który zaledwie głównymi rysami swemi pozostał w pamięci, skozaczalemu, zdzieczalemu świat ten jeszcze się dziwniej czarodziejsko pięknym wydawał niż Płazie.

W ulicy Lackowicz stawał i przyglądał się pannom przechodzącym, postrojonym, świeżym i białym twarzyczkom miejskim z zachwytem. Po opalonych licach kozaczek, te wypieszczone istoty wydawały się aniołami malowanemi.

Nawet odświeżana codzień pani Łukaszowa, której twarzyczka od brwi i warg poczynając cała była dziełem sztuki, zachwycała Lackowicza.

Ani pomyślał o tem Płaza, jakie wrażenie piękna Bietka zrobi na tym przyjacielu.

Ona też na obiad przybiedz miała z zamku i wszyscy już czekali tylko na nią, gdy dziewczę zadyszane przybiegło.

Bielecki będąc na zamku oznajmił jej o przybyciu przyjaciela ojca, a łatwo się domyśliła kto on był. Ciekawie śpieszyła go zobaczyć i dziękować.

Na widok wbiegającego dziewczęcia, które się przystroili nieco, choćby dla ojca, aby się córki nie wstydził, biedny Lackowicz osłupiał i oniemiał.

Raziła go jak piorunem, a musiało to być bardzo wyraźnem, bo się zarumieniała. Ani Płaza, ani Bielecki przytomny nie spostrzegli co się stało. Lackowicz zachwycony, gdy przemówiła do niego, załkotał i odpowiedzieć nie potrafił.

Dopiero wchodząca Bielecka, ze swym instynktem kobiecym, jednym spojrzeniem odgadła co się tu działo. Zobaczyła Bietkę zakłopotaną, a Lackowicza jakby skamieniałego.

— Przepadł chłop!—powiedziała sobie w duszy.

Po chwili dopiero gość się jakoś wytrzeźwił i opamiętał, a Bietka przypomniawszy Nietykszę spoważniała. Miała na ręku jego pierścioneł.

Przy obiedzie Lackowicz, choć się z niego wyśmiewano, że z ruska zarywał, żywo opowiadał o podróży, o sobie, o Kijowie i dowiadywał się co tu słyszać było.

W górze mówiono tylko o wojnie, w dole o królu i królowej.

Właściwie mało tu kogo obchodziło wojsko królewskie, nieporozumienie z senatorami, pułki niemieckie, ale z rozbudzoną ciekawością śledzono każdy krok Maryi Ludwiki, której przypisywano oddalenie Amandy, pozyskiwanie sobie zręczne panów u dworu i prorokowano, że w końcu królem zawładną, zauszników i pochlebców rozpędziwszy.

Takie było zdanie prawie wszystkich. Wielkiej

miłości nie pozyskała sobie zimna królowa, ale w niej przeczuwano panią.

— Francuzka — mówił pocichu szafarz, powtarzając jakieś słowo, które biegło po dworze—francuzka szturmem króla nie weźmie, ale się podkopie!

Przybyła tu we łzach, król jej znać nie chciał, nie patrzył na nią, niemka nim rządziła; królowej nikt nie pomagał, została sama, a teraz... tylko co nie widać, jak król się przed nią układać będzie musiał. Naprzód pieniędzy już jej winien siła... a potem!

Bielecki głową pokręcał.

— Mądra pani.

Ujęła się za nią Bietka.

— Ja z nią od rana do wieczora jestem—rzekła — bo co chwila coś tłumaczyć muszę i objaśniać, a mam wiarę u niej, nikt jej lepiej nie zna... Urodziła się na królowę, ma cierpliwość i rozum, milczy i nigdy się nie unosi, a płacze czasem to w kątku. Król się jej już wstydzi, niekiedy przed nią do Płocka, Pac go namówił, bo tam swobodniejszym będzie, a na zamku choć on pan i król, przed królową oczy spuszcza.

Dowiedziała się niedawno królowa, że bez jej wiadomości obiecał pana kasztelana krakowskiego uczynić hetmanem wielkim, aby go sobie na wojnę pozyskać... trzeba było wiedzieć, jak się jej pokornie tłumaczył, bo bez niej żaden przywilej nie może być podpisany, ni przypieczętowany.

— Hol hol — potrząsnął głową Płaza — a toć wiele!

— Nie dotrzymuje król słowa—dodała Bietka—to prawda, ale musiał je dać.

Nowe tedy panowanie się zdało zapowiadać.

— Król-bo — dodał Bielecki — haniebnie podupadł przez tę podagrę i cierpi srogie męki. Zamek się czasem od krzyków jego rozlega.

Choroba to, z którą doktorowie powiadają, można żyć długo, ale co życie warto w takich boleściach.

A odejdzie cokolwiek N. Panu, że wstać może, zaraz na polowanie, i ani w jedzeniu ni w picu się nie powstrzyma.

Tu Bielecki nie kończąc, po ustach się uderzył, dając znak, że o reszcie zamilczeć musi.

Mówiono i o królewiczu, który przez niemkę w początkach do macochy był zrażonym, ale powoli zdawał się teraz zbliżać do niej. Król na to nie nalegał. Na chłopaku wszyscy największe pokładali nadzieje.

— Drugiego potomka trudno się spodziewać—dodał Bielecki żartobliwie — król myśleć o tem nie ma czasu.

Przez cały prawie obiad rozmowa się tak obracała około spraw powszednich, a głównie około sejmu.

Lackowicz mało co się odzywał, a niewiele może słuchał, tak się wpatrywał w Bietkę i rozmarzał jej pięknością i rozumem. Wszyscy też, gdy otworzyła usta, zwracali pilną uwagę na to co mówiła, bo była prawie nieodstępną przy królowej.

Czas przechodził szybko i zaraz po obiedzie dziewczę musiało na zamek powracać, Bielecki na ratusz szedł, jejmość jego na nieszpory do Augustyanów, a Płaza z przyjacielem pozostali sami.

Wolnych tych godzin, zamknąwszy się na klucz, użył Płaza przy pomocy przyjaciela do uporządkowania swojego skarbu, który był w największym nieładzie, prawdziwie kozacka łupież; składał się on z podobieranych tatarom i zdobytych na Turkach, wschodnich i włoskich wyrobów jubilerskich i złotych portugalów i donatywek. Były tam i pogiećte kielichy, pateny, monstrancye, talerze, naszyjniki i łańcuchy. Z tych jednak mało całego się uchowało i Płaza myślał o sprzedaniu bruchtu na wagę, pieniądze zostawując bez wymiany, bo te zawsze było łatwo puścić. Szły wszędzie.

Zmusił Lackowicza, aby spore sobie wziął i nie myślał o oddawaniu.

— Dałbym-ci ja to wszystko i dziesięć razy tyle — mówił sobie w duchu Lackowicz — gdybyś mi swą Bietkę za żonę dał.

— Co teraz poczniesz? — dokończywszy obrachunku i skrzynkę zasuwając pod łóżko — odezwał się Plaza — mnie się widzi, że rodziny nie mając, a z taką postawą, twarzą i rycerską wprawą, jak wasza, nie ma innej drogi, albo się do królewskich pułków zaciągnąć, albo do służby którego z panów.

— Daj mi się rozpatrzyć — odparł Lackowicz. — Z tego co od was tu słyszę, królewskim pułkom długie życia wróżyć niemożna. U panów zaś, kto plecunie ma...

Z tem się rozstali.

W kilka dni potem nadjechał kanclerz Radziwiłł na sejm już pośpieszając, a z nim Nietyksza.

W czasie pobytu swojego na Litwie dojechał on do matki do Borbiszek, chcąc ją widzieć i przekonać się, czy zmięczyć jej nie potrafi. Stara Gedyminówna okrzykiem go powitała, obsypała pieśczołami, ale po kilka razy na dzień sama wracając do tego przedmiotu, powtarzała mu.

— Tylko mi nie mów o dworze!

Nietyksza też nie wspominał wcale, chociaż z twarzy czytać mogła, że o niej myślał. Stara poprobowowała go do gospodarstwa znęcić, do wsi, do koni, ale się jej nie powiodło.

Syn nie chciał jeszcze się pod Olkienikami zakopać w cichym dworze. Ks. Radziwiłł był nań łaskaw.

W Warszawie z wielkiem zdumieniem swem od przyjaciół, których tu miał, dowiedział się nowiny prawie nieprawdopodobnej. Zaręczano mu, że Nesteracki się ukrywał gdzieś w bliskości, że go widziano wieczorami około zamku, i choć mu jego opiekunki zabrakło, kręcił się tu zapewne nie bez celu.

Niepodobna było przypuścić, ażeby na dziewczę

przy królowej będące śmiał się ważyć porywać, lecz w złym człowieku zemsta mogła się ukrywać i szukać sposobnej do objawienia chwili.

Nietyksza go ścierpieć nie mógł; postanowił się przekonać naprzód, czy istotnie się tu znajdował, a potem postarać o to, aby go jako o gwałt obwionego ujęto.

Byli ludzie, którzy zaręczali, iż go wieczorami widzieli, poznali, i omylić się nie mogli. Nietyksza zasadził się w ciemnych krużgankach zamkowych, raz i drugi, miał pomocników chętnych, lecz Nesterackiego nie poszlakowano. Wiedziano dawniej z kim on kupczył obrokami i sianem, podesłano tam, i nie znaleziono go także. Straciwszy dosyć czasu, litwin wreszcie jednego wieczora już z zamku idąc, w ulicy się z nim spotkał. Nie mógł się omylić; Benedyk w pierwszej chwili chciał uchodzić, ale silny przeciwnik rzucił się na niego i krzyknawszy na alarm, zatrzymał.

Trwało to jednak krótko, bo Nesteracki nożem z zapasa dobywszy ranił go tak silnie w pierś nim, iż litwin padł brocząc we krwi na ziemię. Nim ludzie na wołanie od zamku pośpieszyli, Nesterackiego już nie było.

Rannego ciężko Nietykszę obwiązawszy na zamku, zawieziono do Radziwiłłowskiego dworu, a nazajutrz za staraniem kanclerza przy bębnie obwoływano, aby Benedykta Nesterackiego imać i do sądu dostawić jako gwałtownika i mordercę.

Co się z biedną Biętą działo?... Pocieszano ją, że rana nie groziła życiu litwina, lecz była to nowa krew przelana dla niej.

---



VI.

Okolo dwudziestego października stolica nad Wisłą już się zaczynała napełniać codziennie nadciągającymi gośćmi. Król z Płocka powrócił dnia 25 miał być sejm otwarty.

Lecz widzieć potrzeba było w jakim usposobieniu przybywali senatorowie i szlachta. Król, jak zawsze się uskarżając na nogi, na boleści, przyjechał na umyśle pozornie swobodny i wesoły, lecz ci co go znali widzieli, że paliła wewnątrz niecierpliwość gorączkowa, którą obojętnością pokrywał.

Prawie na wysiadanem znalazł się marszałek Kazanowski, we dwu poszli razem do sypialni, gdzie wieczercę podać kazano.

Kazanowski był jak zawsze posłusznym bez ograniczenia narzędziem króla, ale teraz przekonany jego nie podzielał. Służył mu, bolejąc, że się Władysław łudził.

— Co mi powiesz?—odezwał się król żywo—usposobienie jakie. Widziałeś kogo?

— Mnóstwo osób.

— Jakże są usposobieni?

Kazanowski milcząc ramion ruszeniem odpowiedział.

— Bojaźliwi są—przerwał król—nikt nie ma odwagi przeciwko prądowi płynąc, ja muszę mieć męstwo za wszystkich. Dysymulowałem dotąd; dziś już nie pora.

— Gdybyś chciał—odezwał się marszałek—na nic się to nie przyda, przygotowania są nadto jawne. Wojska po kraju i w stolicy rozstawione dokuczliwie się czuć dały.

Władysław się rozśmiał.

— Wiem! skargi są powszechnie, a zatem niech mi pomogą z kraju wyprowadzić regimenta. Ja nic innego nie żądam. Sejm...

Spojrzał na przyjaciela, który usłyszawszy o sejmie, mocno się skrzywił.

— Rachujesz na sejm?—szepnął.

— Mój Boże—gwałtownie wtrącił Władysław — pracowałem tyle nad przygotowaniem do niego, że jeśli nie na cały sejm, to na czoło jego liczyć, zdaje mi się, mogę. Zresztą, ty znasz myśl moją.

Kazanowski spuścił głowę i milczał długo.

— Rozważ dobrze niżeli krok uczynisz—rzekł. — Nie potrzebuję mówić, że mnie u swojego boku mieć będziesz, ale...

Król powstał z łoża.

— Czytajże historję — odczytywał się do Kazanowskiego — inaczej się do władzy nie dochodzi, a tu władza jest koniecznością.

Z mojami zaciągami, z żołnierzem jakiego mamy, wierzaj mi, całej tej niespokojnej szlachcie rady damy, a senatorowie pójdą nieprzymuszeni, jak skoro przewagę u mnie zobaczą.

Dlatego chciałyby wszystkie o ile możliwości zaciągi dokoła Warszawy porozstawiać, aby były na zawołanie.

Zapalał się król, a Kazanowski zdawał przeciwnie ostygąć.

Czas jakiś panowało milczenie.

— Wiesz—odezwał się marszałek — nie spodziewam się, abyś komu oprócz nas kilku zwierzał się z tych myśli swoich, a jednak one już obiegają z ust do ust. Wszyscy są przerażeni.

Jestto bardzo niepomysłnem — dodał. — Mam to przekonanie, że po dojrzałej rozwadze ty swój plan zuchwały zmienisz, a przynajmniej teraz go nie zechcesz przyprowadzić do skutku, tymczasem burzy on już umysły i zniechęca.

— Nie spodziewam się, aby mnie kto zdradził —

rzekł król ponuro — ale samo koncentrowanie się wojsk i powoływanie ich pod Warszawę...

— Popłoch panuje w mieście—mówił dalej Kazanowski—przywożą go z sobą senatorowie. Widziałem z nich wielu, bo śpieszyli do mnie o czymś się dowiedzieć. Staralem się ich uspokoić.

— Nie potrzeba było im dawać się ludzi — wtrącił król — nie czas już.

Ja, ty, wszyscy winniśmy mówić otwarcie, że wojna jest nieuchronną, że ja jej żądam dla dobra i sławy Rzeczypospolitej. Poniosłem ofiary, gotówem do nowych, nie odstąpię.

Król drżał cały mówiąc.

— Potrzeba przygotować do tego umysł.

Przerwana została rozmowa. Oznajmiono Ossolińskiego. Kazanowski spokojnie usunął się nieco na stronę. Kanclerz wszedł poruszony i jakby się śpieszył.

— Szczerście to, żeśmy się W. Król. Mości doczekali—począł całując podaną rękę. — Jesteśmy obłożeni pytaniami niedorzeczności, panika powszechna. Senatorowie przybywają zrozpaczeni, a pierwszym ich słowem—Wojna?

Z uśmiechem wymuszonym przerwał Władysław Ossolińskiemu.

— Potwierdźcie to im, nieuchronna!

Kanclerz jakiś czas stał namyślając się.

— Ogólne usposobienie najgorsze—rzekł—taić tego niemożna.

— Nie damy się mu złamać—przerwał Władysław. W Krakowie czasu koronacyi, we Lwowie w ciągu mojej podróży musiałem ciągle kruszyć kopie za programem moim, udało mi się wielu pozyskać. Nie wszyscy są przeciwni, ale tu obawa szlachty, która ma wstręt już do wszelkiej wojny!

Rachuję na to, że zebrani na sejm, jedni drugich nawracać będą.

Kazanowski i Ossoliński ukradkiem spojrzeli na

siebie i oba już zamilkli, wyrzekając się dalszego z królem sporu.

Władysław okazywał wielką pewność siebie i bezpieczeństwa,

Kancelarz wspomniał o listach od kozaków otrzymanych.

— Należy ich oszczędzać i słuchać—rzekł król.— Są mi potrzebni, chcę ich mieć dla siebie. W ostateczności...

Nie dokończył.

— Z odpowiedzą strzymać się musimy do końca sejmu.

Kancelarz zabawił niedługo, Kazanowskiego król, poszeptawszy mu coś na ucho, odprawił zaledwie, gdy Pac już mu nowych gości oznajmiał, nad których przyjęciem król się namyślał zasępiiony.

Kasztelan gdański, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki, odesłani z przeproszeniem do jutra. Powiadano, że N. Pan znużony był i cierpiący.

Podagia służyła teraz doskonale, ile razy chciał się pozbyć odwiedzin natrętnych. Boczniemi drzwiami wpuszczano dworskich urzędników i te osoby, z którymi król widzieć się żądał.

Dnia tego aż do późna antykamery były pełne, nieustannie zajeżdżały kolebki, senatorowie, biskupi jedni po drugich, z twarzami przeciągniętymi domagali się posłuchania.

Podkomorzy miał ciągle do czynienia, tłumacząc znużeniem króla.

Wszyscy odchodzili zafrasowani, szepcząc, a niepokój na wszystkich twarzach był jakiś niezwykajny.

Tymczasem do króla powołano potajemnie Rejnera, jednego z dowódców zaciężnych pułków, potem dwu jeszcze pułkowników piechoty. Tym Władysław wydawał rozkazy, ożywiony, wesół i każdego z nich prawie czemś obdarzał. To też na twarzach cudzo-

ziemców malowało się uszczęśliwienie, gorliwość do służby i niezwykła buta.

Nieco się tych cichych posłuchań pod wieczór przebierać zaczęło, gdy król zadumany, postrzegł stojącego nieopodal od łóżka swego, ulubionego młodego Paca. Faworyt ten, który zwykle fantazyom miłośnym króla dopomagał i we wszystkich intrygach dworskich był czynnym, zazwyczaj wesół, dobrej myśli, Władysława umiał rozechmurzać i przynosić mu coś do zabawy; tym razem, choć nie stacił pewności siebie, stał głęboko zadumany.

— Pac! co tobie?—zamruczał król, który sam będąc rozochocony, nie lubił przy sobie twarzy posępnych.

— Nic N. Panie—odparł dworak — niema właściwie nic, ale co się dzieje w Warszawie u nas, opisać trudno.

— Cóż się dzieje? — spytał król — senatorowie...

— Al! gdyby tylko oni!—przerwał Pac—to są po większej części stare grzyby, nie dziw, że ich panika ogarnia, byle się co poruszyło; ale w mieście nawet, na prowincjach, między szlachtą, strach jakiś, trwoga.

— O co? o co?—począł Władysław.

— Najdziwaczniejsze wieści roznoszą ludzie—ciągnął dalej Pac.—Senatorowie z niemi już tu poprzyjeżdżali. Niektórzy twierdzą, że po drodze spotykali pulki nowe ciągnące z ordynansami do Warszawy. Mówią, że wydane są rozkazy, aby się tu pod sejm wszystkie siły zgromadziły. Kto ich wie co płota! Sejm ma się odbywać pod grozą i naciskiem siły zbrojnej, a dredzy się już o gardła lękają.

Pac ramionami rzucił, król zamiast się oburzyć, rozśmiał się.

— Dać pokój tym plotkom — rzekł cicho—niech się wygadają. W części też to prawda jest, zem powołał niektórych pułkowników bliżej, na oczy. Skargi zewsząd niecznośne na nich, zwłaszcza z Prus

i Wielkopolski, żołnierza trudno utrzymać. Bliżej mnie, muszą być karniejsi.

Ze się szlachta, warchoły trochę strachu najedzą, nie w tem zlego.

— Miłościwy Panie—odparł Pac—ja statystą nie jestem, ale umysły tak poburzone, że gotowo znowu jak za nieboszczyka pana, do rokoszu przyjść. W W. Polsce słyszę przeciw pułkom co tam dokazywały, szlachta się we trzy tysiące zebrała, jak na nieprzyjaciela.

Król słuchał zadumany.

— Rokosz?—zamruczał.—A wieszże ty, że jabym może rad mu był?

Pac słuchał zdziwiony, król mówił dalej.

— Byłby mi dziś na rękę, bobym go rychło uśmierzył, a przytem i buty szlacheckiej przytarł. Potrzebują nauki krzykacze.

— Gdyby to tylko szlachta niespokojna—wtrącił Pac—ale z senatorami...

Zbierają się na *concisiabula* potajemne, radzą, skupiają się do oporu. Sejm się gotuje niespokojny, a wszystko z tych plotek.

W mieście popłoch taki, że rada nspokajać musi. Kupcy obcy, którzy na sejm poprzybywali, stoją w rynku z nierozpakowanemi wozami, posłyszeli, że wojska zaciągać mają, że może przyjść do starcia, do rzezi.

Ktoś sobie zmyślił, że w okopach, któremi ks. biskup kijowski swoją nową posesyą otoczył, ma się sejm odbywać, a wkoło obóz stanie zaciężnych, którzy na dany znak się rzucą na posłów i senatorów.

Król słuchał nie okazując ani zdziwienia, ani ażeby mu to przykrość czynić miało. Usta mu się czasem uśmiechały ironicznie.

— Około tych okopów—mówił dalej Pac—ciągle z miasta krążą tłumy gawiedzi, a w mieście, co godzina to nowina.



My z przychodzącymi, rozpytującymi, strwożonymi, rady sobie dać nie możemy.

— Dajcie-bo im się trwożyć kiedy chcą—zamru-  
czał król—nie uspokajajcie zbytecznie.

Wśród tej rozmowy, głos chłopięcy jasny i weso-  
ły dał się słyszeć za drzwiami od pokojów królew-  
icza. Otworzyły się podwoje i mały Zygmunt Kazi-  
mierz, w kołpaczku z czaplem piórem, po polsku  
ubrany, przy szabelce dobytej z pochew, wpadł przed  
łóżko ojcowskie i stanął śmiejąc się, jakby w goto-  
wości do boju.

— N! Panie—zawołał chłopak — mówią, że idzie-  
my na wojnę. Ja też chcę na wojnę. Krzywousty  
był także młodziuchny, a ojciec mu pozwolił... ty  
mnie weźmiesz z sobą.

— Ale wojny niema jeszcze!—odparł król.

— Niema? ale wszyscy wiedzą, że ona będzie —  
ciągnął dalej Zygmunt.—Naprzód, jeżeli szlachta się  
sprzeciwi ojcu, pobijemy z Rejnerem szlachtę, rozpe-  
dzim ją; panowie senatorowie puciekają, a my  
z Niemcami, Włochami i z naszymi pułkami wycią-  
gniemy w pole.

Mamy kozaków też...

Król i śmiał się i ramionami rzucał.

— Któż ci to wszystko plecie?—zapytał.

— Kto?—paplał młody tupiąc nóżką — wszyscy,  
wszyscy. Wiadomo, że będzie wojna, a naprzód sejm  
trzeba...

Władysław nie dał mu dokończyć. Wysoki, cien-  
ki, w niemieckim stroju pedagog, który wszedł za  
królewiczem, stał za nim napróżno usiłując go nakło-  
nić do milczenia. Król po niemiecku zwrócił się do  
niego z wymówkami, że dziecku pozwala słuchać  
i powtarzać baśnie.

Tak się ten dzień zakończył, ale nazajutrz niepo-  
kój zamiast się uśmierzyć, zdawał rosnać.

Od godziny dziewiątej już zamek oblegały koleb-  
ki senatorów.

Jeden z pierwszych przybył powracający z podróży ks. Albrecht Radziwiłł, którego król szanował, ale się obawiał, bo go sobie niczem zjednać nie mógł, gdy szło o sprawę publiczną, a kanclerz miał powagę taką, że na drugich wpływ przeważny wywierał.

Choć gość ten ranny niebardzo był miły może Władysławowi, przyjąć go musiał twarzą jasną i uprzejmą.

Unikając rozmowy *de publicis*, król naprzód wyraził kondolencją dla Radziwiłła, z powodu śmierci żony jego starościny międzyrzeckiej Czarnkowskiej; spytał potem o sprawę, jaką miał kanclerz o grunta na Łukiszkach w Wilnie, o Pińsk, zkąd powracał.

Wszystko to widocznie było skierowane dla odwrócenia rozmowy od sejmu i wojny.

Radziwiłł krótko podziękowawszy za troskliwość N. Panu, sam już zagaił o sejmie. Umysły, jak mówił, były poruszone wielce wieściami wojennymi.

Dotąd, znając usposobienie kanclerza, po kilku nadaremnych próbach nawracania go, Władysław zapierał się, ażeby chciał wojnę wywołać. Twierdził, że tylko ku obronie się uzbrajał. Zmiarkował wszakże, iż dłużej uwodzić go tem nie było podobna.

— Wojna—podchwycił cicho—wojna, mój książę, wierz mi, jest ze wszechmiar nam potrzebną. Nie mówiąc o tem, iż nam sławę przynieść może, a nawet ziemie nowe, dla szlachty już zbyt zgnuśnialej i w próżnowaniu rosnącej w butę, jest jedynym środkiem do odrodzenia. Starego polskiego ducha rycerskiego podnieść potrzeba.

Radziwiłł słuchał.

— Nie przeczę temu N. Panie, wojna ma swą dobrą stronę, ale i groźną. Człowiek w niej mądrzeje ale dziczeje razem.

— Przypomnijcie za Batorego — dodał król — jak pod koniec panowania uspakajały się umysły, jak narady sejmowe zyskały, pozwalano na pobory...

Kancelarz zaprzeczył ruchem dobitnym.

— Pewna to rzecz — rzekł — że król Stefan nie od trucizny zmarł, jak bałamutnie twierdzono, ale zniechęcony przez krzykaczów.

— Wojna im usta zamyka — odparł król.

Radziwiłł nie odpowiedział już na to i widocznie chciał inny dać zwrot rozmowie.

— N. Panie — odezwał się — potrzebaby uspokoić ludzi potrwożonych puszczonei pogłoskami. W mieście trwoga okrutna. Szlachta, która się zjeżdża, przejmuje się nią.

— O cóż się trwożą? — spytał król jakby nie wiedział.

— Pułki nowozaciężne w Warszawie, pod Warszawą — mówił Radziwiłł — dają do myślenia. Należałoby je oddalić a nie ściągać teraz, bo nikt nie wybije z głowy ludziom niedaleko widzącym, że one tu jako pogróżka dla sejmu są powołane. Nigdy w świecie takiej myśli nie śmiałbym przypuścić, ale dla prostych ludzi jest pewien pozór...

Spojrzał na króla, który ustami wykrzywionemi i całą twarzą okazywał zniecierpliwienie.

— Te pułki stanowią dla mnie — rzekł — mogą powiedzieć, jedyną rozrywkę. Obchodzą mnie, są mojem dziełem. Jestto siła nowa, którą ja daję rzeczypospolitej. Możnaż wymagać, abym ja je rozpraszał?

A potem? co? — dodał żywo — gdy je porozysłam i pójdą na zimowe leże, narzekanie na swawolę, na gwałty. Ja chcę je mieć pod ręką i na oczach.

— Ale czasu sejmu? — wtrącił kancelarz.

— One nie mają żadnego z nim związku — rzekł król zimno.

— Ludzie jednak...

Władysław ręką poruszył lekceważąco.

Spytał kancelarza potem o usposobienie większości senatorów, o ile się ona wyrozumieć dawała.

— To tylko wiem — odezwał się Radziwiłł — że jeszcze ani jednego z senatorów nie spotkał, któryby za wojnę głosował i nie był jej, jak ja, przeciwnym.

Przyjął to król z uśmiechem.

— Łatwo to pojąć — rzekł — wszyscy wiedzą, że książę jesteś przeciwnym jej, i dlatego mu się akomodują.

Radziwiłł kilka słów chłodnych dodawszy, usunął się. Pac stał we drzwiach.

— Dajcie mi spocząć trochę — odezwał się Władysław. — Radny miejski Bielecki, który jest szafarzem razem, musi być na zamku, każ go przywołać do mnie.

Zwykle król, gdy od miasta i rady potrzebował czegoś, Bieleckiego za pośrednika używał, nieurzędowo, ale poufnie. P. Łukasz miał ten rozum, że się łaską króla nie przechwalał, czynił się mało znaczącym i pokornym, ale wiedzieli sąsiedzi, jak on na dworze siedział i ichność panowie Strubiczowie, Baryczkowie, Giźce, Drewnowie, najpoważniejsze stare mieszczaństwo, gdy miało krok jaki stanowczy uczynić, nie pogardało Bieleckim.

W mgnieniu oka przystawił się szafarz i pokornie stanął w progu, skłoniwszy się aż do ziemi, tak, że ręką podłogi dotknął. Pokora ta szła mu też na rachunek.

— Słuchaj Bielecki — odezwał się król rzuciwszy okiem w koło, iż nikogo oprócz niego nie było — idź na ratusz. W mieście panuje niepokój jakiś, wybij im z głowy, aby mieszczanom grozić co mogło. Sprawy z nimi nie mam żadnej, a bezpieczeństwo miasta, handlu, leży mi na sercu.

— Z powodu sejmu — począł cichym bardzo głosem Bielecki.

— A cóż ma wspólnego miasto z sejmem — odparł król. — Gdybym ja nawet sprawę miał jaką z panami senatorzy i posłami, mieszczanom się przez to nic nie stanie.

Bielecki zamruczał.

— Pułki cudzoziemskie...

— One miastu rychlej korzyść niż szkodę przyniosą—przerwał Władysław — pod moim bokiem, na oku nie obawiacie się ich przecież?

Zmleczął szafarz.

— Idźże na ratusz do radnych — dodał król — czy i oni...

— N. Panie—począł Bielecki—święta prawda, że i w mieście i po przedmieściach taki popłoch, jakby tatarowie najść mieli; krążą pogłoski o krwawym konflikcie, który się gotuje. Kupcy perscy przybywszy, dotąd towarów wykładać nie śmieją; włosi też.

Szlachta z sobą ze wsi przywozi wiadomości, iż cudzoziemskie pułki dostały rozkazy na Warszawę, na sejm... Jak się to u nas rozeszło, można łatwo zmiarkować, co z tego w mieście naszym urosło. Tutaj z lada ziarenka jak pocznie pęcznieć...

— Będiesz wiedział jak mówić—dokończył król dając mu znak, ażeby odszedł.

Sklonił się Bielecki.

Wprost z pokojów od króla, zleciwszy swój urząd szafarski pomocnikowi, czapkę wzięwszy tylko, wyszedł z zamku. A tuż we wrotach mu się nastęrczył Płaza.

— Czołem, czołem.

— A dokąd?—zapytał stając Bielecki.

— Włóczę się — rzekł Lasota — może mi się uda dziecko gdzie najrzeć.

— Nie o tej godzinie—rzekł Bielecki—Zrana królowa się ubiera, ludzie do niej przychodzą, służba być musi na miejscu. W. mość naszego ratusza nie widziałeś tylko zdaleka? ja tam właśnie idę, chcesz zemną? Pokażę ci go wewnątrz; jest się czemu przypatrzyć, chędogi mamy dom i nie powstydzim się go przed nikim.

Zawrócił się Płaza.

— Chodźmy—rzekł.

Mówiliśmy już, jak ratusz Starego miasta zewnątrz wyglądał. Nie dodawały mu wdzięku właśnie

o tej dnia godzinie najbardziej ożywione, dokoła otaczające budki i stragany przekupek, pośród których wiele było kuchni dla prostego ludu, z których gorącą strawę na miskach rozdawano, a tu się siekierników, pilarzy i robotnika wszelakiego mnóstwo cisnęło. Wążka jakby uliczka między budkami doprowadziła ich do wielkiego wnijscia, u którego straż z halabardami stała, więcej dla parady niż z potrzeby.

Ztąd wchód był do sieni, w której też drabanci miejscy straż sprawiali. Ztąd na dół do fundum było wnijscie, gdzie więźniów trzymano, a wschody dosyć okazałe proważyły na górę.

W sieniach też znajdowała się kuna żelazna w słupie przy drzwiach, szczególnie przeznaczona dla swawolnych dziewcząt, które po wystawieniu sromotnem, wyświecano potem przez z miasta.

Ściany w górę malowane ozdobnie, okrywały herby na tarczach trzymany przez aniołów. Dodawszy bardzo kunsztowną żelazną kratę nową, która się przedzielała na dwie części, a była w istocie mistrzowsko wykonaną i mieściła wśród floresów herb miasta, wyżej zaś na marmurowej tablicy złocisty napis, świadczący o powstaniu budowy, nic tu już więcej do widzenia nie było.

W połowie, której strzegli brabanci, natłok był znaczny ludzi cisnących się i dopraszających, jedni na górę do rady i sądu, drudzy do więzień, w których mieli swich.

Spotkali tu właśnie jednego z najznacniejszych panów rady, Kedrowskiego, który na górę dążył, razem więc z nim naprzód weszli do izby sądowej.

Sala ta wcale wyglądała poważnie i ozdobnie. Pałace przyozdobione malowidłami i rzeźbami, nie dozwoliły mieszczanom też obejść się bez nich. Na ścianach wisiały stare i ciemne, ale w nowych ramach, wizerunki książąt mazowieckich, na jednej z nich znacznych rozmiarów i dobrego pędzla — sąd Salomona.



Nade drzwiami stała *Justicia*, z zawiązanemi oczyma, z szalą i mieczem w rękach. Wkoło herby panów burmistrzów szeregiem malowane stały. Pomiedzy nimi były fantastyczne bardzo, ale i szlacheckich starych kilka się znajdowało. Jak do nich doszli panowie rady, im było wiedzieć. Nikt ich o używanie nie pozywał.

W sali tej w istocie wszystko było tak ozdobnie urządzone, iż miło ją było oglądać. Począwszy od pieca z kaffi malowanych bardzo kształtnego, aż do ław i krzeseł ławników i pisarza, sprzęt był z widoczną pieczołowitością dobrany, aby się tu nie powstydzilo miasto, choćby senatora.

Najlepsi rękodzielnicy wykonali do ratusza meistersüki.

Żelazne ozdobne drzwi, wprost z izby sądowej prowadziły do skarbcza. Stały one nateraz otworem.

Burmistrz Gisz swoim kosztem przystroił skarbiec, w którym w skrzyniach spoczywały nietylko klejnoty i pieniądze miejskie, ale najdroższe starożytne przywileje. U góry, ponad skrzyniami ogromnemi szeregiem jakby na straży wizerunki królów, poczynając od Lecha, były pozawieszane. Ostatni Władysław IV, bardzo pięknego pędzla, w koronacyjnym stroju, z berłem i jabłkiem, przechodził i rozmiarami i malowaniem wszystkich swych poprzedników.

Inne izby ratuszowe, których było dosyć, nie miały już w sobie nic tak ciekawego do widzenia. Siedziało w nich za stolami skryptorów dosyć, radzili czynni tego dnia urzędnicy, a natłok mieszczan był wszędzie ogromny.

— Coś tu a waszmościów i gwarno bardzo i tłumno — rzekł Płaza do Bieleckiego — zawsze-li tak?

— Pusto nigdy nie jest — odparł pan Łukasz — dziś, wczora, od dni kilku, w istocie, ruch nadzwyczajny. Niema się co dziwować, naprzód sejmowy

czas, zawsze kupców się zjeżdża obcych wielu, a nigdy może jak teraz właśnie nie było takiej trwogi.

— Trwogi? o co?—pytał Plaza.

Bielecki ramionami ruszył.

— Poszła taka pogadanka głupia—rzekł — że jej już teraz utrzymać niemożna. Z plotką to tak jak z kamykiem co się z góry toczy. Zrazu pomalutku, sam jeden, dalej coraz żywiej, prędzej i za sobą ciągnie co na drodze napotka.

Wtem podszedł ku nim Kedrowski, rękę za pas założywszy.

— Panie Łukaszu—spytał—wy na zamku codzień, powiedzcież co tam się święci. Prawda-li to, że między królem a senatorami scysya wielka, i że N. Pan gotów jest *armata manu* przywozić do posłuchu i do spełnienia swej woli? Uchowaj Boże konfliktu, nie bez tego, aby miastu się nie dostało.

Strach panuje taki, że my go nie możemy uśmierzyć, a rośnie jak na drożdżach! Cóż wy na to?

Bielecki potarł czuba.

— Na zamku, co prawda, dosyć wojenno wygląda, ależ do żadnego konfliktu przyjść nie mogło, bo się sejm nie poczynął i niewiadomo co on powie.

— Jakto, niewiadomo?—podchwycił Kedrowski — rzecz to powszechnie znana, że senatorowie wszyscy, ilu ich jest, *contra bellum*, a szlachta o niej ani chce słuchać. Więc jeżeli król się upierać będzie przy swej imprezie. Cóż król?—zapytał w końcu.

— Król krzyczy w nocy na podagrę—rzekł śmiejąc się Bielecki—a we dnieby na konia siadł, gdyby mu tylko na turka zagrano; ale kumie mój—dodał — sprawa ta między panami szlachtą a królem JMością, my stoimy na boku i mięszać się, ani do niej wmięszani być nie możemy.

— Mylisz się, panie Łukaszu—zawołał głową potrząsając poważny Kedrowski.—Dowiedziona to rzecz, że gdy do zatargu przyjdzie pomiędzy tronem a narodem, miasta cierpią na tem. Inaczej nie może być.

Naprzód się to da uczuć stolicy, zobaczycie. Już mówią, że pułki obce, zaciężne nowo, król sprowadza; spadną one na nas.

Potańcował radca, a tuż nadechodził drugi, okrągły i rumiany, wesołego oblicza, strojny wykwintnie Strubiec.

— Strach jaka panika w mieście—zawołał śmiejąc się—ja tam w to co po ulicach się nosi wiary nie daję, ale i to pewna, że ludzie nigdy tak z palca sobie nie wyssają czegoś.

Trwoga przesadzona, a ostrożność potrzebna. Kupcy perscy żądają od nas ubezpieczenia. Pamiętają pono jeszcze, że tu ich za nieboszczyka króla, czasu tego nieszczęsnego pożaru, pod rokosz, ograbiono.

— Dzięki Bogu rokoszu niema! — rzekł Kedrowski.

— Ba, gorzej niż rokosz zapowiadają — mówił Strubiec po twarzach swych słuchaczów się rozglądając. — Na króla rzucają kalumnię, że chce *absolutum dominium* temi zaciągami wywojować. A to pewna, że pułki na Warszawę ciągną zewsząd.

Bielecki milczał.

— Próżne to strachy—odezwał się, widząc, że na jego zdanie wszyscy czekają. — Pewna rzecz, że król wojny chce, że senatorowie są jej przeciwni, lecz żeby pułki miały na nich być użyte...

Rozśmiał się Bielecki.

— Tego u nas nie bywało—dodał—widywaliśmy naród porywający się na królów, ale króla przeciw narodowi?

Wszyscy milczeli.

— U nas bo dotąd, aż do Batorego czasów — rzekł Kedrowski — zaciągów cudzoziemskich nie było. Począł je dopiero ten król czynić, a zaraz się obawiano zamachu na swobody; odtąd zaciągi rosły, a bodaj ich nigdy nie było jak dziś... hm! ztąd te głosy.

— Niechby pletli co chcą—odezwał się Strubiec—

ale nam to nasze życie miejskie spokojne, handle, rzemiosła psowa. Patrzajcie dziś po ulicach. Biegają jak oparzeni, czeladź od warsztatów pouchodziła, jedni za miasto patrzeć co się dzieje na placu ks. biskupa, drudzy już wyglądają pułków, które mają nadchodzić. Kupecy co mieli przybyć na sejm, w drodze słyszę postawali, jedni w Jarosławiu, drudzy w Lublinie, a my przyplacimy.

— Ale na to rady niema—rzekł Bielecki.—Choćbyśmy starszyzna, panowie radni pacyfikować chcieli, nie uwierzą.

Frasobliwie poczęli się oglądać wkoło, a Bielecki pomyślawszy zamknął.

— Z tego wszystkiego, zobaczycie, nie będzie nic. Z wielkiej chmury mały deszcz. Król może radby nastraszyć, zato nie ręczę, ale że na sejm się nie porwie...

Potrząsnął głową.

— Cóż królowa? ona przecie też coś znaczy? — zapytał Kedrowski.

Nikt na to zagadnienie długo nie odpowiadał, wreszcie Bielecki, jako dworak, musiał się odezwać.

— Pewna rzecz, iż królowej wpływu lekceważyć nie należy, ale on dopiero się poczyną, zatem niewiele się teraz da czuć. Worek w jej rękach... ona teraz podskarbigim. Gdyby nie jej talary, pułkówby tyle nie stanęło.

— Więc i ona wojny chce?—spytał Strubiec.

— Jako żywo—podchwycił Bielecki—ona jej nie chce, a pomimo to pieniędzy dać musiała, boby inaczej nie miała ani głosu ani powagi.

Raz dawszy, musiała potem dolożyć, a no, na tem koniec. Nie wystąpi ona, bo nie ma prawa, ani mocy, ale nie pomoże też.

Na tem skończyły się rozmowy, a Plaza odszedł pierwszy z ratusza.

Zajęty dotąd własnymi sprawami, niewiele zwracał uwagi na to, co się działo w mieście, teraz go do-

piero uderzyło zmienione oblicze jego. Ludzie biegali, gromadzili się kupkami, rozprawiali, z jednego miejsca na drugie, jakby ich fala niosła, rzucali się; widać było niepokój na twarzach. W sklepach nie widać było kupujących i targu, nawet rzemieślnicy i handlarze wychodzili z mieszkań aż do pół ulic, goniąc za pogłoskami.

Okolo zamku, gdzie właśnie przed okna królewskie zaciągał cudzoziemski pułk, świeżo w barwę przybrany, jak z igły z chorągwią nową, na której snopki Wazów i szwedzkie korony odmalowane były, lud jakoś z pewną obawą i wahaniem się gromadził. Wojsko to tak miało pozór obcy, a barwę krojem niemieckim, iż w nim polskiego niepodobna było nie upatrzeć. Kolumna przeciągnęła ze swą muzyką przed oknami zamkowemi, potem weszła we wrota.

Mówiono, że sam król, choć stary, o kiju miał wyjść ją oglądać.

Wkrótce po tej piechocie zjawiała się jazda, wprowadzie w liczbę niewielkiej, lecz także nie po polsku ubrana i zbrojna. Wszystko to zamck gdzieś pochłonał, czy też drugimi może wrotami wypływało.

Ledwie się to stało, a kolebki senatorów poczęły obiegać wrota zamkowe znowu, gdy małą kolaską, parą koni grubych zaprzężoną, niską, wyjechał z zamku król.

Dokąd? Wkrótce potem wiadano, że do cekhauzu wprost podążył, a gdy pp. senatorowie domagali się posłuchania, tymczasem w krześle się rozkazawszy nosić, opatrywał swe zapasy uzbrojenia.

Cekhauz ten był dziełem Władysława IV, a przynajmniej on go doprowadził do tego stanu w jakim się dziś znajdował. Przypierał on do wałów miejskich i obwarowany niemal jak mała twierdza wyglądał.

Jedna olbrzymia sala, sparta na słupach potężnych, starczyła na pomieszczenie dział razem i ręcznej broni, kul, ołowiu i wszelkich przyborów wojennych.

Wszystko czego ówczesna sztuka wojenna wymagała, jeśli nie wżyt znacznej ilości, to aż do najwykwintniejszych sztuk na okaz mieściło się w cekhauzie. Działa burzące ogromne, olbrzymie moździerze, organki, łańcuchy do spinania wozów, całe stosy muszkietów, całe gromady petard, granatów, kul, zalegały pod ścianami.

Paweł Grodzicki, który miał w zawiadywaniu arsenał, czekał tu już ze służbą na króla, który miał jakieś muszkiety nowe oglądać.

Jakoż raz wniesiony do sali, zdawało się, że o wszystkim zapomniął, i dwór, który za nim nadciągnął, pozostawszy w ulicy mógł się pospać, oczekując na powrót, gdyby i tu zaraz za królem tłum się nie nacisnął. Mieszczanie wyciągali wnioski.

— Patrzącież—mówił jeden—sejm się zbiera, senatorowie jadą z pokłonami na zamek, a król gdzie? w cekhauzie. Łatwo zrozumieć co to znaczy, jakby drukowane stało.

Wy sobie radźcie nie radźcie jako chcecie o spokoju, a ja do wojny się będę gotował!

Potakiwano głowami i uśmiechano się.

W czasie pobytu w cekhauzie król posyłał razy kilka po wojskowych, kazał przywolywać Rejnera. Sprowadzono żołnierzy, aby próbować wagi i miary muszkietów. Czynność była nieustanna.

W parę godzin dopiero ukazał się Władysław w progu i siadł nazad do swej niskiej kolebki, która się do zamku potoczyła.

W ciągu rana tego w istocie, ktokolwiek z panów przybył na zamek, służba mu odpowiedziała.

— Król cekhausz opatruje!

Z wesołą twarzą powrócił wreszcie.

---



## VII.

Całe jedno skrzydło zamku, które niegdyś, przed wyjazdem do Włoch i Rzymu, zajmował Jan Kazimierz, od niejakiego czasu stało jakby niezamieszkałe, jakby, bo w istocie kręciła się tam jakaś resztką służby w cudzoziemskich strojach, mówiąca językiem obcym i wydzielająca się, jak coś niemogącego połączyć z żywiołami polskimi i francuzkiemi. Mieszkanie obszerne, pańsko bardzo urządzone, od miesięcy kilku było niezajęte. Już to samo, że je królewicz Jan Kazimierz zamieszkiwał, mogło dać o niem wyobrażenie. Nie rozporządzano temi pokojami, oczekując widocznie na powrót tajemniczego mieszkańca, ale nikomu za nim tęskno nie było, nikt się tu nie dowiadywał.

Reszta służby, która się tu kryła raczej niż zamieszkiwała, przychodziła w milczeniu po przeznaczone jej pożywienie, światło, opał, i zamknąwszy się na rygle, gospodarzyła w tym kącie. Nikt na nią nie zważał, nikomu się nie zdawała potrzebną.

Przed samym sejmem dnia jednego, królowi przyniesiono jakieś listy, zawołał Paca, którego do wszelkich czynności tajemnych używał, poszeptał coś z nim; młody dworak poszedł zaraz zastukać do zamkniętych drzwi Kazimierzowskich pokoi, zapukał, zaszwargotał coś i w cichych dotąd tych komnatach nagle się poruszać zaczęło. Pootwierano okna, pozapalano ognie w piecach, ludzie nosili wodę, myli, trzepali. Spodziewano się pana, wszyscy w zamku to zrozumieli. Prózniacza gawiedź przechodząc stawała i mówiła.

— Graf Magnus powraca.

Kto był ten graf Magnus? nie wiedział nikt dobrze, ale to pewna, że jak Kazanowski miał całą mi-

łość serca wystygłego już króla, tak graf Magnus miał całe jego zaufanie w sprawach zagranicznych. Ossoliński szedł dopiero po nim. Ale graf Magnus był szwedem czy Niemcem, zwano go różnie, więc w Rzeczypospolitej, w radzie, w senacie, w kancelaryi nie mógł żadnego mieć stanowiska—z grafem Magnussem, jak niegdy z panną Amandą, musiał się król tać.

Magnus był tu, mieszkał, ale można było powiedzieć, że go nie było. Nie pokazywał się publicznie przy królu nigdy, nie żył z nikim.

I nie na wieleby mu się przydały stosunki w Polsce, bo tu nigdy długo nie siedział. Załedwie powrócił z Wiednia lub Pragi, wyprawiano go do Ratysbony lub do Hollandyi, do Szwecyi, do Rzymu, nie wiadomo dokąd.

Był to wędrowny wiecznie poseł J. Król. Mości. Mało osób znało go z widzenia, bo się nie pokazywał rad, znał to bardzo dobrze, że obudzał niezmierną zazdrość i nienawiść.

Od czasu jak graf Magnus wśliznął się w łaski królewskie i zaufanie, z wyjątkiem Ossolińskiego, nikt nigdzie do poselstwa nie był użyty. Uroczyste ambasady, jak po królowę, sprawiali, wedle prawa, polacy; ciche i sekretne konszachty gdy szło o frymarki, o sojusze, o układy z cesarstwem, Niemcami, Francją, powierzał król Magnusowi.

Wpływ jego na politykę królewską musiał być wielki. Przypisywano mu teraz tę wojenną imprezę, od krórej król na żaden sposób odstąpić nie chciał.

Na barki tego niewidocznego, niepochwyczonego „cudzoziemca“ składano wszystką winę króla. On to uczynił, jego rada tkwiła w tych planach, w których widoczna była nieznajomość warunków bytu Rzeczypospolitej, paktów konwentów, małżeńskiego kontraktu między królem a narodem.

Wśród tych co króla otaczali, żywa dusza nie była przyjaźną grafowi Magnusowi. Grzeczni dlań okazywali się Kazanowscy, politykował Ossoliński, ale

i ci nawet widzieli w nim zarozumiałego pyszałka, i poruszali ramionami, gdy z sobą o nim mówili. Tymczasem król, w rozum, w przebiegłość, w zręczność, w trafność rachub jego politycznych miał nieograniczoną wiarę.

Gdy pod wieczór ten, długi, chudy, czarno zawsze ubrany, z krezą na szyi, milczący, cicho jak cień się przesuwający po korytarzach zamkowych *c u d z o - z i e m i e c* wsunął się do pokojów króla, które naówczas dla najpoufalszych nawet osób były zamknięte; gdy w nich parę godzin spędził na szepciach, przewracaniu papierów i rozmowie z królem, nazajutrz jakaś nowa myśl, krok, decyzja wychodziła na światło dzienne. Król ją objawiał Kazanowskiemu, potem Ossolińskiemu i stawała się ona myślą królewską własną, do której przywiązywał się Władysław z zaciętością, z uporem, jakich w niczem nie miał zrezygnować. A Magnus po kilku dniach zniknął z horyzontu i nie było o nim słyhać, aż znowu okna jego mieszkanka zaświeciły wieczorem, i dowiadywano się, że Magnus powrócił. Te okna wieczorem, a we dnie czasem otwierające się i zamykające drzwi Kazimierzowskich pokoiów, były jedynymi znakami bytności grafa Magnusa.

Ten stosunek z królem tak poufały, a tak odcięty od innych, niepokoił, budził zazdrość i niechęć; próbowano się go pozbyć, zrazić króla do niego, zastąpić go kimś... wszystko się to rozbiło o kamienny, bierny opór króla.

Od dworu pogłoski o tym wpływie, o misyach za granicę, o radach Magnusowych, jak przed wieki rady Kallimachowe podejrzanych, rozechodziły się na miasto, po kraju.

Już i tak król nosił się po europejsku, lubował w macierzyńskiej niemczyźnie, otaczał cudzoziemcami, a tu niby pierwszym ministrem i doradcą był jakiś obcy człek, którego kraj ten i jego losy wcale nie obchodziły.

Jemu przypisywano całe króla postępowanie, on zaciągi cudzoziemskie ułatwiał, on z Wenecją sojusze zawierał, on doradzał pieczęcie urzędowe, których kanclerze przykładają nie chcieli, zastępować prywatną króla.

W całym w istocie postępowaniu Władysława czuć było nieznamość albo pogardę praw rzeczypospolitej.

Sejm się zbliżał, potrzeba było uzbroić się przeciwko niemu—król w części miał już dane skazówki i szedł za niemi, lecz Magnus był mu potrzebnym, a Magnusa nie było. Naostatek oznajmiono o nim. Władysław się uradował, bo już, już miano zagaić, a o usposobieniach senatorów chodziły najsmutniejsze wieści.

Rzucony popłoch, zamiast pomódz, zdawał się raczej rodzić zamieszanie. Magnus w ciągu tygodni sejmowych był codziennie potrzebnym, on miał być wojownicą, bez niego kroku stąpić nie mógłby Władysław.

Z jak promienistą twarzą powitał go król! Sprawozdanie z podróży na dwór cesarza mógł Magnus odłożyć, owoc jej, listy przywoził, lecz co tu było począć z upartym sejmem, który miał się domagać wyrzeczenia się idei wojny, rozpuszczenia nieznosnie ciężących wojsk cudzoziemskich, unieważnienia pieczęci prywatnych, usunięcia z rady ludzi „o b e y c h“ (szło o Magnusa głównie).

Błada, pargaminowa twarz dyplomaty, gdy król mówił pośpiesznie, pozostała nieporuszona, jak gdyby w tem wszystkiem dla Magnusa nic a nic nowego nie było.

Wysłuchawszy opowieści króla, który ku niemu oczy podnosił, graf rozpoczął cicho, sucho, zimno swą lekcję.

— N. Panie—rzekł naprzód lakonicznie — sztuka rządzenia jest w większej części sztuką uwodzenia ludzi.

Gdzie nie można pójść przebojem, trzeba szukać ścieżyn zakrytych.

Naprzód wszystko im należy przyrzec czego tylko żądać będą. Każde takie najuroczystsze przyrzeczenie z natury swej jest ograniczone możliwością. Weźmy na przykład owo rozpuszczenie zaciągów, przecież się to w jednym dniu, jednym słowem dokonać nie może. Trzeba czasu, a zyskując czas, mamy wszystko.

Zobowiązać się można śmiało do czego tylko zechcą. Tak czynił wiekopomnej pamięci rodzic W. Król. Mości.

Gdy przyjdzie do rozpraw niemiłych w senacie, jest na to sposób... jedne się będą paraliżować drugimi. Jest na przykład sprawa o Trubczesk odstąpiony Moskwie, która będzie roznamiętniać.

Ile razy poczną o wojsku, nasadźmy kogoś co Trubczesk nastreczy.

W chwili rozdrażnienia umysłów naostatek, masz W. Król. Mość swoją podagrę. Dla podagry muszą czekać i ostygnać. Podziała się na nich...

Jest to według mnie ogólny plan sejmu.

W obozie przeciwnym potrzeba mieć swoich ludzi, którzyby niezręcznie występowali. Naostatek zwłoka, znużenie... czas...

— A potem?

— N. Panie—rzekł Magnus z westchnieniem—polityka ma to do siebie, że jest rzeczą bardzo prostą i wiecznie jedną. Pułki W. Król. Mość będziesz rozpuszczać tak, że się tylko z miejsca na miejsce przenoszą, a wybije-li godzina wojny wielkiej z pogany, kozaków rzucisz, aby niedźwiedzia wyciągnęły z barłogu. Kozaków masz miłość wasza zapewnionych?

— Tak sędzę — odparł król — i będę się starał o to. Jest to wprawdzie niesworny tłum, ale bitny i daleko liczniejszy niż rejestra pokazują, bo tam co chłop, to kozak.

— Niema się więc co sejmu obawiać—dodał Ma-

gnus — będzie to wprowadzie nader nużąca kilkutygodniowa gra, ale się skończy zwycięstwem stron obu. Senatorowie odjadą pewni, że zwiążali ręce W. Król. Mości, a wy pewni być możecie, żeście im na czas jakiś zawiązali usta. Odnowi się to? Ten sam sposób, na tę samą chorobę.

Król smutnie począł.

— Uwierzysz-li też, że ja, z małym wyjątkiem, no, nawet Ossolińskiego jawnie za sobą nie mam... nawet jego. On jak inni kanclerze odmówili mi pieczęci, on jak inni senatorowie będzie mówił przeciwko wojnie. Ani jednego za nią głosu.

— N. Panie — odparł Magnus — wojna wymaga ofiary nie tylko żywota, ale mienia. Szlachta będzie musiała na koń sięść, a oprócz tego pobór uchwalić. Cóż za dziw, że z dobrej woli bez przymusu tego nie uczyni. *Compelle eos* napisać sobie potrzeba. Gdy nawala turecka zagrozi, wstać muszą wszyscy.

Król dumął.

— Wiem—rzekł—że tu się i przeciwko wam gotują ci co czują, że wy mi wiernie służycie po mej myśli, ale imienia waszego nie będzie nikt śmiały wyrzec!

— Chociażby—odparł Magnus obojętnie.

Tak w ogólnych zarysach plan już przyszedłgo sejmowi został nakreślony... król innego się spodziewał. Jawnego zwycięstwa odnieść nie mógł, musiał się zaspokoić połowicznym i tajemnym.

— Na tem wszystkiem moim kłopotom niedosyć—odezwał się w końcu. — Wiecie o tem, ex-mnich, ex-kardynał, ex... nie wiem wielu poczętych zawodów zniechęcony bohater, brat mój Kazimierz powraca stanowczo. Sprzykrzył mu się Rzym, nie chce kardynałskiego kapelusza, przebrał się już po cywilnemu.

Gdy nagle z tem postanowieniem obrania sobie duchownego stanu wyjechał i napisał do mnie, że się wyrzeka wszystkiego, wyposażenia swego, kraju, którego nie cierpi i stosunków z nim, pisałem, aby roz-



ważył dojrzałe, nie śpieszył się z ostatecznymi rozporządzeniami. Odpowiedział mi niecierpliwie, gwałtownie, stanowczo.

Rozdane są wszystkie jego nadania, teraz je chce odbierać nanowo i spada na mnie całym ciężarem swoich dziwactw, którym nie będzie końca, swoich miłostek, które z pałaców jednego dnia przeskakują do kuchni.

Król ręce załamał.

— Zmienny ten charakter księcia Jana Kazimierza — rzekł Magnus — jest do pewnego stopnia razem lekarstwem i pociechą. Nie wytrwa w kraju, jak nie mógł wyżyć w Rzymie.

— Gdyby był takim cichym, spokojnym i gospodarnym jak Karol — rzekł król — ale wcale są do siebie niepodobni. Na dworze będę miał głuchą walkę ciągłą... królowa ze swym francymerem! — Nie kończąc się król uśmiechnął.

— Powraca wkrótce? — zapytał Magnus, myśląc może o tem, że zajmował jego mieszkanie.

— Spodziewam się go w końcu roku — odparł król — a przyspieszać powrotu nie będę. Srogi to znowu ciężar na moje znużone ramiona.

Po tej rozmowie poufnej, długiej, Magnus jak przyszedł wysliznął się po cichu, i nazajutrz wielu nie wiedziało, że powrócił. Siedział zamknięty nad papierami, we dnie się nie pokazywał prawie; kilku tylko cudzoziemców ze służby króla przystęp do niego mieli.

Gdy się tak sejm z jednej strony przygotowywał przez króla, królowa Marya Ludwika niemniej była czynną.

Wiedzieli to wszyscy, że Władysław IV chociaż wiekiem jeszcze niezłamany, chorobą był zagrożony i życia mu długiego nie obiecywano. Pielęgnować się nie umiał. Gdy cierpiał, krzyczał na cały zamek, a nazajutrz, po odejściu bólów, kazał się wieźć na

łowy, wsadzać na konia, i męczył dobrowolnie, nie miarkując ani w jedzeniu, ni w picciu.

Po przesileniach takich, że zdawało się grozić już śmiercią, następowały folgi; ale wszystko to jednak długiego życia nie obiecywało. Królowa potrzebowała, wszystko co miała poświęciwszy dla rzeczypospolitej, zapewnienia sobie oprawy, dochodów, dla utrzymania stosownie do swego dostojęństwa. Należało nieodmienne conajprędzej ubezpieczyć ją. Król się na to zgadzał, żądał nawet tego, nikt zresztą przeciwnym nie był, ale szlachta, posłowie, a nawet część senatu mówili zawczasu: nie damy królowej nic, póki król wojsk nie rozpuści, które na nasze swobody czyhają.

Na dzień naznaczony zjazd już był dosyć liczny, ale wielu brakło jeszcze.

Pierwsze posiedzenia szły wedle regulaminu i obyczaju swym porządkiem, spokojnie. Stary arcybiskup Łubieński był doskonałym sprawozdawcą, bo głos miał tak cichy, a mówił tak niewyraźnie, iż nikt go nie słyszał.

Później więc, gdy kto był w kłopotcie z objawieniem zdania, odwoływał się do votum arcybiskupa, a tego votum nikt nie znał.

W każdą niedzielę odpoczywano modląc się i naradzając. Następującego poniedziałku ożywiło się nieco. Biskup chełmiński wystąpił gwałtownie i nie zmiernie rozwlekł przeciwko królowi wprost, i potracił nawet o Magnusa, zalecając cudzoziemców od rad oddalać. Rozumie się, że żołnierz nowy był też na placu. Gdy raz te lody pierwsze przebite zostały, popłynęły strumieniem grawamina, a głównie na tego żołnierza obcego, w którym kasztelan gdański widział przerażającą groźbę.

Król siedział jak na mękach.

Zadawano mu niemal otwarcie zamach na swobody rzeczypospolitej. Co się tknęło wojny, kasztelan przemyski, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki,

radzili trzymać się obronnie, ale wyzywać! nie było u przodków obyczaju, ani się na to rzeczpospolita zgodzić mogła.

Posiedzenie trwało długo i już się pewien bezład wkładać zaczął; dyrektor czyli marszałek poselski wprost zagaił o rozdanie wakansów, najdrażliwszy w świecie przedmiot, ale kanclerz mu usta zamknął, wszystkie bowiem były już rozposażone, a co do buławy mniejszej król się chciał namyśleć.

Następnego dnia próbowano regulamin wprowadzić w obradach, ale wystąpiła owa sprawa o Trubczesk, która miała służyć na odpieranie wszystkich innych, niewygodnych, i jak się zapłątano w ów Trubczesk, tak już z niego wydobyć się nie było podobna.

Król potem ze znużenia i zniecierpliwienia zachorował. Znowu krzykami się zamek miał rozlegać.

Tymczasem wrzawa o rozpuszczenie żołnierzy nie ustawała, ale zaledwie ją zagaili czernichowscy i bractawscy posłowie, przedstawiono im Trubczesk.

Zaczęto się spierać o przedmiot rozpraw.—Trubczesk naprzód!—wołali jedni.—Nie, dezyderya!—Nie, *Senatus consulta*!—Nie, podarki tatarom... Żołnierz obcy!

Powstała wrzawa i mrok zapadł, — rozeszli się wszyscy.

Następnych dni izba senatorska się powiększyła przybyciem starosty krakowskiego, biskupa żmudzkiego, wojewody mściławskiego. Posłano do króla z rozmaitemi sprawy i żądaniem posłuchania. Pruskich posłów zbyt kwaśno, bo wiedział, że się na żołnierzy skarżyć będą; innym naznaczono termin.

Dalej król w łóżku posłów przyjmował, a kanclerz mówił za niego bardzo zwięźle. Na zagajenie położył Trubczesk; po nim nastąpiło rozpuszczenie wojsk.

— Król, jeżeliby rzeczpospolita koniecznie na to nastawała, zgadza się, „choć zewsząd bać się trzeba zasadzek nieprzyjacielskich—mówił kanclerz, i doda-

wał — rozpuszczenie wojska nie może być bez szkody poddanych w powrocie onego, ani trzeba sądzić, że w tem wojsku zaciągnionem są sami cudzoziemcy, gdyż są domowi, przysięgli królowi i rzeczypospolitej.“

Podano w wątpliwość sposób w jaki należało rozpuszczać.

Odpowiedź dwuznaczna, zręczna, wcale nie zaspokoila, ale podstawiono zaraz potem sprawę o Trubczesk, aby rozdrażnienie ostygło.

I gdy tak zabawiano się w dyskusye bez żadnego wniosku, król leżał i chorował. Przyjmował kogo mu było potrzeba w łóżku. Trubczesk okazał się środkiem nadzwyczaj skutecznym do odwrócenia nieprzyjemnych napaści; a że sprawa była zawiklana, pochłaniała czas. Król tymczasem sądy sprawował w różnych głównych sprawach, i dopiero w połowie listopada zawrócono do rozpuszczenia wojsk, o którym czas miano nieco zapomnieć.

Wszystko szło dotąd wedle wybornie obmyślonego planu Magnusa.

Zdala patrząc, w tych rozprawach mogło się wiele wydawać dziełem wypadku; w ogóle jednak plan zgóry postanowiony spełniał się, jak niemożna lepiej. Doradca Magnus się uśmiechał, król czasem udawał wielce zagniewanego, posłów odprawiał trochę szorstko, a nazajutrz łagodził.

Trubczesk i kilka spraw pomniejszych przewybornie służyły do odwrócenia uwagi od wojska i obaw zamachu na swobody rzeczypospolitej. Senatorowie nastając na rozpuszczenie wojsk, przyznawali J. Król. Mości jak najlepsze chęci. Co się tyczy cudzoziemców, oszczędzając króia, radzono prywatnie mu pakta przypomnieć.

Naostatek poselstwo od króla zażądało reformacyi dla królowej, ale tymczasem tyle było jeszcze napróżno gryzionych, dotąd nierozgryzionych przedmiotów, że jej nie tknięto.

Senat się schodził z posłami, odwiedzano króla,

spisywano punkta, król wogóle godził się łagodnie na wszystko. Harmonijne te dosyć przygrywki trochę ostro przerwał surowy i otwarty głos wojewody brzesko-kujawskiego, który króla nie oszczędził w dziełach jego.

Pokornie ale stanowczo żądał wojewoda oddalenia cudzoziemców, a o żołnierzu zaciężnym wyraził się bez ogródek!

„Żołnierz ten tak się nam naprzykrzył, że słowem tego wypowiedzieć nie możemy... ich grawamina przechodzą szwedzkie i mansfeldskie. Ręka W. K. Mości na obronę Rzeczypospolitej od Boga destynowana, tak ciężko nas dotyka.

Zadają też nam boleść bluźnierstwa żołnierzy, którzy śmieją chęlcie się publicznie, że nas mają pohamować i dziwną alchymją z chłopca szlachcica, a z szlachcica chłopca zrobić obiecują“.

Kanclerz zaraz potem od króla powtórzył zapewne, że wszystkim żądaniom sejmu zadość się stanie. Czegóż było życzyć więcej?

W pierwszych dniach grudnia, gdy znowu na stół przyszła sprawa reformacyi królowej, którą niezręcznie przypomniął starosta łomżyński Radziejowski, wyrwał się Ponętowski (krew nie kłamie), że woli cierpieć żołnierza cudzoziemskiego, woli, aby się sejm zerwał, niżby miała po nim zostać ta pamiątka, iż polacy reformacją i pieniędzmi sobie okupili wyswobodzenie.

Sejm tedy już dogorywał, a naprawdę kończył się wielkim tylko słów szafunkiem, ale, *hoc erat in votis* ze strony dworu. Reformację zaś dla królowej, bądźco bądź, spodziewano się otrzymać, przemawiając do miłości własnej posłów i senatorów. Królowa miała przyjaciół, miała takich, co nad jej losem ubolewali. Odezwał się za nią Radziwiłł, i choć nie tak sownie jak nieboszczkę Cecylię, ale równie z matką króla Anną, wyposażono Maryę Ludwikę dopiero ostatniego,



wyproszonego dnia, gdy już, już sejm się miał zerwać...

Radziwiłł, który zaraz po konkluzji widział się z królem, znalazł go dosyć dobrej myśli, i pornsza-  
jąc ramionami mówił wszystkim, że wojny sobie  
nie wybił z głowy.

Władysław wogóle zręczności kanclerza Ossoliń-  
skiego, radom Magnusa, który siedział zamknięty  
i wieczorem tylko na naradę do króla przychodził,  
naostatek dobroduszości izb obu winien był, że mu  
się powiodło. Przyrzekł wszystko, ale spełnienie przy-  
rzeczeń od tylu warunków zawisło, iż mógł się z tem  
nie śpieszyć.

Losy Bietki w ciągu tych miesięcy niebardzo szczeg-  
śliwy obrót wzięły. Dowiedziawszy się o ranie Nietyk-  
szy, splakana wyprosiła u królowej, aby jej w to-  
warzystwie francuzki, panny Duret, wolno było ran-  
nego odwiedzić. Rana, zadana przez Nesterackiego,  
była głęboka i dosyć ciężka, lecz niegrożąca życiu,  
i Nietyksza, gdy go opatrzone i obwiązano, nawet  
bez gorączki, mógł się przyodziewszy siedzieć na  
łożku.

Burzył się tylko i wściekał, że mu się nie udało  
zbója zatrzymać i oddać w ręce sprawiedliwości, bo  
tym razem byłby niezawodnie gardłem przypłacił.

Dwie panny z francymeru królowej, z pacholikiem  
jej w dodatku, we dworze ks. Albrechta wywołały  
wielkie poruszenie. Nietyksza, który jak inni dwo-  
rzanie, w niebardzo obszernym budynku miał skro-  
mną izdebkę na dwu przeznaczoną, nie mógł tu przy-  
jąć odwiedzin, zwrócił się do rodzaju refektarza, izby  
jadalnej, w której dwór książęcy obiaдал i wiecze-  
rzał. Nazwaliśmy ją refektarzem, gdyż wielka pobo-  
żność ołyckiego księcia przystroiła ściany na sposób  
klasztorny. Na jednej z nich wisiał rzeźbiony wielki  
krucyfiks, na drugiej wizerunek Panuy Maryi bole-  
snej z siedmiu mieczami, a u drzwi każdych nie bra-  
kło na kropielnicy.



Bietce się to dziwnem i trochę wydało smutnem, ale wchodzący błady a uśmiechnięty wescelem serdecznem Nietyksza rozjaśnił ponurą izbę. Bietka dziękowała mu ze łzami na oczach, wyrzucając sobie, iż po raz drugi dla niej krew przelewał.

— Tym razem — odparł Nietyksza zmuszając się do wesołości — ja nie dla was, ale dla pomsty własnej czatowałem na łotra. Wymknął mi się, ale mam nadzieję, że prędzej czy później ręk on naszych nie ujdzie. Będziemy na czatach stać, a że łotr ma tu rachunki i pieniądze do odbierania, których się nie wyrzeczce, przyłapimy go, aby gardło dał.

— Dajcie już pokój zemście, proszę was — westchnęła Bietka — niech się krew nie przelewa... mnie się ona śni już, że ja w niej brodzę.

Chwilę tak zabawiwszy w refektarzu, uspokojona o ranę narzeczonego, powróciła Bietka do królowej.

Teraz jednak z każdym niemal dniem mniej się tu stawiała potrzebną i czuła to. Marya Ludwika miała już mnóstwo przyjaciół, znajomych, pomocników i czuła się bezpieczną. Znała ludzi, a pamięć mając doskonałą, wejrzenie trafne, nie potrzebowała się ani radzić, ani szukać objaśnień. Czasem więc po całych dniach dziewczę siedziało z francuzkami albo u krosien, lub na próżnych paplaninach, do których dwór dostarczał bardzo obfitej treści. Nie było prawie jednej z młodych panien francuzek przy Maryi Ludwice, któraby dwu i trzech zakochanych i starających się nie miała.

Pojać to łatwo; nawet najskromniejsze z nich w porównaniu z polkami śmielsze były, łatwiejsze do znajomości i do żartów, nie za sobą niepociągających w ich przekonaniu, a polaków chwytających zaraz za serce.

Królowa dla dworu swojego była niezmiernie surową, ale to, co po francuzku nazywało się surowością, w Polsce mogło ująć za wielką swobodę. Gdyby język nie stawał na przeszkodzie, którego polacy się

łatwiej uczyli niż francuzi polskiego, stosunek ten z dworem królowej byłby ściślejším jeszcze. Tylko Pac, który próbował dla swego pana zawiązać jakiś nieznaczný, tajemny węzelek, został stanowczo odprawiony z niczem. Panny były o nim ostrzeżone... żadna się z nim wdać nie chciała.

Po Bietce poszedł Plaza naturalnie z podzięką do Nietykszy, rad się zbliżyć i lepiej poznać z tym, którego za przysługę zięcia uważał.

Przyjął go z uszanowaniem Nietyksza i ugościł, lecz jakoś sobie wzajem nie przypadli do smaku. Ojciec nie mówił o tem córce, ale się domyśliła.

Dla skozaczalego trochę Lasoty, któremu coś w mowie i obyczaju pozostało z tych lat na Niżu spędzonych, Nietyksza się wydawał miękkim a do zbytku już pobożnym; litwinowi zaś stary, który wódkę szklanką pił i po rusińsku kłął, po wykwinnych radziwiłłowskich dworzanach chrapowało wyglądał.

Gdy w Warszawie Nietyksza się wygajał z rany, przyjaciele jego do serca wzięwszy, że Nesteracki im uszedł, na wszelki sposób zabiegali, aby go dostać. On o tem niewiele wiedział, ale druhowie czuwali. Chodzili tak dobrze, szpiegowali stosunki, że w kilka tygodni dowiedzieli się, iż śmiałek znowu się przekradł do Warszawy. Sprowadzały go tu rachunki pieniężne, bo chciwy był, a uzuchwalała bezkarność. Wyobrażał sobie, że król przez pamięć dla Amandy ścigać go nie każe.

Tymczasem Radziwiłłowscy z zamkowymi się zmówiwszy, czekali już na Nesterackiego. Wciągnął go jakiś zdrajca na zamek o mroku, a tu tak obstąpiono i osaczono, że nie mogąc się bronić, bo mu ręce w tył zaraz porwano i skrepowano, oddany został do starościńskiego więzienia.

Sprawa była bardzo prosta, gwałt dowiedziony, porwanie się do noża na zamku pod bokiem króla... gardło trzeba było dać. Wyprawił wprawdzie gońca

Nesteracki do księżnej Amandy, ale nim ten powrócił już dekret był ferowany i spełniony.

Ścięto go za wałami, a majątność Kadukiem dostała się do rozporządzenia króla JMości, który na-przód chciał ją dać Bietce, ale gdy ta odmówiła i ojeu nie dopuściła się starać, wzięli Kaduka dwaj dworzanie, co zbójcę pojмали.

Matka Nietykszy, której on umyślnie o ranie swej i wypadku nie zawiadamiał, przez sługę jakiegoś księcia Bogusława Radziwiłła dostała o synu wiadomość.

Nazajutrz siedziała na wozie krytym, zaprzężonym najlepszymi końmi i pędziła do Warszawy.

Energiczna niewiasta miała już jadąc wszystko w głowie. Zajechała do gospody, i zamiast do syna, poszła naprzód do księcia kanclerza. Znał on ją zdawna.

— Mości książę—odezwała się kłaniając mu Gedyminówna — przychodzę ja do was jako matka, nie miejcie mi tego za złe. Jednego mam syna, on mi tu głowę postradał naprzód dla dworki, a o to drugi raz krwią płaci za głupstwo swoje. Dopóki tu będzie młokos, ja o niego spokojną być nie mogę. Oddaj mi go książę!

Złożyła ręce, kanclerz się uśmiechnął.

— Bierz go jejmość sobie — rzekł — nie mam nic przeciwko temu, lecz biorąc przeciwko jego woli, uczynisz nieszczęśliwym. Dziewczyna ta, o której ja wiem i żona moja ją przy królowej widziała, stateczna jest. Syn wasz w niej rozmiłowany... nie sprzeciwiajcie się woli Bożej.

Zbladła aż Gedyminówna.

— Mości książę—zawołała — nie może to być, nie może. Dopóki żywa niepozwole. Jam Giedymínówna, a i Nietykszów ród stary, dziewczka zaś nie wiem nawet czy szlacheckiego rodu i ze dworu. Uchowaj mnie Boże od niej i syna.

Nigdy w świecie mu tego powroza sobie na szyję włożyć nie dam.

Niech mi go książę puści, a ja mu niedorzeczną miłość z głowy wybiję.

— Moja jejmość — rzekł kanclerz łagodnie — ja praw jej jako matki nie zaprzeczam, i syna wstrzymać nie będę; rozważcie tylko, czy to co czynicie z dobrem jego.

Podziękowawszy a nie rozprawiając dłużej, Nietykszyna wprost szła do syna. Ten już wiedział o niej i rozumiał dobrze, dlaczego naprzód szła do księcia. Czekał na matkę obwiązany na łóżku siedząc, z mocnem postanowieniem pozostania przy swoim. Spodziewał się, że matka ze zwykłą swą gwałtownością i nakazem na niego wpadnie; i w istocie szła do niego z tem postanowieniem rygoru. Ale... matką była, choć Gedyminówną.

Zobaczywszy jedynaka swego bladym, wychudłym, zmizerowanym, ręce rozciągnęła i padła mu na szyję, rycząc z płaczu. Nigdy jej jeszcze taką nie widział syn; poruszyło mu się serce, mężczyzna rozbeczał się także.

Podróż, w ciągu której ciągle o synu tym myśląc biedna kobieta miękła z bólu, uczyniła ją teraz prawie łagodną — lecz zmieniło się tylko postępowanie, cel i pragnienie pozostały niezachwianemi.

Zamiast naglić i nakazywać, prosiła go, pieściła a łzy jej toczyły się po zmarszczonych i ogorzałych policzkach.

Nietyksza się opierał zrazu i prosił, ale zmiękczyć niczem nie mógł.

Po kilku dniach żał mu się starej zrobiło, prosił o jaką dobę do namysłu. Gedyminówna głową tylko skinęła i nazajutrz nie przyszła, a Nietyksza na zamek się udał do Bietki.

Ta już była zawiadomioną o przybyciu matki i miała przecucie tego co jej groziło. Brała mężnie co ją spotykało.

— Jeżeli mnie kocha prawdziwie—powiedziała sobie—to wytrwa, a wywietrzeje mu to z serca i głowy...

Nie chciała myśleć o następstwach. Ojciec niebardzo nastawał, aby się litwinowi narzucać. Miał swą dumę.

— Ja się z mojem dzieckiem nikomu prosić niepotrzebuję. Znajdą się tacy, co mnie się jeszcze o nią do kolan pokłonią.

Nietyksza wprost spytał Bietki.

— Mów co ja mam czynić! Matka nie rozkazuje, nie gniewa się, ale płacze, a mnie te łzy jak krople ukropu na serce padają. Co mam począć?

Namyśliło się chwilę dziewczę, pierścionek zaręczyn obracając na palcu, jakby go mu zwrócić chciało. Nietyksza odgadł tę myśl i zakrzyknął.

— Choćbym jechał, jam tak jak był zostanę wasz, królowo moja, a pierścienia ani oddam, ani wezmę. Ale matka...

— Jedź—rzekła Bieta. — Wprzódty ona do ciebie, niżeli ja miała prawa. Jedź, ja będę czekała, aż mi pierścień odesłesz.

Pożegnali się łzami, przysięgami, a Nietyksza odszedł choć smutny, jakoś na sercu swobodniejszy.

Doba upłynęła. Gedyminówna przyszła do dworku. Spojrzała na syna.

— Jadę z tobą, matusiu—rzekł—a żebyście znali ją, powiem, ona mi z wami jechać kazała.

— Ma rozum—odparła zimno Gedyminówna—ale mnie przez to sobie nie zjedna, bo mnie w synowej nie jednego rozumu potrzeba.

Tegoż dnia poszedł dworzanin dziękować księciu za łaski jego i pożegnać się z nim. Kanclerz go przyjął miłościwie.

— Dobrze czynisz, że szanujesz matkę—rzekł—żonę zawsze znajdziesz, gdy wola Boża będzie, abyś ją miał, a matki drugiej nikt ci nie da. Pan Bóg

ci za to pobłogosławi. Jedź. Zechcesz-li powrócić, przy mnie zawsze miejsce znajdziesz.

A że się dworzanina, choćby majątnego, nie odpuszczało bez podarku, dał książę konia dobrego i łańcuch. Poszła mu dziękować Nietykszyzna jeszcze, a potem syna z sobą zabrawszy, choć się jej wyrzywał do Bieleckich, do Mingajłowej, nie puściła go już dopóki na wóz nie siadł przy niej, bo konno mu jeszcze doktor jechać nie dozwolił. Rana była na zagojeniu, ale się szanować z nią musiał.

Pozostała Bietka sama i długo nie mogła tego sieroctwa serdecznego przemódz, z nicm się oswoić. Zaczęła się modlić.

Ojciec nie mówił jej nic, ale miał na myśli co innego.

— Taki piękny i poczciwy chłop jak Lackowicz czemu by się jej nie miał podobać? Szlachcicem nie był, to prawda — mówił sobie Płaza; ale to szlachectwo, na kozaczyźnie mu jakoś lżejszem się stało. Patrzył na to zresztą, jak właśnie za panowania tego króla, ogromny był ruch mieszczaństwa, sołtysów, zbożaconych wieśniaków, którzy *per fas i nefas* wkradli się do herbów i przywilejów szlacheckich. Liczono ich na seciny, wytykano palcami, ale rzadko kto dał tym nowo-wyszlachconym chłopstwo, a dosyć było znaleźć kilku świadków, co poprzysięgli, iż znali obżałowanego szlachcicem, aby się przy swem utrzymał.

Za Zygmunta III to podrabianie się do szlachectwa nieznacznie się poczęło, ale za Władysława przybrało ogromne rozmiary.

Zaciągi do wojska, pułki nowe wielce się przyczyniły do tej łatwej nobilitacyi. Zamożny sołtysów syn lub kupeczyk wpisywał się między żołnierzy jako urodzony, i nikt go nie badał, a gdy raz na koni wsiadł i pod chorągwią czas jakiś wytrwał, już sam niemal w to wierzył, że się szlachcicem urodził.

Są na to mnogie dowody, iż do rodzin starych



a zubożałych—jak mówił Trepka<sup>1)</sup> — za beczkę piwa się było można wkupić.

Płaza więc myślał sobie, jakby go dziewczyna polubiła?!

---

### VIII.

W grudniu tego roku, zapowiadziany już gość, niebardzo królowi pożądanym, przyrodni brat Jan Kazimierz, zrzuciwszy habit mnisi, złożyłwszy kardynalski kapelusz, powracał do kraju. Młodość jego i całe życie, wczesnie mu wyrobiły u ludzi famę niestateczności.

Opowiadano sobie naówczas, że gdy mając wdziać suknię zakonną udał się do świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał jasnowidzenia przyszłości, i prosił, aby mu zwiastował co go czeka, pobożny mąż przewidując zawczasu brak wytrwania w nim, szepnął smutnie i niechętnie.

— *Neque tu Jesuita, neque Cardinalis!*

Później też wszystkie astrologów rachuby przepowiadały Kazimierzowi burzliwe jego nicustannie na zmiany doli, stanu i postanowień życia.

Dla króla Władysława niespokojny ten brat, który mu miał nie dać wypoczynku nigdy różnemi wymaganiem swojemi, był prawdziwą plagą. Przyjmował go z niechęcią, z żalem, bo mu naprzód także prorokował, znając go, że nigdzie nie wytrwa długo. Umysł był i temperament nienasycony niczem, bo nic

---

<sup>1)</sup> Liber Chamorum. Rps.

umilować nieumiejący. Gorące pragnienia zmieniały się w nim prędko w nieprzejednane wstręty. O ile Karol biskup był cichym, spokojnym, zamkniętym w swych ogrodach i nabożeństwie, o tyle Kazimierz rokował, że przyniesie z sobą kłopoty nieustanne.

Zaczynały się już od tego, że powracający dał znać królowi, aby mu jego dawne na zamku przygotowano mieszkanie.

Zajmował je właśnie ów tajemniczy, a tak królowi potrzebny pod ręką i niezmiernie ulubiony graf Magnus.

Król za nic w świecie nie chciałby go był rugować dla brata i kazał Kazimierzowi oznajmić, że ma się w domu dziekańskim przy zamku, opróżnionym umieścić.

Rozgniewał się drażliwy ex-kardynał. Zatrzymał w podróży i napisał do króla silnie domagając, aby do swojego mieszkania powrócił.

Nie otrzymał długo odpowiedzi i zwłókl powrót do Warszawy, siedząc nadąsany w Turczynie.

Szczeńciem dowiedział się o tem Magnus, a nie chcąc królowi przyczyniać troski, sam dobrowolnie się wyniósł do domu dziekanów, choć król chciał mu dać mieszkanie wytworniejsze w pałacu swoim na Krakowskim Przedmieściu, ale tu byłby od króla oddalonym.

Pomieszczenie księcia było zresztą jedną z najmniejszych trosk powrotem jego spowodowanych. Jan Kazimierz dopominał się całego wyposażenia swego, którego się był rzekł, a król niem rozporządził, i ani chciał słuchać o kompensatach; odbierał wprost swoje, nie pomnając, że sam wszystko to oddał królowi. Zaraz tedy o Sokal oddany zięciowi kanclerza dopominał się u Dönhoffa, u podskarbiego litewskiego o Kobryń, u podkomorzego swego o Preny, u Butlera i innych o rozdane im tenuty.

Nikt też powrotowi jego rad nie był, a królowej

zapowiedziano, że jej fraucymcr od niego spokoju mieć nie będzie.

Wprawdzie liczył się on dotąd kardynałem i duchownym, ale ci co go w powrocie widzieli, opowiadali, że przy szpadzie po cywilnemu chodził, i nosił się jak dawniej po niemiecku.

Miłości nie zaskarbił sobie u nikogo nawet z rodziny, bo i z biskupem Karolem był niedobrze, i królowi, jak mówiono, jego elekcyi zazdrościł, pomnąc zapewne na to, że matka miała zamiar jego na tron prowadzić, o czem nasłuchiwał się od niej. Teraz, syn Władysława, druga żona, wszelkie nadzieje niweczyły.

Po wszystkich spełzłych na niczem projektach, Kazimierz wracał wcale nie wiedząc co robić będzie w Polsce, której nie cierpiał, a ona mu też wzajemnością wypłacała. Powtarzano tu sobie co mu się niegdyś o polskiej szlachcie z ust wymknęło, a tego było dosyć, aby rozbrat między nim a rzecząpospolitą nastąpił.

Karły, małpy i papugi, rozmowy puste i miłostki płocze, mogły wprawdzie jako tako życie zapełnić, ale nie starczyły dla zapewnienia szczęścia i nasycenia serca.

Na dworze królowej zawczasu rozpuszczone wiadomości o księciu Janie Kazimierzu, spowodowały, że Marya Ludwika przestrzegła fraucymcr swój, aby z należytym respektem trzymał go zdaleka od siebie.

Miała ona z nim oprócz tego do czynienia tyle, że utrzymanie w karbach przyzwoitości dwóch obozów jakie się na dworze jej wykluly, wojując z sobą, nie dawało jej spoczynku. Nawet z pomocą ks. Fleury niepodobna było przejednać zazdrosnych, którzy skarżyli w listach królowę do Francyi, obmawiali ją w Warszawie, intrygowali w sposób najnikczemniejszy.

Z jednej strony stał poseł francuzki de Brégy, ks. de Fleury spowiednik królowej, Desnoyers jej sekre-

tarz i oboje państwo des Esssarts. Drugiej naczelnym wodzem de Conrade z Langeronówną, doktorem i częścią panien, które grupowały się wedle dawnych stosunków. Piękna panna Duret, przyjaciółka Bietki, była po stronie des Essartów.

W listach do Francyi, które się dostawały często z powrotem królowej, oskarżano des Essartów, sekretarza i ks. de Fleury, że chcieli opanować królowę i nad nią przewodzić.

Marya Ludwika jednak wcale ani do opanowania ani do rządzenia sobą łatwą nie była; a miała na swem stanowisku królowej i małżonki króla nadto do czynienia, aby ją te francuzkie niespokojnych ludzi knowania wielce obchodzić mogły. Niecierpliwiły ją tylko i zrażały do części dworu, którego możeby się była rada pozbyć, lecz kimże mogła zastąpić?

Położenie to królowej nie było do zazdrości. Wprawdzie zyskała pewną powagę, znaczenie, a nawet niejaki wpływ u króla, który jej stanowczo i energicznie objawianej woli nleżał, ale serca jego zjednać sobie nie mogła.

Pae i Platenberg gorliwie spełniali swe nikczemne obowiązki uslužnych pośredników w miłostkach, o których i dwór i miasto całe niemal wiedziało. Za jedną pannę Amandę miał teraz znudzony pan cochwila jakąś nową znajomość, najczęściej z najpośledniejszych warstw wydobytą, wystrojoną, i mogącą tylko chwilowe roztargnienie przynieść z sobą.

Ciż sami panowie pilno stali na straży, aby królowa sobie serca młodego królewicza pozyskać nie mogła.

Władysław, który go kochał jako przyszłego następcę i dziedzica jedynej krwi swojej, pomimo przywiązania, obchodził się z nim dziwnie.

Zapominał o nim czasem, stawał się obojętnym, nagle potem wybuchał z czułością wielką, która nie długo trwała. On też z jakąś zazdrością na stosu-

nek Zygmunta do macochy spoglądał, jakby się obawiał, aby mu serca jego nie odebrała.

Wszystko to razem wzięte życie na dworze czyniło duszającym i nieznośnem. Spoglądano na siebie nieufnie, szpiegowano i oskarżano wzajemnie; miłości nie było nigdzie, a pozory przyzwoitości kryły czczość i rozterki.

Królowa musiała uciekać się do nabożeństwa, szukać w niem pociechy i rozrywki. Jeździła po klasztorach, przesiadywała godzinami po kościołach i wychodziła z nich najczęściej zapłakana.

Ciekawa jak kobieta, obrażona jako żona, królowa naprzód przez francuzów wtajemniczona została w to co się u króla wieczorami działo. Nie mogła się potem wstrzymać od przekąsów i alluzji.

Nikczemny pochlebca, wyznaczony dla niej koniuszym, który zazdrościł Pacowi, że ten został przy królu na usługach potajemnych, pierwszy z polaków począł donosić Maryi Ludwice o wszystkim co się działo. Z początku nie chciała królowa słuchać i byłaby zapewne najlepiej uczyniła nie dając ucha tym brudnym powieściom z królewskiej alkowy, ale oprzeć się nie mogła. Po imieniu i nazwisku wyliczano jej różne ulubienice, opisywano jak wyglądały. Platenberg, którego się nie wystrzegano, każdego dnia przychodził z raportami do królowej.

Obrażona, gniewna pani nie mogła wytrzymać, aby nie okazywała Władysławowi, że wie o wszystkim.

Król zapalił się gniewem ogromnym. Wpadł na Paca, ale ten zaklinał się, że od niego nikt się słowa dowiedzieć nie mógł. Platenberga nie posądzało. Padło podejrzenie na francuzów naprzód...

Wtem właśnie Pac wprowadził na zamek nadzwyczajnej piękności ormiankę, a koniuszy, który ją przechodzącą widział, umiał ją jak najdokładniej opisać królowej.

Marya Ludwika nazajutrz szydersko poczęła mówić

wieć o pięknościach ormiańskich i wschodnich. Tego już królowi było nadto. Zaprzeczył naprzód i zaparł się.

Królowa opisała mu dziewczę, powiedziała jej pochodzenie, imię i nazwisko.

Nie mogąc się wyprzeć, w pasyi wyszedł Władysław, odgrażając się na francuzów, iż oni szpiegują i donoszą, więc ich precz do nogi wszystkich ztąd wypędzi.

Przelekniona królowa wzięła na siebie wszystko i przyznała się, że sama nocną porą czatowała, aby widzieć przechodzącą ormiankę<sup>1)</sup>.

Król usta zagryzł.

— Pozwól sobie powiedzieć W. Król. Mość—odezwał się — że chodzenie po nocach w zainku wcale nie przystało dostojności królewskiej.

Z tem wyszedł, królowa się rozplakała. Szczęściem des Essarts ją uratowała. Tej samej nocy wszczął się hałas, jęk i płacz w pokojach królewicza Zygmunta. Stał się tam przypadek jednej z nianiek chłopaka, który zmusił cierpiącą do krzyku, królowa więc mogła się tem wytłumaczyć, iż posłyszawszy hałas u Zygmunta, wybiegła zobaczyć co się stało.

Wszystko to króla Władysława do najwyższego stopnia niecierpliwiło; ale choć się na królowę odgrażał, im sam spadał niżej, tem ona uzyskiwała zwolna więcej władzy i poszanowania.

Podejrzenie nie przestawało ciążyć na francuzach, których królowa broniła. Nagle mściwy Pac zwrócił je na Bietkę.

Król wydał wyrok, aby ją ze dworu natychmiast oddalono. Dziewczę wcale o tem nie wiedziało, gdy des Essarts wpadła do jej pokoiku, gdzie z panną

---

<sup>1)</sup> Rpm. Desnoyers. Hist.



Duret szyły w krośnach i bez przygotowania poczęła opowiadać co się działo i czego król się domagał.

— Królowa nie dopuści tego—wołała des Essarts — obroni cię, sama mi to mówiła.

Bietka już tak była znużoną, a w ostatnich czasach boleśnie dotkniętą odjazdem Nietykszy, a ojciec ciągle na nią tak nalegał, aby dwór opuściła, iż zrzuciwszy kłębuszki i igły, wstała od krosien wołając.

— Jeżeli to ma komu być potrzebnem, króla uspokoi, królowę i was zabezpieczy, puście mnie, pójdę choćby dzisiaj.

Marya Ludwika ostygła znacznie w ostatnich czasach dla Bietki, bo miała wiele innych na sercu i głowie brzemion, ale ją tak wydać na łup, tę która pierwsza ważyła się do niej przybyć z przestrogą, wydało się jej niewdzięcznością srogą, oburżającą.

Postanowiła jej bronić.

Król, który wstydził się tych zakulisowych swych zabawek, nie mógł przebaczyć tym co go zdradzili, ale koniuszego nie posądzał wcale.

Przypomniawszy sobie za czasów Amandy śmiało aż do zuchwalstwa występowanie Bietki, winą więc jej zdawała mu się dowiedziona.

Stanowczo poczał się domagać wypędzenia jej ze dworu. Z zimną krwią słuchała rozpraw i sprzeczek dziewczyna, naostatek widząc, że królowej uczyni przysługę oddalając się, że ojcu to będzie miłem, nie mówiąc nikomu, zrana poszła do antykamery królowej do Paca.

— Proszę was, abyście byli łaskawi — rzekła sucho—wyrobić mi pięć minut posłuchania z pożegnaniem.

Pac udał podziwienie—nie odpowiedziała. Poszedł do króla i powrócił. Władysław siedział tyłem do drzwi, które weszła i głowy nawet nie zwrócił.

— N. Panie—poczęła spokojnym głosem przybyła — przychodzę W. Król. Mości podziękować za chleb jego. Idę na swój własny. Wiem, że mnie obwinia-

ją o jakieś doniesienia... w tym razie nie jestem winna, ale w innym myślałabym zawsze, że król, posłannik Boży, cokolwiek czyni, tego się wstydzic nie potrzebuje.

Stopy całuję W. Król. Mości.

— Patrzcie! rokoszanka — krzyknął obracając się król.— Tyś nie doniosła, a któż? kto? francuzi?

— N. Panie, ściany i mury, wszystko donosily.

Zmilkł król, a że dziewczę ładne było, dodał.

— Niewinną jesteś, no, to zostań sobiel Nie ty, to inna szpiegować mnie będzie.

— Dziękuję za łaskę, ale jej przyjąć nie mogę— rzekła Bietka.— Ściele się do stóp W. Król. Mości.

I wyszła.

Ojciec Płaza uwiadomionym był nagle zrana, i jakby go kto na sto koni wsadził. Tymczasowo Bietka się umieszcila u Mingajłowej, co jej Bieleccy mieli za złe. Wy tłumaczyła się, że u Kazanowskich miejsca więcej było.

Starego Lasotę to postanowienie córki wprawiło w rodzaj szału. Chciał zaraz dworek kupić albo w mieście lub na przedmieściu. Wyobraził sobie, że Bielecki mu będzie pomocą, ale ten zakrzyczał.

— Toś się wybrał w porę! Tu się najwięksi panowie rozbijają o nasze miejskie place, ceny ich poszły do góry, a tobie teraz się chce kupować. Lepiej myśl o wiosce na Mazowszu, albo o Krakowie, który tanieje, bo tam bodaj oprócz pogrzebów i koronacyj, więcej się już nic odbywać nie będzie.

Nie mogąc narazie kupić, Płaza póty biegał, aż najał dwór prawie dokończony na Nowem mieście, z ogrodem. Muzykant królewski, który go sobie wybudował, miał kwaterę na zamku, a żenić się nie myślał jeszcze i niedrogo dominę puścił.

Płaza i Lackowicz jak oparzeni latali skupując teraz co do domu było potrzeba. W jednej z tych wybieczek zapamiętałych, pochwycony za ramię musiał się zatrzymać Płaza; stał przed nim Parfen.

— Co ty? skrutysia?

Nie wiedział co odpowiedzieć zrazu Lasota.

— Chcesz tu na wieki zamieszkać? — począł marszcząc się kozak. — Ale ty tu posłany z listami i powracać musisz z niemi? Batkul o tem nie zapomina!

— A któż ci mówi, że ja wracać nie myślę? — spytał Płaza.

— Naco mi ma kto mówić, kiedy ja widzę — mówił kozak — a co gorzej, ja to u was przez skórę czuję...

Caryca i ty zdrajcy — dodał — a no, podumajcie wy sobie, my długie ręce mamy! Ej! ej!

Począł się w piersi bić raz po raz przestraszony Lasota i odprowadził kozaka na bok. — Ja przed tobą kłamać nie będę, bo ciebie nie oszukać; ale ty widzisz, czujesz, a nie tak jak ono jest!

Miałeś ty kiedy żonę, dziecko?

Parfen spojrzał na niego zdziwiony i pogardliwie niemal.

— Ja? dziecko! tfu! szczenięta chowałem, prawda... no, tatarkę jedną miałem trzy dni w szalasię, alem ją nahajką wypędził... śmierdziła potem.

— Więc tego nie znasz jak się dziecko kocha — rzekł Płaza — mam córkę; ty co wiesz wszystko, dawno wiesz i o tem; ja dla niej gniazdo ścielę, a sam na Sicz powrócę.

Parfen się rozśmiał na głos.

— Na szto duryty! — zakrzyknął i nie chcąc go nawet słuchać dłużej; pokiwał głową, zamachnął rękami, pogroził mu i poszedł.

Lackowicz i on siedli natychmiast radzić. Oba teraz postrzegli, że z pośpiechu wielkiego strzelili baką — zdradzili się sami. Nie w Warszawie na oczach osiadać trzeba było Płazie, ale w kącie gdzieś, aby go kozacy nie wytropili łatwo. Ale Płaza gotów był pieniądze najmu stracić, albo go oddać komu innemu potem, teraz zaś potrzebował dachu dla Bietki, bo

się obawiał, aby ją nie zatrzymano na dworze lub ona się sama nie rozmyśliła.

Naprawdę więc jako tako urządzono we dworku. Mówiliśmy już o ówczesnem domów szlacheckich urządzeniu, które jeszcze namioty i obozowiska przypominały. Więcej w nich stanowiły kobierce, kilimki, opony, sukna, obicia, niż sprzęt inny.

Lada stół okrywano kobiercem, lada ławę suknem i poduszkami.

Na te rzeczy Płaza pieniędzy nie żałował. Sreber prawda kupić nie mógł, ale cyny przysposobił podostatkiem, a to było średnich stanów srebro.

Bietka rada już była jednego dnia uciec z zamku i z pałacu. Ścisnęło się jej serce, gdy myślała, że się tak ochotnie, tak duszą całą poświęcała dla królowej, która teraz zimno, obojętnie się z nią rozstała.

Pierwszy raz uczyła się tej wielkiej prawdy, że niewdzięczność jest prawem życia, a wdzięczność cnotą wyjątkową.

Wprawdzie królowa wyposażała ją ze swej garderoby bardzo hojnie, ale Bietce teraz tak mało o to chodziło. Zdawało się jej, że z zamkiem, w którym lat przeżyła tyle, rozstanie się obojętnie. Dopiero w ostatniej godzinie uczyniła w sercu i to nowe odkrycie, że do miejsc, w których się cierpiało, przywiązać się można.

Biegała tu dziecięciem prawie.

Wieczorem przed spuszczeniem zamku poszła do królewicza, który ją zawsze lubił bardzo.

Siedział jak zwykle zajęty rycerską zabawką łukiem i strzałami, miał cudnie piękny perłami szyty sahajdaczek przy sobie.

Bietka przyklękła przed nim, lzy miała na oczach.

— Przyszłam was pożegnać—odezwała się biorąc malutką jego białą z długimi paluszkami rączkę do pocałowania.

— A dokądże ty jedziesz?

— W świat!

— Daleko?

— Nie wiem.

— Kiedyż powróci?—zapytał Zygmunt.

— Może nigdy—odpowiedziało dziewczę.

— O! nie, to nie może być—rzekł spokojnie chłopak. — Ja ciebie lubię, poproszę ojca, a on król, wszystko może co chce.

Zygmunt zrobił minkę tajemniczą, pochylił się do niej...

— Przyznaj się — sepnął — przyznaj... ciebie ta francuzka, ta królowa wypędza. O! ta francuzka!

— Królewiczu mój, ona was tak kocha!

Zygmunt główką zawahał.

— Ja temu nie wierzę. Ona tu teraz wszystkim chce rządzić. O! ta królowa!

Smutno słuchała tego Bietka.

— Ojciec powinien ją odesłać do Francji — mruknął chłopak—a sobie innej poszukać.

Bietce tak przykro tego słuchać było, że o łuk i o strzały poczęła go pytać, aby mu nie dać mówić o królowej. Jaka się tu gotowała przyszość!

Zausznicy od początku pracowali nad tem, aby zasiać ziarno niechęci, a król nie czynił nic, aby zapobiedz.

Stosunki obojga były teraz dla świata zupełnie prawidłowe. Królowa nawet wyrabiała przywileje, brała za to wedle zwyczaju podarki, wmówiono jej, że w Polsce wcale to zdrożnem nie było, miała swych przyjaciół i zapaśników szczególnie pomiędzy duchownymi. Dwór jej był świetny i piękny. Król publicznie teraz nie uchybił jej nigdy, czasu sejmu tak ją starannie uwiadamiando o wszystkim, jakby jakąś moc miała wpływać na obrady. Lecz gdy zamek zawarto i obcy się rozeszli, urągał się król swą lekko-myślnością kobiecie, która ze łzami w oczach powtarzała nieraz spowiednikowi 'swojemu ks. Fleury, iż gdyby była mogła przewidzieć, przeczuć obyczaje

polskie, nigdy w świecie dla żadnego tronuby nie pojechała do Polski.

Powtarzano te jej słowa, iż się nie dziwiła teraz ucieczce Henryka III i miała go za usprawiedliwionego.

Niestety, pomimo tych żalów, łez, tych wstrętów, królowa pamiętała o tem, aby na wszelki wypadek wyrobić tu sobie stanowisko silne i być potrzebną.

Zajmowała się też potajemnie wiele polityką, pisała listy, donosiła o tem co na północy się działo.

W nowym dworku, z jedną sługą, z ojcem i Lackowiczem pierwszego dnia, zmuszona sama o wszystkim pamiętać, gdy na zamku nawykła była mieć wszystko gotowe na żądanie, Bietka uczuła mocno zmianę położenia. Gospośią dopiero musiała się uczyć być na przyszłość.

Plazie za to we własnym domu, przy dziecku, zdawało się, że był w raju, a że Lackowicza kochał też mocno, widząc go razem, zupełnie był szczęśliwy.

Nie śmiał się z tem odzywać, ale jakby był chętnie Nietykszę na tego wymieniał. Bietka na pięknego i śmiałego a rubasznego chłopca, patrzyła jakoś z obawą. Nie umiał ją ani tak zabawić, ani tak odgadnąć jak dworak radziwiłłowski, o którym myślała, po którym tęskniła.

Uśmiech jej teraz trudno przychodził.

W dworku u Plazy, choć to było tak młode gospodarstwo, na gościach nie zbywało. Na służbę się codzień stawiał Lackowicz, często zaglądał dobry ks. Stoczek, niekiedy przybiegała Bielecka, rzadziej on sam, naostatek z przyjaciółek zamkowych Bietki, francuzek i polek, przybiegały czasem niektóre.

Lasota miał we krwi polską starą gościnność, i nikogo od siebie nie wypuścił bez przekąski i kubka.

Wszystko by tu się dla niego składało jak najpomysłniej, gdyby nie widok natrętny przechodzącego często pod oknami wolnym krokiem Parfena.

Nie było dnia, żeby się im tu nie pokazał raz



conajmniej, ale do Płazy nie zachodził nigdy, odwracał oczy gdy domostwo mijał.

Właśnie prawie o tym czasie, gdy Bietka opuściła zamek, z Turczyna nadjechał uroczyście Jan Kazimierz, kwaśny, niekontent z króla, już zawczasu zniechęcony do rodzonego brata ks. Karola, uprzedzony przeciwko królowej, gotując się tu na wszystkich skarżyć i wszystkim dojechać. Z nim dosyć liczny dwór cudzoziemski cały, dwa karły, małpy i papugi.

Duchownego ani kardynała śladu nie było w nim. Ospowaty mocno, blady, rysów twarzy niemiłych i dumnych, zdawał się łaskę czynić rzeczypospolitej i królowej, że do nich powrócił. Tymczasem nikt go tu wesolą twarzą nie witał, bo sobie miłości zaskarbić nie umiał nigdzie.

Pierwsze kroki jego były napaścią na Karola, na króla, na tych wszystkich, którym jego wyposażenie zostało rozdzielone.

-- Mój kochany—odparł król przy pierwszym widzeniu się — nie zapominaj o tem, że sam się tych dóbr wyzułeś, że ja cię ostrzegał, żeś się uparł zostać zakonnikiem, a nie wytrwał nawet w kardynałskiej purpurze.

— Bardzo dobrze—rzekł kwaśno Kazimierz — ale powracam, i co mi należy powinienem odzyskać.

— Starać się będziemy ci to wynagrodzić — odparł obojętnie Władysław i począł rozpytywać o Włochy.

Ale w oczach księcia nikt teraz nie miał łaski, ani papież, ani kardynałowie, ani królowie i książęta, między którymi on tak poślednie miejsce zajmował. Wszystko chlostał z niesłychanem ohurzeniem.

Nazajutrz rano przyjęła go królowa. Słyszał on bardzo wiele o niej, wyobrażał sobie może inaczej, wszedł jakoś lekceważąco, a wprędce się zmięszał, spoważniał i stał galantem.

Początek rozmowy bardzo był szczęśliwy. Kazi-

mierz nie cierpiał Polski i polaków, królowa nie miała dotąd do pokochania ich pobudek, zgadzali się doskonale; ale ten *frondeur* nielitościwy był co do obyczajów ani na jeden włos nielepszym od ogółu i od brata.

Gorycz z każdego jego słowa tryskała, ani się można było dziwować mu po tylu doznanych zawodach, po więzieniu we Francyi, po pohycie w Rzymie, po wszystkich próżnych staraniach. Ten sposób zapatrywania się na świat z jego czarnej i złej strony daje zawsze ludziom pozorą jakąś wyższość, a łatwym jest, gdy się popisuje z nim, bo plamy biją w oczy.

Królowa jednak łatwo poznała w królewiczu człowieka zgorzkniałego własną winą, a niewielkiego umysłu.

Wśród najpoważniejszej rozmowy wtrącał najdziwniejsze pytania. Na równej szali były u niego sprawy rzeczypospolitej i kłótnie jego karłów.

Królowa, która dotąd słyszała o nim jako o kardynale, zdumiała się widząc go w peruce, krezie i przy szpadzie wchodzącym na pokoje, spytała więc, czy się zupełnie wyrzekł purpury.

— Tak jest — odparł — wśród intryg włochów wiecznym musiał być ich igraszką lub narzędziem. Skosztowałem, mam dosyć...

O przyszłości swej tutaj książę nie jeszcze powiedzieć nie umiał. Skarżył się, że mu tak pośpiesznie rozgrabiono wszystko, iż mógł z głodu umierać.

Ponieważ coś był zasłyszał o polityce brata, o zaciągach jego, o trudnościach jakie miał z tego powodu, krytykował zachcianki brata.

Królowa żywo wzięła go w obronę.

— W Polsce niepodobna nic zrobić — mówił — szlachta wiechry i niedopuszcza.. trzeba się zrezygnować na panowanie beczynne.

— Właśnie król chciałby to zmienić — mówiła Marya Ludwika.

— A! pracował nad tem Batory, ojciec nasz. Władysław się zagryzie i nic nie robi.

— Musi próbować—dodała królowa.

— Nie zazdroszczę mu—rzekł Kazimierz.—Ja do niczego się mięszać nie będę.

Pierwsza ta rozmowa na królowej uczyniła wrażenie wystarczające, aby jej dało miarę człowieka. Kazimierz wyszedł z wielkiem uwielbieniem dla Maryi Ludwiki, ale to było znanem i wiadomem, że każda z pań robiła na nim silne wrażenie, które się nazajutrz rozpraszało i zmieniał w zupełnie przeciwne.

Nie upłynęło dni parę, a już z pokojów ex-kardynała niepokój, plotki, wyrzuty rozchodziły się po zamku.

Z niezmierną ciekawością starał się przeniknąć do fraucymeru królowej i zaraz na pierwsze wejście począł się unosić nad panną Duret.

Była ona w istocie jedną z najpiękniejszych w orszaku pani, ale też najnieprzystępniejszych. Platenberg, któremu się zwierzył, zapowiedział mu, ażeby tu próżno czasu uie tracił.

Jan Kazimierz uraził się mocno.

Pod pozorem szukania księdza Fleury, pana des Essarts, doktora de Lafage ciągle wtargał do pokojów dworu, aby spotkać się z panną Duret, która już uprzedzona, nigdy mu samnasam z sobą ani na chwilę pozostać nie dala.

Gniewało go to. Wiedział, że na dworze brata nie było zbytnej surowości, że Francya też nie słynęła z niej; uważał więc postępowanie to, jako wymierzone przeciwko sobie.

W poufalej rozmowie z p. de Brégy dowiedział się dopiero od niego, że królowa była dla swych pańien niezmiernie surową i najmniejszej nie pობłażała płochości.

— Cóż na to król JMci?—zapytał szydersko.

— Król—rzekł de Brégy z uśmiechem — musi się zaopatrywać gdzieindziej...

Nowy ten żywioł, którym dwór został zbogacony, nikomu nie przypadł do smaku, zawadzał wszystkim.

Królowa jedna w początkach nie chciała być dla niego zbyt surową.

Znudzony, bez zajęcia książę spędzał godziny długie na słuchaniu najniedorzeczniejszych rozmów swoich paziów i karłów, przeciw którym się czasem niecierpliwił aż do własnoręcznego ich policzkowania.

W początkach duchowieństwo powracającego z Rzymu ex-kardynała odwiedzało ciekawie, spodziewając się od niego coś dowiedzieć o tej stolicy kościoła i sprawach w niej ważniejszych, dotyczących polski, ale Kazimierz nie wiedział nic oprócz tego, czem mógł oczernić i zakon, który porzucił, i Collegium, do którego należał.

Powtarzał z goryczą to naówczas już rozpowszechnione przysłowie: *Chi Roma vide, perde la fede*.

Każdy z duchownych wychodził z tych rozmów zgorzsony i oburzony. Za co się mścił ten człowiek, którego tam tak uprzejmie i gościnnie przyjmowano?

Całe tak życie nieszczęśliwy miał za swą nieudolność, szukać pomsty na ludziach.

W Polsce naturalnie nie mu się nie podobało... nie było ludzi, wszystko się chyliło do upadku. Kazanowscy przyjęli go zimno, Ossoliński, którego zięciowi już odbierał nadany Sokal, witał kwaśno, z ks. Karolem wcale się nie widywali.

Nierad z zajętych przez siebie pokojów, które odebrał Magnusowi, rościł sobie pretensye do pałacu królewskiego na Krakowskim Przedmieściu, który uznawał dla niego niepotrzebnym.

— Ma zamek, ma Ujazdów, poco mu ten pałac?

Mówiono mu, że król nie dał go przecie ks. Karolowi, który się mniejszem mieszkaniem zaspakał. Podkomorzy jego czynił mu uwagę, iż na tak rozległy gmach większego też i kosztowniejszego potrzeba

było dworu i straży, ale to nie przekonywało. Musiał się na coś żalić i zawsze czuć pokrzywdzonym.

Wyposażenie ks. Karola, który ze swego biskupstwa małe miewał dochody, wydawało mu się daleko dostatniejszym niż jego własne.

Król napróżno usiłował się od niego zamykać; wchodził bez opowiedzenia po kilka razy na dzień, zawsze z żalami jakimiś lub krytyką.

Szczęściem piękna panna Duret tak gorąco go zajmować zaczęła po dniach kilku, iż dla niej króla wyswobodził. A że wdzięczna francuzeczka obawiała się tego gacha tak kompromitującego, uciekała, nie odpowiadała, tuliła się pod skrzydła królowej, ex-kardynał roznamiętniał się dla niej tak, iż cały dwór śmieszył sobą.

Król nawet szydził z niego.

— Z tego, co otacza N. Panią — rzekł — bądź pewien, iż najmniejszej nie będziesz mieć korzyści... Koronkę odmawiają wszystkie bez zająknięcia, ale miłosnych komplimentów nie rozumieją. Spytaj Paca, Platenberga i pana kuchmistrza... niema tam ani jednej, któraby dała się wziąć na słodycze i podarki. Nie trać więc czasu...

---

## IX

Wszystko dalej snuło się tak jak poczęło, a przybycie jednego więcej członka rodziny królewskiej, oprócz sporów i kwasów, nic z sobą nie przyniosło. O wojsku nowo zaciągniętem ucichło, ale go nie zmniejszano; wyprowadzono tylko z tych miejsc, w których się naprzykrzyło do zbytku i ów Magnus, przeciwko któremu nie mianując go podnosiły się

głosy tak gwałtowne, pozostał spokojnie w królewskich usługach.

Król żył jak był nawykł, nagniewawszy się na królowę, że go napominała, trochę tylko ostrożniej, a gdy było można, schodząc jej z oczów.

Pac go namówił pod pozorem łowów zimą do Zalesia, gdzie zapadł tak ciężko, że go do Warszawy przynieść musiano nazad. Nieprzeszkodziło to do wydania nadzwyczaj wspaniałego bankietu na Ś. Kazimierz, imieniny królewskiego jedynaka, w czasie którego król był jak najlepszej myśli. Choroba ustąpiła nagle.

Wiosną zbliżał się termin sejmu nowego, który uprzedzając Władysław, rozpisywał listy do senatorów, domagając się, aby przykre i upokarzające dla niego uchwały poprzedzającego sejmu zmieniono.

Nie co innego to znaczyć miało, tylko cofnięcie przymusu co do wojsk zaciągnionych i domagań oddalenia cudzoziemców.

Dlaczego tak późno król dopiero uczuł się obrażonym? trudno było wyrozumieć.

Sejm wreszcie nroczyście nabożeństwem u Ś-go Krzyża otwarty, rozpoczął się ogólnemi dezyderjami. Pomiędzy niemi była wzmianka o cudzoziemcach znowu, którą król posłyszawszy, mocno się zmarszczył, łaskę wziął i wyszedł z izby.

Czem sprawa o Trubczesk była dla przeszłego sejmu, tem dla teraźniejszego stały się obalane krzyże w radziwiłłowskich dobrach (u ks. Janusza), sprawa o Hadziacz między wojewodą ruskim a chorążym koronnym, naostatek i spór królewiczów Karola z Kazimierzem o dobra Żywiec. Ci bracia już się nie widywali z sobą i nie mówili do siebie.

Przez cały czas trwania sejmu o zaciągach wojskowych nie było mowy. Król, gdy mu było potrzeba, chorował, a nawet z łóżkiem się do izby sejmowej kazał przenosić.

W ogóle sejm ten miał inny jakiś charakter, i wy-



jawzzy sprawy z dyssydentami o krzyże, prywatne największe grały rolę.

Dochodziło to aż do cynizmu.

Podstarościeму Kiersnowskiemu król obiecał był pisarstwo nowogrodzkie, a potem mu go nie dał.

Nie mógł Kiersnowski znieść tego, aby się nie pomścić. Gdy tedy pod koniec sejmu kanclerz bardzo zręcznie wsunął żądanie króla, aby rzeczpospolita zapłaciła dług zaciągnięty na wojsko cudzoziemskie, podstarości wstał i począł dowodzić, że to wojsko było bezprawnie, przeciwko paktom zebrane, że król wiedział, iż nie miał prawa do tego, a przecież to uczynił, zatem, niech przynajmniej sam płaci za własną winę. To powiedziawszy Kiersnowski obrócił się do słuchaczy i dodał.

— Oto tobie królu pisarstwo!

Sam koniec sejmu, jak zwykle z dnia na dzień przewiekany, potem nagłony, nikogo nie zaspokoił.

Ale król się zbytnio na tok rozpraw uskarżać nie mógł. Obalone krzyże, Hadziacz, pomniejszych sprawy zabezpieczyły go od słuchania wymówek i nalegań.

Wszystko zostało jak było na dworze, z tą różnicą, że Kazimierza z Karolem pogodzono, choć z trudem niemalym. Nowo przybyły ex-kardynał dał się w czasie sejmu użyć jako rozjemcy w kilku ugodach (Hadziacz), ale dowiódł razem, że do tego wielkich zdolności nie miał.

W lecie Władysław się począł wybierać na Litwę dla łowów, w rzeczy zaś, aby w Warszawie na zamku, gdzie był na oku królowej, nie siedzieć.

Dzień wyjazdu był już naznaczony, gdy Adam Kazanowski na trzy dni przedtem rano wszedłszy do sypialni zastał Władysława z twarzą posępną, zadumanego jakoś dziwnie. Nie była to troska dni powszednich, ale coś co go nie drażniąc dotknęło. Kazanowski wiedział, że gdy szło o pospolite nieprzyjemności, którym zaradzić było w mocy ludzkiej, król

zżymał się i niecierpliwił; tym razem był tylko smutnym.

Z troskliwością począł go rozpytywać Kazanowski. Władysław ręką potarł czoło zasepione.

— Sen miałem — rzekł — który zostawił po sobie wrażenie, i pozbyć się go nie mogę.

Zaczął nalegać Adam o to co się mu śniło.

— Widziało mi się — odezwał się król głosem zmienionym — że nieboszczka matka królewicza chciała go z sobą wziąć w jakąś podróż. Ja nie chciałem na to pozwolić, dla złej pory, na co mi Cecylia odpowiedziała, że syna swojego na pewne miejsce zaprowadzi.

Kazanowski starał się rozproszyć myśli tęskne, tłumacząc sen przygotowaniami do podróży, i Władysław łatwo zmieniający usposobienia, zwolna się rozburmurzył.

Okolo południa jednak posłał się dowiedzieć o królewicza i zażądał go widzieć. Powiedziano mu, że z dozorcą wyszedł na przechadzkę i miał wracając z niej chorych wojewodzców pomorskich odwiedzić.

Wieczorem królewicz zasnął i położył się w łóżko; dostał biegunki krwawej. Zaniepokoiło to dwór cały, króla, królowę i poruszyło lekarzy, których natchmianem wezwano.

Było to we wtorek. W nocy wywiązała się gorączka bardzo silna, ale niebezpieczeństwa nie widziano jeszcze i króla starano się uspokoić.

Przypadkiem drugiego dnia posłany ks. de Fleury od królowej do niego, zastał go niespokojnym i poruszonym; przecucie jakieś dręczyło go.

— Mój ojciec — zapytał pocichu i nieśmiało — chciał-żeby Bóg za grzechy moje karać mnie odbierając skarb jedyny? Tohy było okrucieństwo.

Zmięszany kapłan nie mógł odpowiedzieć inaczej, jak wyrazi ogólnemi pociechy i nadziei.

Tymczasem już lekarze utracili wszelką nadzieję uratowania biednego dziecięcia, które pomimo cho-

roby i gorączki, z dziwnym spokojem zdawało się na śmierć gotować.

W piątek wieczorem Zygmunt kazał sobie podać gromnicę i odezwał się słabym głosem.

— Dziś się spodziewam oglądać Matkę Bożką.

Wkrótce potem modląc się chłopię niewinne zmarło spokojnie.

Niewysłowiony zamęt sprawiło to na zamku. Nie śmiał nikt oznajmić o tem królowi, który posyłał do wiadywać się ciągle, i odbierał odpowiedzi, że dziecię chore jest bardzo. Posłano po Kazanowskiego, gdyż królowa, cała we łzach, nie miała odwagi iść z tem do męża.

Marszałek nadbiegł, gdy Zygmunt już leżał martwy, z dziecięcym na ustach uśmiechem. Książę Karol i Kazimierz byli już tutaj, a pierwszy z nich molitwy odmawiał.

Ponieważ nazajutrz naznaczony był wyjazd na Litwę, zdawało się, że król go zwlecze z powodu tego zgonu i znużenia, bo w ciągu ostatniego dnia choroby nie miał nic w ustach, płacząc ciągle. Kazanowski postanowił nie kryć dłużej nieszczęścia.

Wchodząc do sypialni już takie miał żalobne oblicze, iż się z niego domyśleć było można katastrofy. Kazimierz i Karol szli za nim. Zobaczywszy ich Władysław oczy sobie zakrył. Nie potrzebowali mówić, wiedział co mu przynieśli.

Przez długi czas nie mówiąc nic, król plakał.

Weszła królowa z kondolencją także, ale pozostała krótko. Nieporuszony na łożu, trwał tak do późnej nocy, poczem przywołał Kazanowskiego.

W umyśle jego zaszedł jakiś zwrot nagły; począł gorączkowo wydawać rozkazy do pogrzebu syna.

Ciało miano do Krakowa, do królewskich prowadzić grobów.

O sobie nie mówił król nic, milczał lub urywanymi słowy dawał dodatkowe rozkazy, lecz widać było stopniowo nadechodzące uspokojenie.

Kazanowski, który go znał dobrze, wiedział, że w głębokim żalu nie wytrwa, że natura, temperament każą mu natychmiast szukać rozrywki jakiejś, roztargnienia, zapomnienia.

Zatapiać się w goryczy i smutku nie było jego zwyczajem, gniewał się, burzył, ale wybuch trwał krótko, i po nim często najsprzeczniejsza wesołość wracała.

Z tem wszystkiem wyjazd na Litwę, dokąd królowa towarzyszyć miała mężowi, zdawał się tak rychło niepodobieństwem; a stało się nad wszelkie spodziewanie przeciwnie, gdyż Władysław zapytany o tę podróż, zamruczał, że rozkazy były wydane i że zmienne nie będą.

W kilka dni potem w Grodzieńskiej puszczy w Iziorze, król strzelał do łosiów, które w ostępie sieciami otoczonym napędzano, i w pierwszych łowach padło ich trzydzieści osiem sztuk \*).

Dla wielu co Władysława nie znali zdawna, ta pozorną obojętność po śmierci syna jedynaka, gdy nie miał już nadziei dochowania się potomstwa, wydawała się niepojętą.

Ale pod tą skorupą lodowatą, którą wyrobiły obyczaje, którą może czynił twardszą rodzaj męskiej dumy, niechęcej się poddać boleści, Władysław cierpiał straszliwie.

Od tej śmierci syna zobojętniał na wszystko prawie co nie było namiętną rozrywką, mogącą mu dać zapomnienie, rodzaj upojenia i znieczulenia. Magnus napróżno się go starał rozgrzać polityką, inni zabawiać zaciągami ulubionemi, przygotowaniami do wojny, projektami przyszłości na Wschodzie. Władysław słuchał o nich jakby echo dni ubiegłych dochodziło jego uszu, nateraz było mu to już obojętnem. Starania o rozpoczęte sprawy poruczał drugim.

---

\*) Rmp. Desnoyers.

Jedno tylko uczucie pozostało żywym z dziejów tych pogrzebionych — żal i gniew przeciwko szlachcie, iż mu stanęła oporem w chwili, gdy marzył o wielkiej wyprawie na pogan.

Na listy zaporozców kazał odpowiedzieć z łaskawością wielką, a wieść chodziła, że jednemu z potajemnych posłów od Niżu, skarżących się na ucisk panów polskich nad ludem tamtejszym, miał burknąć gniewnie.

— Macierz przecie szable i kopiel brońcie się i krzywdy sobie szlachcie nie dajcie czynić.

Słowo to, prawdziwe czy narzucone królowi, padło jak iskra w posuchę na wiszary. Kozaczyzna ruszać się butnie zaczęła, króla czując za sobą.

W tym czasie też kanclerz Ossoliński zawezwał do siebie Płazę, listy dla niego gotowe były, miał je natychmiast na Niż odwozić.

Chociaż spodziewana, wiadomość tak jak piorun spadła na Lasotę. Tegoż dnia z Lackowiczem na radę poszedł do ks. Stoczka. Spełna nie wiedział co pocznie.

Listów z powrotem na Niż, a choćby tylko do Kijowa, odwozić nie chciał. Wiedział, że Parfen go podejrzewał i przez mnogich potajemnych kozacych posłów znać musiał dać starszyźnie o tem. Choćby więc jechał z listami, był pewien, że go tam pochwycą, uwiężą lub stracą, nie słuchając uniewinnienia.

Zostać wprost w Warszawie, czyniąc się chorym, nie było też bardzo bezpiecznem. Jeżeli starszyzna podejrzewała go o odstępstwo i zdradę, a chciała się pomścić, łatwo i tu pod boki króla, mogła znaleźć środki sprzątnięcia go. Dość na to było jednego Parfena, a Płaza i Lackowicz wiedzieli, że on tu pewnie sam nie był.

Stoczek słuchał sprawy skłopotany.

— Mój Lasoto — rzekł — jam żaden dworak i polityk, wszelką rzecz wedle prawa Chrystusowego mierzę i rozsądzam. Służyłeś im, póki ci sumienie po-

zwałało, nie zdradzając ze służby wystąpić masz prawo, otwarcie, spokojnie.

— Ale oni niechybnie mścić się będą! — wtracił Lackowicz.—Jedyny sposób ująć potrzeba.

Drugiego dnia po bezowocnej naradzie u ks. Stoczka, Płaza się musiał stawić do Ossolińskiego, który listy już miał gotowe. Zabrać je zaniedbać, było niebezpieczniejszem nad wszystko. Płaza, który po nadaremnych obradach, w końcu na własny rozum spuścić się musiał, poszedł w oznaczonej godzinie do Ossolińskiego.

Przyjęcie i odprawa tym razem niewiele się różniły od pierwszych.

Lasota odebrał listy i wiatyk mu wyznaczony na podróż, i poszedł z niemi do domu. Lackowicz czekał na niego.

Płaza się rozdział do koszuli i położył w łóżko.

— Idź Parfena sprowadź do mnie—rzekł—inne go ja wyjścia nie widzę... Szukaj na mieście, około gospód na Długiej ulicy, gdzie chcesz, a wcześniej mu oznajm, że m chory, w kościach mam łamanie takie, iż mi na koń się nie podobna.

Niedługo na Parfena czekać było potrzeba, jak gdyby już wiedział poco go tu zawołano, z dumno-szyderskim uśmieszkiem wszedł do dworku i do łóża Płazy.

— Hej! hej!—zawołał żartobliwie—co ja to widzę, a wy w łóżku? albo to kozakowi przystało?

Płaza się zmięszał.

— W kościach straszne łamanie — rzekł—jużem maści różnych próbował, nie pomaga nic.

Kozak śmiał się pod wąsem.

— U nas pogadanka taka, że maści niema jak dębowa—zamruczał.

— Ani ręką ani nogą ruszyć — przerwał prędko gospodarz — podając czarke wódki gościowi, którą przyniósł Lackowicz.



— Za wasze zdrowie—wychylił Parfen—bodajeśmy łycha ne znaly.

—Mnie ta choroba właśnie nie w porę—ciągnął nie zważając na urągający ton z jakim Parfen się odzywał. — Listy mi odpowiednie dano, trzebaby jak nie dziś to jutro zaraz na koń, bo tam pewnie stoi co pilnego, a tu ja niezdrow.

— El el—rzekł chytrze Parfen — jakby listy poczekały dzień, dwa, nie zaśmierdzą się przecie. To nie zwierzyzna, ani ryba.

— Żebym ja wiedział, że za parę dni ozdrowię—rzekł cicho Płaza—ale ja tego pewnym nie jestem. Radź ty mnie... co robić?

— Hm — rzekł Parfen—kiedy w Lackowiczu zaufanie macie, niech on na waszą odpowiedzialność jedzie.

Lackowicz i Płaza spojrzeli na siebie, porozumiewając się. Kozak ich brał na próbę.

— Ja Carycy wierzę jak sobie samemu — odpowiedział Lasota — ale się o jedno boję. Czasem jak poczuje pot... szaleje. Naówczas zapomina i o sobie i o wszystkim, a gdyby nie listy królewskie, ale choćby nie wiem jakie z nieba od aniołów wiozł, gotów się rzucić, i gardła i ich nastawić.

Parfen głowę z ramienia na ramię przechylał.

Milczeli, a Płaza wódki nalał powtórę, Parfen ją wychylił, językiem mlasnął, bo mu smakowała i zamyslił się.

— No, co?—spytał Płaza.

— No, co?—powtórzył kozak—albo ja wiem...

— Gdybym i pojechał — ciągnął stękając gospodarz—sam jeden, oblegnę gdzie w gospodzie, a chowaj Chryste jakiego przypadku, listy się mogą dostać w ręce takie...

Zamilkł moment krótki.

— Mnieby się widziało—dodał poczekawszy—gdybyś ty odemnie i pieniądze na drogę i pisma wziął,

a jechał z niemi sam. Weź i konia bodaj... toby było najbezpieczniej.

— Chytro! — szepnął Parfen pocichu — a no, ja, batku, kiedy mnie na czacie bywało postawią a zapomną, to ja trawę jem i korzonki a nie zejdem ze straży. Ja tu także może na czatach... sam nie wiem, ale przykazanie mam nie odchodzić.

Płaza głową pokręcił.

— Już nie wiem co pocznę.

— Ja też niemądry — dołożył kozak. — A no — wtrącił śmiejąc się — wódka u ciebie dobra — ty ją chyba w aptece bierzesz, bo aptekarze słyszą robią najlepszą.

Zamyślony Płaza nie odpowiedział, ale skinął aby nalano jeszcze kubek Parfenowi, który pił jak wodę, i ani się nawet zarumienił.

— Jąbym tobie radził choć wozem a jechać — rzekł po małym odpoczynku. — Prawda, że naszemu bratu na wozie jak baba z garnkami z jarmarku wlec się, srom, ale kiedy w kościach łamie...

— I nogi mi ponapuchały — dodał Płaza.

Parfen spojrział ku nogom jakby to chciał sprawdzić, ale gospodarz ich nie odkrył.

— Co wóz pomoże! — westchnął.

— Bieda! — zamruczał Parfen.

Zamilkł i po izbie chodzić począł.

Lackowicz, który w to wierzył, że umiał kozaków sobie jednać, wziął go pod rękę i szeptał coś do ucha.

— Do jutra! — rzekł Parfen — przyjdę zrana, zobaczemy...

Bietka niezupełnie wtajemniczona, wiedząc tylko, że ojciec miał jakąś troskę, narady, niepokój, chciała od niego dowiedzieć się o wszystkim, wierząc w to, że i jej rozumek mógł się na coś przydać. Ale Płaza ją w czoło całował i zwierzać się nie chciał.

— Jechać nie pojedę za nic — mówił. — Dziecka nie porzucę, a choćbym nawet ją wydał i o los się

ubezpieczył, co ja tam robić będę? Oni nie na tatar, ani na turka, ale na polską szlachtę szable ostrzą, a jabym miał z nimi na swoich iść?

Lackowicz też, choć szlachty nie lubił, ale lachem się czuł, a mścić się nie miał ochoty.

— Ja też na Niż nie powrócę—rzekł—a nie znajdę służby tu, zaciągnę się do cesarskich, albo do francuzkich pułków, jeżeli oni je złożą.

Plaza w nocy pomyślał, że choćby mu przyszło córkę zostawić u ciwunowej, a samemu nocą w Krakowskie zbiedz, i na to był gotów.

— Ja z tobą—dodał Lackowicz.

Zrana czekali Parfena do południa prawie. Nadszedł już trochę podweselony a bardzo butny. Siadł u łóżka Plazy.

— No? a co kości twoje?

— Gorzej niż wczora. Męczyłem się przez całą noc—rzekł Plaza.

— No, to niema z tobą co poczynąć—dodał Parfen—dawaj mnie listy, ja już będę wiedział co z nimi robić. Jeszcze u ciebie sumienie jest, żeś ich nie zniszczył.

Oburzył się Plaza, a kozak go po ramieniu poklepał.

— Nie sierdź się—rzekł — chytry jesteś, ale bywają gorsi od ciebie. Gdzie te listy?

Plaza dobył chustę zawiązaną z pod poduszki i pokazał ją. Parfen popatrzył na pieczęcie czy były nienaruszone i z poszanowaniem zawinął znowu. Dobył jeszcze jedną chustę własną, obmotał w nią papiery i za pazuchę założył głęboko pod koszulę.

Tymczasem Plaza dostawszy sakiewkę liczył na brzegu łóżka złotą i srebrną monetę, którą mu Ossoliński dał na drogę. Parfen milczał, wódkę popijając.

Nie sprzeczał się o pieniądze, ani ich wymagał więcej, dumał..

— Zbyliście się ciężaru — szepnął przerywając

milczenie—zdaje się wszystko skończone... he? ale ja nie wiem co na to starszyzna powie. Może ty jej byleś potrzebny, może ty nasze sekrety dniewowe, nasze schówki i niedostępne znasz kryjówki? Myślisz, że tobie z tem po świecie dadzą chodzić, gdyby się wojna rozpocząć miała? Nie wiem, a jabym nigdy takiego nie żywił, coby moje życie trzymał w garści.

Wtem Plaza zaklął się, że o żadnych nie wiedział tajemnicach.

— Albom to ja do rady należał? — odparł.—Chodziłem, gdy było potrzeba i biłem się, a w koszu nie rządziłem.

— Ale tyle lat po ostrowach ty naszych pływał i chodził—mówił— z ciebie przewodnik dla naszego nieprzyjaciela byłby straszny.

— A któż tu wasz nieprzyjaciel? — zapytał Plaza. Parfen mu nie dał mówić dłużej.

— Kto? wy tu wszyscy nasi nieprzyjaciele, bo my naród chłopski a wy panowie szlachta i króliki. Wy tak samo nas głaskacie i płacicie jak i tatarów, i tak samo użyć gotowi, a gdyby się nadarzyła zrzeczność, w pień wysiec. Z królem to co innego. Szlachta z nim się zadziera, my jemu pomódz gotowi...

Wtem jakby się opamiętawszy, że nadto był szczerym, dopił nagle wódki, dłonią się po ustach uderzył.

— Milczeć!—zawołał po rusku.—Tu u was w Warszawie nawet my się zarażamy gadaniną, i sami siebie zdradzamy.

Wstał Parfen rękami jeszcze opatrując, czy zabrane listy dobrze mu do piersi przystały.

— No, batku ne batku — rzekł wesóło — bo już was nie wiem jak teraz zwać, bogdajbyście się prędko na nogi podnieśli i wyzdrowieli.

Siecz, kto to wie, gdybyście chcieli, i tuby się wami posłużyć mogła. My też panów rezydentów potrzebujemy, jak oto ci co tu na dworze siedzą od różnych niemców... tylko nasz rezydent musi przestać

na czosnku i gorzałce, bo my mu nie damy dużo... ale o tem gadać niepora.

Lackowicz wtrącił śmiejąc się i klepiąc go po szerokich plecach.

— Lepszego rezydenta jak wy nie dostaną.

Parfen głową zaprzeczył.

— Nie--rzekł -- bo ja na zamek nie pójde i rozmówić się z panem bratem nie umiem. Nim do mnie co dojdzie, tyle gąb przeżuje, naślini, poszarpie, że już nie poznasz co to było.

Jerema to co innego.

Nałożył kolkpak na głowę.—Zdrowi bądźcie.

— A wy, zajdźciez-bo do nas czasami — rzekł Płaza żegnając się.

— Niepotrzeba, aby mnie ludzie u was widywali — odparł kozak — ani to dla mnie zdrowo, ani dla was. Zechcecie co odemnie? Ja się kręcę koło gospód na tej Długiej ulicy, mnie nadybać łatwo, jam na nogach cały dzień.

Bietka, która pode drzwiami wszystkich prawie tych rozmów podsłuchiwała, niespokojną będąc o ojca, trochę się teraz o niego mniej obawiała; ale dla niej życie nowe, po długiem nawyknienu do ruchu i zajęć u dworu, do obyczajów jego, nawet do powszednich warunków, dość wydawało się smutnem. Była tu więcej panią czasu swego i czynności, lecz nie wiedziała jak rozporządzić niemi.

Myśli jej doleciały do biednego Nietykszy, spoglądała na pierścionek, powtarzała sobie co słyszała o starej matce, niepokoiła się tem, że jej o sobie znać nie dawał i nie powracał. Być zresztą mogło, że na dwór księcia Albrechta już się dostał, ale kanclerz należał do tych magnatów ówczesnych, co nigdy prawie nie siedzieli w miejscu. Kilka tygodni w Olyce, potem w Wilnie, to w Krakowskiem, to w stolicy, dwór i on zimę i lato w nienastannych spędzali wędrówkach.

Muóztwo interesów prywatnych, familijnych, urzę-

dowych, przyjacielskich, sprawy w sądach niezlezione ks. kanclerzowi spoczywać nie dozwalały. Można też się go było i w Warszawie spodziewać.

Tęskniąc za Nietykszą, Bietka codzień się spotykała z pięknym Lackowiczem, który w początku się jej wydał rubasznym do zbytku, ale wielką służbi-  
tością powoli życzliwość pozyskał.

Prawda, że rozmowy z nim prowadzić o czem innym jak o Siczy, lub o bardzo powszednich rzeczach, było trudno. Słuchał rad, mówić nie miał co. Czasem gdy dziecięce lata swe o głodzie i chłodzie przypominał, stawał się wymownym.

Bietka dla niego jak wielka pani jakaś i królowa wyglądała; ale też czczył ją i miłował jak chyba asceci Boga kochają.

Nie marzyło mu się nawet, aby mógł więcej do niej się zbliżyć, choć Płaza żywił w głębi serca nadzieję, że córkę wyda za niego.

Lepszego opiekuna znaleźć dla niej nie mógł, a o kochaniu, miłości i szczególnem przywiązaniu do kogoś, obyczajem wieku, wcale wiedzieć nie chciał. Według jego teorii przystojny mężczyzna czemu się nie miał podobać? Ten czy inny, byle na przyszłość rękojmie dawał uczciwego pożyicia.

Stary tej swej Bietki rozmarzonej i zepsutej na dworze królewskim, wcale nie rozumiał. W niej wiele dobrych przymiotów mieszało się w całość szczególną z wadami i dziwactwami, które wpcięło ocieranie się o najbezwstydniejsze służalstwo. Miała porywy szlachetne i chętki złośliwe...! mściwą była, nieufną. A to, że jej się na dworze w pośród tylu i tak rozmaitych zręcznych, wsławionych intrygantów zawsze udawało wychodzić zwycięzko, wbijało ją w dumę.

Dwa razy Nietyksza za nią krew przelewał — czuła się mu wdzięczną i obowiązaną, ale matki jego nie nawidziła. Czuła się coś wartą...

Tylu zabiegało około niej, gdy była na dworze,



iż mogła sobie zamażnąć szczęśliwe i zamożne obiecywać.

O Lackowiczu, który trochę się jej wydawał stary, a był dla niej za poślednim człowiekiem, ani pomyślała nigdy.

Ale im dłużej litwin jej kazał czekać na siebie, tem się jej duma czuła mocniej podrażnioną.

— Słowa mu dotrzymam — mówiła sobie — ale... za krew mu płacę mojem upokorzeniem. Cały świat rozpowiada, że ona mnie nie chce.

Kiedy niekiedy to panna Duret z drugą towarzyszką do dworku na Nowe miasto, to Bietka zaudzona sama biegła na zamek dowiadywać, co się tam dzieje.

Tam zaś to tylko było widocznem, że królowa rosła w potęgę, a król obojętniał na wszystko. Miewał napady niecierpliwości dochodzące prawie do szaleństwa, a po nich wpadał w odrętwienie. Od śmierci syna sprawy publiczne obchodziły go tylko o tyle, o ile miłość jego własną drażniły lub jej pocholebiały.

Pac jak był wprzód, pozostawał na tym upadłym urzędzie, który mu jedna łaski pana, ale u ludzi pogardę. Tylko z obawy kłaniano mu się, przyjaciel nie miał wcale.

Królewicz Jan Kazimierz, co odrazu było przewidzianem, a nieznośnie męczyło królowę, panny jej fraucymeru prześladował miłostkami swemi, z których nie miał najmniejszej korzyści. Wzdychał do pięknej panny Duret, a że des Essarts nad fraucymerem panowała, nadszkakiwał jej, co wszystko szło marnie. Obok panny Duret, tych fantazyj w postaci panien, wdów, mężatek, ex-kardynał tyle razem żywił, iż gdy mu się tu nie powodziło, miał się gdzie pocieszyć.

On i książę Karol brat jego, były to dwa tak sprzeczne charaktery, iż z sobą w parze nigdy iść nie mogły. Biskup wrocławski siedział zamknięty, modlił się, pisał sam wszystkie domu swojego rachun-

ki, sprowadzał do ogródka drzewa, cebule z Holandyi, nasiona, niekiedy sam kopał grządki, od ludzi stronił, czasu wiele spędzał na nabożeństwie, a na kobiety patrzeć nawet nie chciał. Nigdy się do żadnej nie zbliżył.

Jedną wadą jego charakteru było, że się czasem unosił gwałtownie, a naówczas zapominał aż do ostateczności.

Jan Kazimierz niespokojny, zgorzkniały, skwaszony, zazdrośny, kapryśny, coraz pragnący czegoś innego, był prawdziwem utrapieniem dla tych, co z nim obcować musieli. To też na zamku teraz panowało zamieszanie i prawdziwa wieża Babel. Jedna królowa powagą swoją czasami umiała powściągnąć Kazimierza, który ją szanował i był posłusznym.

Ponieważ król chorzał ciągle i nikt mu długiego nie obiecywał życia, bo najmniejsza nieostrożność mogła wywołać przesilenie choroby śmiertelne, wielcy statysci zawczasu już przebąkiwali kto weźmie po Władysławie spuściznę.

Ale szeptano pocichu.

Stan duchowny nie był na zawadzie księciu Karolowi, bo papież jak uwolnił Jana Kazimierza od jego ślubów, tak mógł i brata jego sekularyzować.

Poza tą dynastją, w której jeszcze jakaś kropelka krwi jagiellońskiej płynęła, nie wybiegano dalej myślami. Byli to kandydaci naturalni...

W jednej ze swych wycieczek do zamku Bietka, która tu zawsze się odżywała, rozweselała, spotkała w korytarzu niejakiego Tołoczkę, dworzanina kanclerza.

Był to dobrze jej znany przyjaciel Nietykszy.

— A wy tu co robicie?—zapytała go.

Listy przywiozłem do króla JMci od kanclerza — rzekł Tołoczko. — Pytałem o was, powiedzieli mi, że już zamek opuściliście.

— Wygnali mnie! — śmiejąc się odezwało dziewczę.

— Wydawałam się tak niebezpieczną...

Rozmowa w korytarzu nie była wygodną.

— Przyjdźcie do mnie, mieszkam z ojcem — odezwowało się dziewczę.

Nazajutrz rano przystawił się Litwin. Plazy i jego przyjaciela nie było, ale Bietka choć sama, przyjęła go.

Nie śmiała pytać o Nietykszę, bo jej wstyd było; sam jednak Tołoczko się domyślił, że ciekawą być musiała.

— Nietykszy matka nie puszcza od siebie—rzekł z uśmiechem — gwałtem go żenić chce, ale dotąd się jej nie udało.

Bietka milczała.

— Panny wszystkie piękne a dobiera mu majątnych—mówił otwarcie gość—ale on na żadną patrzeć nie chce.

Z rumieńcem na twarzy słuchało dziewczę, gdy Tołoczko wyliczał jej wszystkie znajome sobie na wydaniu panny, opisując jak wyglądały.

— Już to—rzekł — żadna tam niestraszna, krom panny Ponikwickiej, bo ta i piękna jak anioł... choć od was niepiękniejsza—poprawił się Tołoczko—i trzy wsie ma w posagu, a gotówką, mówią, kilka jeszcze tysięcy. Stara Nietykszyzna jej krewną, więc ją do siebie do domu zabiera i po całych tygodniach trzyma. Choć syn na polowanie jeździ i wymyka się, przecież czasem w domu siedzieć też musi...

Puścił się tak Tołoczko niepotrzebnie w opowiadanie, którego ani jednym słowem nie przerywała Bietka, ale gdy skończył, pożegnał się i odszedł, głowa się jej zakręciła, lzy rzuciły i zemdlała.

Trwało to chwilę tylko. Wstała mężną, a że po płaczu nigdy oczu umywać nie miała zwyczaju, gdy ojciec powrócił, zastał ją z tak zaczerwienionemi powiekami, iż natychmiast spytał niespokojny.

— Co tobie? tyś płakała?

Bietka usiłowała się uśmiechnąć.

— El—rzekła—co za dziw, że głupia dziewczyna popłaczel Niema tam nic.

— Za czemże i za kimbyś ty miała te swoje śliczne wypłakać oczy? — mówił dalej Plaza ramionami niecierpliwie poruszając — dałabyś sobie pokój! Na niczem ci nie zbywa i nie zbędzie, a jak zechcesz zamąż iść, znajdziesz sobie...

— Ale ja zamąż iść nie myślę wcale! — przerwała gwałtownie Bietka—ani mi w głowie!

Zakręciła się i wyszła.

Tego dnia i następnego okręcała ciągle na paluszku zaręczynny pierścionek, pytając się siebie.

— Odesłać go, czy nie?

Zdawało się jej jednak, że Tołoczko mógł jeśli nie kłamać to dokładać, a kto wie? nawet może na mówionym być przez starą Nietykszynę.

Postanowiła więc czekać, gdy wtem wypadki nadeszły, które jej całkiem o Nietykszy zapomnieć kazały.

Po oddaniu listów kanclerza kozakowi, Plaza długo w łóżku wytrzymać nie mógł. Parfena też widać nie było i wnosił ztąd on i Lackowicz, że pewnie sam z niemi na Niż wyjechał, obawiając się je powierzyć komu. Nie potrzebował więc Plaza w łóżku się męczyć i ukrywać z sobą, bo z kanclerzem choćby się gdzie spotkał, tenby go pewnie ani przypomniał, ni poznał.

Wstawszy on i jego towarzysz poczęli wychodzić na miasto, zbierając do dworku co jeszcze do gospodarstwa brakowało. Stary Lasota uspokoił się co do listów zupełnie i obu im z wiernym towarzyszem zdawało się, że sprawa ubita, a na Siczy nałajawszy im, więcej o nich myśleć nie będą.

I jednego wieczora Plaza znndziwszy się sam jeden, bo Lackowicz aż na Skarzyszew za czemś poszedł, wymknął się z dworku, obiecując, że rychło powróci.

Tymczasem dobrze zmierzchło, Lackowicz z kupią

przyszędł, wieczerza była gotowa, Plaza nie powracał..

Rzadko się trafiało, aby się spóźnił, ale nie była rzecz niepraktykowana, nakryto więc do stołu; czekała Bietka od okna do okna chodząc, potem na ganek i aż do wrót, coraz bardziej niespokojna. Wreszcie i wierny towarzysz począł się troskać, co mu się to stać mogło. Chwycił za kołpak i wybiegł.

Noc Nadeszła. Lackowicz nigdzie go nie napytawszo, przyszedł pewien, że doma już zastanie. Znalazł tylko Bietkę rozgorączkowaną, poruszoną, przełękłą. Plazy nie było.

Musiał mu się trafić przypadek jakiś, gdyż nigdy się tak nie zapominał, i nie kazał czekać na siebie. Przyznawał towarzysz jego, że w istocie nie było to bez kozery; ale dokąd iść? gdzie pytać? jak szukać?

Całą noc paliło się światło, siedziała Bietka popłakując, a Lackowicz chodził około dworku jak na warcie. Nadszedł ranek... Plazy nie było.

Oznajmiwszy się córce, iż idzie szukać i pytać, smutny i bardzo sam zatrwożony, Lackowicz się puścił na miasto. A że Parfen kręcił się około gospód na Długiej ulicy i tam było można najpewniej go spotkać, poszedł naprzód od jednej do drugiej wypatrując.

Kozaka nie było nigdzie, a o Plazie żadnej wiadomości.

Nie mając innej wskazówki, pochodziwszy około zamku, przebłądziwszy przez ulic kilka, zajrzawszy do izb pod wiechę, Lackowicz już zpołudnia miał wrócić do dworku, gdy u bramy na Krakowskiem spotkał się z jadącym konno Parfenem.

— Stój! stój! — zawołał podchodząc i za cugle chwytając.—Nie wiecie co o Jaremie?

Parfen ramiona do góry podniósł.

— A tóż chory leży!

— Nie, wstał wczoraj — odezwał się Lackowicz,

o kiju poszedł się przejść na miasto, i niema go dotąd.

— Zachorzał pewnie gdzie—rzekł obojętnie kozak.

— A wy zkąd jedziecie?

— Ja?—odparł Parfen—ja sobie tak w pole trochę ruszył, bo mi tu było duszno w tym smrodzie.

To mówiąc Parfen, na konia cmoknął i pojechał.

Z niczem do dworku powróciwszy kozak i Bietki nie zastał. Ta pobiegła na zamek do Bieleckiego o radę prosząc i o to, ażeby miejscy pachołkowie na mieście się dowiadywali.

Sama nie wiedziała co począć, straciła głowę. Laskowicz chodził jak zabity.

Upłynęło dni dwa, trzy, nie zmieniło się nic, tylko Parfen przyszedł do dworku dowiedzieć się o Jareme; a gdy mu powiedziano, że go nie było i słuchu o nim nie miano, zasepił się, potrząsnął głową i poszedł.

Bietce na zamku nie poszczęściło się, bo naówczas w mieście ani na dworze nie było takiego porządku i pilności, aby zagubionego człowieka inaczej jak wypadkiem znaleźć było można. Poruszyła ona wszystkie sprężyny, zaniepokoiła wszystkich, a skończyło się na tem, iż zniknięcie Płazy złożono na owe zaciągi cudzoziemskie, które rozłożone około Warszawy, tu jak wszędzie sobie bezkarnie pozwalały wiele.

Gdyby jednak zabitym był Płaza, znalazłoby trupą około miasta, i na tych pustych placach, na których po nocach rozbijano. W żadnej z gospód nikt go nie widział. Było coś dziwnie tajemniczego w tem nagle, bez najmniejszego śladu zniknięciu człowieka spokojnego, który nigdy nikomu wody nie zamącił, a powierzchownością skromną nie mógł rabusiów znęcić. Był zaś, mimo wieku, tak silny, że się dwu i trzech nie uląkł, i bez szabli swej krokiem z domu nie ruszył nigdy.

Bietka ze łzami dotarła aż do królowej, rzuciła się jej do nóg. Ale Marya Ludwika nic jej poradzić nie mogła. Marszałek zaś Kazanowski, którego ci-



wunowa uprosiła, swoich pacholków porozsyłał, zalecił im szukać, dowiadywać się, naznaczył nawet nagrodę, a i to nie pomogło.

Ks. Stoczek codzień na intencję przyjaciela odprawiał nabożeństwo.

Upłynęło tak tygobni parę, a Lackowicz, który dotąd mieszkał we dworku, zmiarkował, że tu mu teraz, gdy jedno dziewczę samo zostało, nie wypada siedzieć dłużej. Związał więc mały węzelek swój i zwątpiwszy już o Plazie, myślał ruszyć do Krakowa. Bietka uprzejmą była dla niego, ale nie okazywała najmniejszej czułości, ani nawet dopominała się opieki.

Gdy jednak przyszło mu dworek i Warszawę opuszczać, poczuł taką jakąś tęsknotę i trwogę, że mu sił zabrakło.

Z dworku musiał się wynosić. Jednego więc rana, związawszy rzeczy, poszedł do Bietki.

— Mnie tu nie ma co robić — rzekł poprostu — a widzi mi się, nie mogę ja z wami tak mieszkać, ni przyjaciel, ni sługa. Zechcecie co odemnie...

Nie dała mu dokończyć Bietka.

— Cóż wy myślicie poczynąć?

— Służby sobie szukać.

Zamilezała, wcale go nie wstrzymując.

— Ojciec mi mówił—dodała po chwili — że wam winien wiele. Potrzebujecie czego, mówcie mi otwarcie. Lackowicz głową potrząsnął.

— Ojciec was — rzekł — dał mi już ile potrzebowaleam.

— Dopóki jesteście w Warszawie, dowiadujcie się do mnie—dokończyło dziewczę.

— No, a wy?—nieśmiało odezwał się przyjaciel—co myślicie?

— Muszę czekać, nie straciłam jeszcze nadziei — odparła pocichu Bietka—a potem? Sama nie wiem.

Zostawszy z jedną sługą sama we dworku, niebardzo się czując tu bezpieczną, myślała już sierota

przenieść się do Bieleckich, potem Łukasz jej nastęczył stróża, za którego ręczył — pozostała jeszcze we dworku.

Co się z Plazą stało? biedna łamała sobie głowę, nie mogła zrozumieć, ni zgadnąć. Lackowicz nie mówił jej nic, on się domyślał. Wejrzenie ukośne i mina Parfena, ile razy się spotkali, mówiły wiele, chociaż w rozmowie kozak tak bolał nad losem Plazy i tak różne domysły czynił, jakby w świecie o nim nie wiedział.

Upłynęło miesięcy kilka.

Bietka już straciła wszelką nadzieję wyszukania ojca, a nawet dowiedzenia się o losie, jego, gdy przybywający do Warszawy ks. Albrecht, o którym się dowiedziała, przypomniał jej Nietykszę. Sądziła, że pewnie się znajdzie w orszaku kanclerza, ale nie było go. Przyszedł tylko w kilka dni niezmiernie zakłopotany jakiś Woroszyłło, przyjaciel jego, z pozdrowieniem niby...

Na twarzy jego widać było taką komizerację, że Bietka się już najgorszych wiadomości od Nietykszy mogła spodziewać, a nie mogąc ich doczekać, wręcz sama o niego pytała.

— El paniusiu moja — odezwał się Woroszyłło — to bałamut... już nie myślcie o nim.

Pobladło dziewczę, ale chłodno i mężnie dodało.

— No, cóż? ożenił się z Ponikwicką?

Rzucił się aż Woroszyłło zdziwiony.

— Zkądże wy o tem wiecie? — zawołał.

Zamiast odpowiedzi zobaczył dwa strumienie łez tylko.

— Nie mam co już objawiać przed wami — począł wdychając. — Przywiózłem list i pierścioneł. Nie będę go rozgrzeszał ani tłumaczył, paniusiu moja, bo słowo dał i dotrzymać go był powinien, ale matka jak mu się rozchorzała, jak na śmiertelnem łożu poczęła go zaklinać, że nie umrze spokojną, póki go ożenionym nie zobaczy, biedaczysko uleść musiał.

Bietka z zakąszonemi usty słuchała. Powoli zdjęła z palca pierścioneł zaręczyn, który tyle razy całowała i łzami oblewała, i położyła go spokojnie dosyć przed Woroszyłłą, który naprzód listu dostał z za żupanika, a potem pudełeczka z pierścieniem. List wzięwszy w ręce Bietka, nie rozłamując pieczęci, w oczach Woroszyłły rzuciła do komina, na którym ogień płonął, a pierścioneł swój włożyła do kieszeni.

— Tak tedy — rzekła sucho — wszystko dzięki Bogę, skończone. Zawsze to lepiej niż w niepewności zostawać.

Dziękuję wam; powiedzcie, że mu szczęścia życzę.

Zmięszany poseł widząc, że się jej swobodnie wyplakać było potrzeba, wstał, pocałował ją w rękę i poszedł.

Gdybyśmy treść tego opowiadania czerpali z fantazyi, łącznoby było powieści dać zakończenie mniej prozaiczne, niż w istocie los zrządził. Bietka wyplakała się, ale uraza i gniew powstrzymały i osuszyły jej łzy. Opowiedziała o tem co ją spotkało pannie Duret, która naturalnie powtórzyła królowej. Marya Ludwika kazała Bietce przyjść do siebie. Starala się ją pocieszyć, chciała dać miejsce przy sobie, ale dziewczę podziękowało. Myśli jej trudno było odgadnąć.

Pozostała Bietka swobodną. Piękność, łaska królowej, wreszcie głucho wieści, że ojciec jej znaczny posąg zostawił, zwabiały ciągle starających się, których ze wzgardą i gniewem odpychała, szydząc nielitościwie z miłośnych ich zapalów.

Upłynął tak rok i dwa, więcej, dziewczę zaczęło starzeć, a choć piękność jej zachowała się długo, charakter wielce się zmienił.

Ks. Stoczek, który często ją odwiedzał (dopóki był w Warszawie, gdyż później się ztąd wyniósł, jak się to może powie jeszcze), wpłynął zawsze na to, iż

Bietka stała się bardzo pobożną. Spędzała zwykle znaczniejszą część dnia w jednym z kościołów, a potem kilka godzin u Bieleckich lub u królowej.

Pobożność ta uczyniła ją dla ludzi surową bardzo. Obawiano się jej i unikano, kobiety szczególnie.

Marya Ludwika ciągle ją widząc z różańcem i pobożną książką w ręku (właśnie naówczas żeński klasztor zakładała) starał się bardzo namówić i wciągnąć do niego.

Nie mam powołania — odparła otwarcie Bietka — do siedzenia w zamknięciu i klatce. Zakonnicy ze mnie zła była, a dewotką mogę być negorszą od innych.

Szydziła tak czasem i sama z siebie.

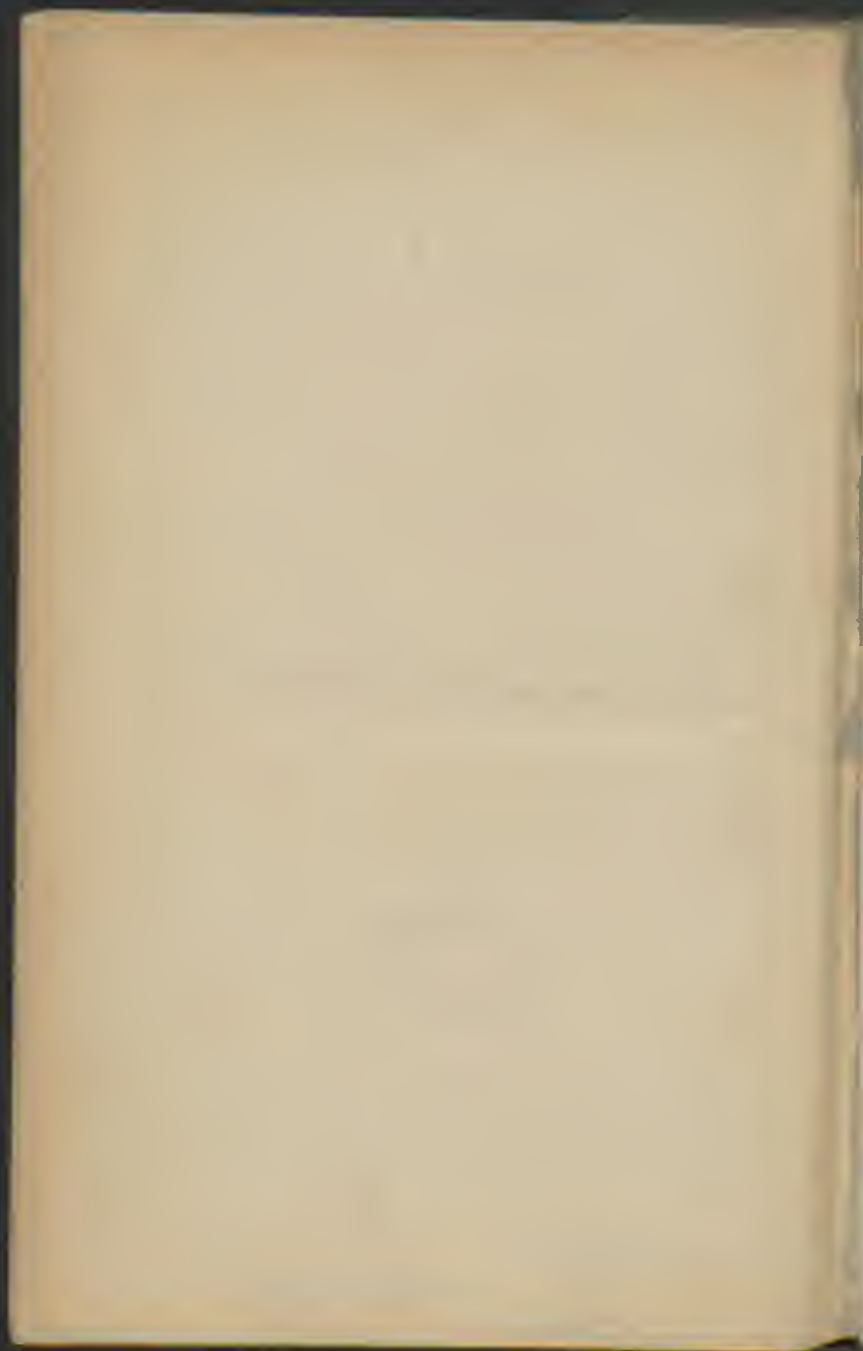
O Płazie nigdy nikt żadnej nie powziął wiadomości. Przyjaciół jego, który dostał się do ks. Ostrogskich na służbę, pracował niesłuchanie nad odkryciem tej tajemnicy, nie zdobył jednak nic.

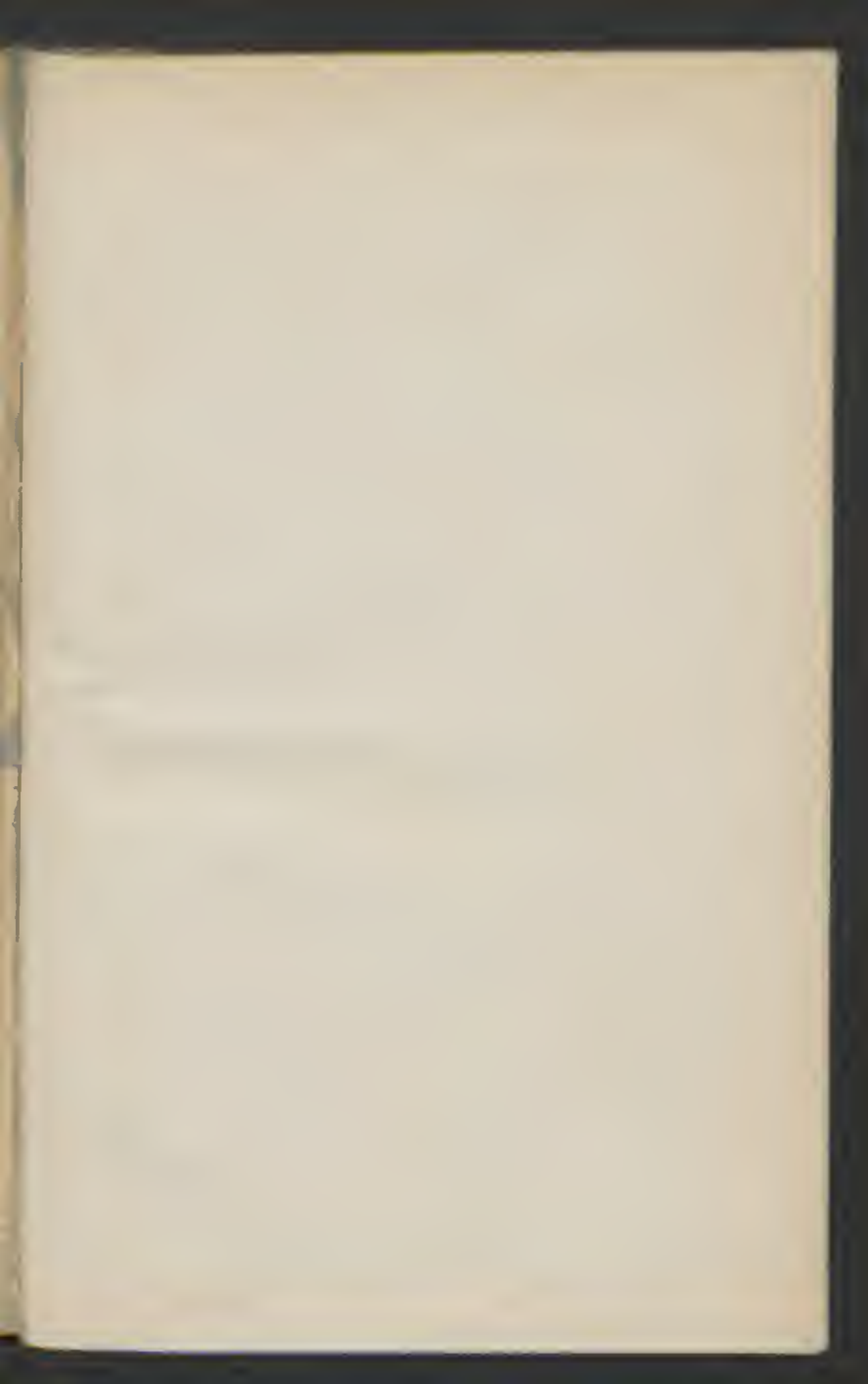
Gdy później rebelia kozacka dotknęła tak okrutnie Rzeczpospolitą, znikł i ów Parfen z Warszawy, który sam jeden może mógł coś wiedzieć o tem.

Skończono w kwietniu 1885  
w Magdeburgu.

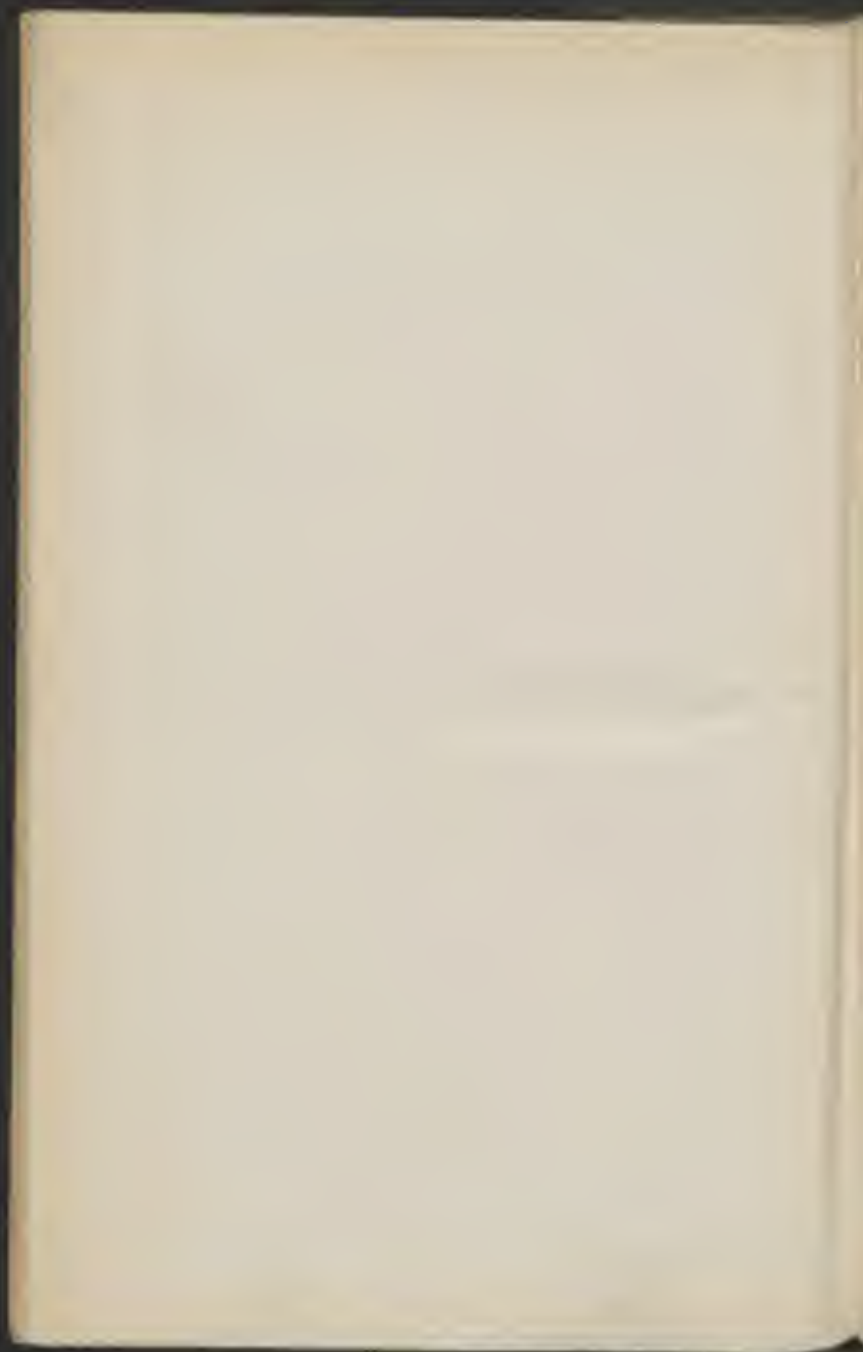
K O N I E C.





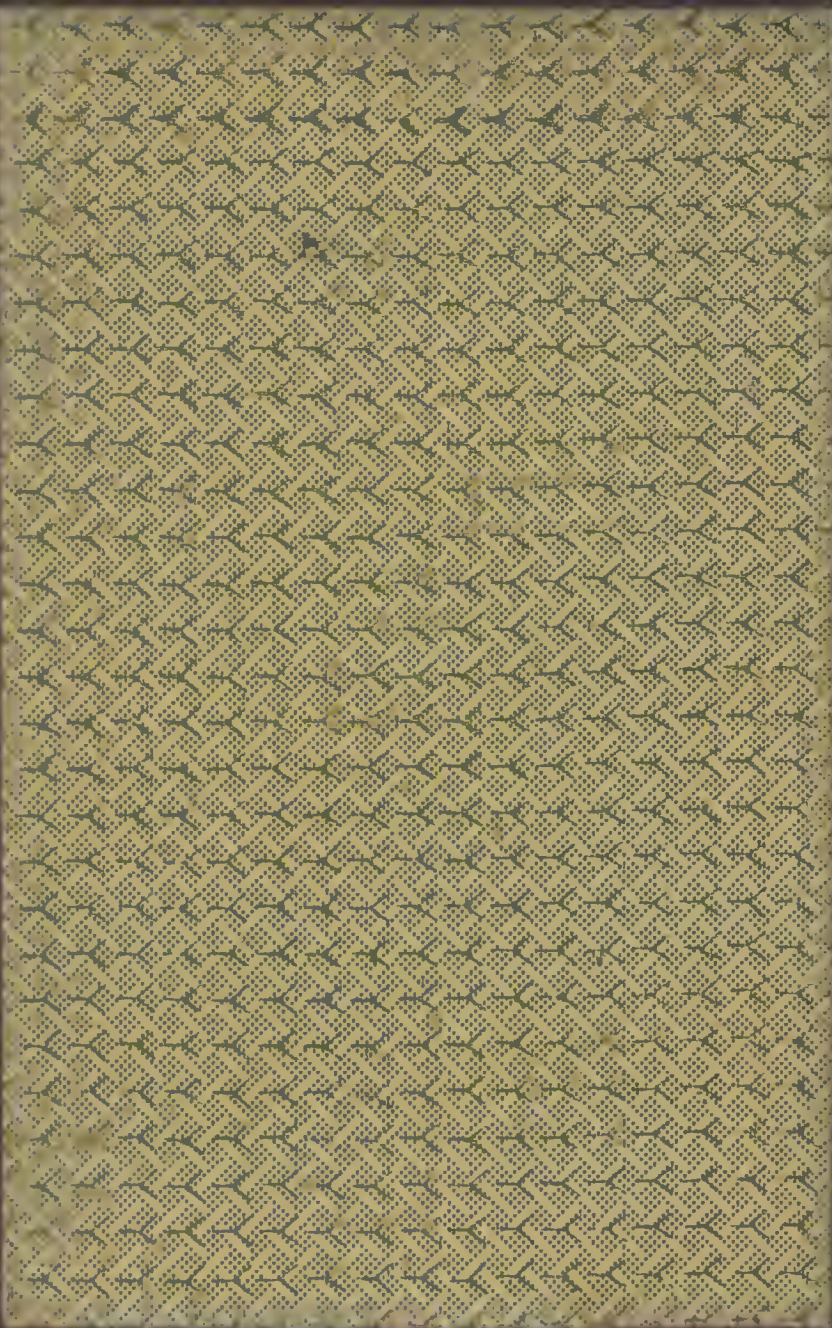






2595+1/2 2 25-





Biblioteka Raczyńskich

JIK 647



JIK0647